

# MAGICZNE PIÓRKO GWENDY



Kontynuacja  
*Pudelka z guzikami*  
*Gwendy* napisanego  
wspólnie ze  
STEPHENEM  
KINGIEM.

RICHARD CHIZMAR

WSTĘP STEPHEN KING

ALBATROS

# MAGICZNE PIÓRKO GWENDY

RICHARD CHIZMAR

WSTĘP  
STEPHEN KING

ILUSTRACJE  
KEITH MINNION

Z ANGIELSKIEGO PRZEŁOŻYŁA  
DANUTA GÓRSKA

**ALBATROS**  
Wydanie elektroniczne

Kontynuacja historii opisanej w *Pudełku z guzikami Gwendy*, opatrzona wstępem Stephena Kinga.

Grudzień 1999 roku. Do miasteczka Castle Rock wdarło się coś naprawdę złego. Szeryf Norris Ridgewick i jego podwładni rozpaczliwie szukają dwóch zaginionych dziewczynek, ale minęło już tyle czasu, że szansa, by sprowadzić je do domu żywe, jest nikła.

Kongresmenka Gwendy Peterson ma niewiele wspólnego z zadziorną nastolatką, która kiedyś spędzała wakacje, biegając po Schodach Samobójców w Castle Rock. Tamtego lata tajemniczy nieznajomy powierzył jej pudełko z guzikami. Magiczny przedmiot oferował Gwendy drobne prezenty w zamian za opiekę, dopóki mężczyzna w końcu nie wrócił, by odebrać swoją własność.

Nieoczekiwanie ten niezwykły przedmiot znów pojawia się w jej życiu – bez opiekuna. Czy ma to związek z zaginięciami w Castle Rock? A może z kryzysem rządowym na małej wysepce w Azji, który relacjonuje jej mąż? Albo z napięciami na linii Stany Zjednoczone–Korea Północna, podsycanymi przez nieobliczalnego amerykańskiego prezydenta?

Gwendy wraca do rodzinnego miasteczka, by pomóc powstrzymać porwania bezbronnych dziewczynek. I zastanawia się, jak jeszcze wykorzystać pudełko z guzikami...

Wykreowane przez Stephena Kinga senne i pełne mrocznych sekretów Castle Rock znów budzi się do życia!

## RICHARD CHIZMAR

Współautor (ze Stephenem Kingiem) bestsellerowej krótkiej powieści *Pudełko z guzikami Gwendy*. Jego ostatnie książki to zbiór opowiadań *The Long Way Home* i *Widow's Point*, napisana wspólnie z synem, Billym Chizmarem, mrożąca krew w żyłach opowieść o nawiedzonej latarni morskiej, niedawno sfilmowana. Jego krótkie utwory pojawiały się w licznych publikacjach, między innymi na łamach „Ellery Queen's Mystery Magazine”. Otrzymał dwie nagrody World Fantasy, cztery nagrody od International Horror Guild i jedną od Horror Writers Association Board of Trustees.

Utwory Chizmara przetłumaczono na ponad piętnaście języków, a on sam występował na licznych konferencjach jako instruktor pisania, gościnny prelegent, dyskutant i gość honorowy.

[richardchizmar.com](http://richardchizmar.com)

Pozostałe części cyklu z Gwendy Peterson

PUDEŁKO Z GUZIKAMI GWENDY

OSTATNIA MISJA GWENDY  
(premiera w maju 2022 roku)

Tytuł oryginału:  
GWENDY'S MAGIC FEATHER

Copyright © Richard Chizmar 2019

Wstęp © Stephen King 2019

All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2022

Polish translation copyright © Danuta Górńska 2022

Redakcja: Marek A. Ostrowski

Ilustracja na okładce: © Ben Baldwin 2019

Ilustrację w książce: © Keith Minnion 2019

ISBN 978-83-8215-912-7



**ALBATROS**

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa

wydawnictwoalbatros.com

tel. 691962519

[Facebook.com/WydawnictwoAlbatros](https://Facebook.com/WydawnictwoAlbatros) | [Instagram.com/wydawnictwoalbatros](https://Instagram.com/wydawnictwoalbatros)

Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakkolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Konwersja do formatu EPUB oraz MOBI

Katarzyna Rek

**woblink**

[woblink.com](https://woblink.com)

# SPIS TREŚCI:

[Okładka](#)

[Karta tytułowa](#)

[Karta redakcyjna](#)

[Wstęp • Stephen King](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Rozdział 30](#)

[Rozdział 31](#)

[Rozdział 32](#)

[Rozdział 33](#)

[Rozdział 34](#)

[Rozdział 35](#)

[Rozdział 36](#)

[Rozdział 37](#)

[Rozdział 38](#)

[Rozdział 39](#)

[Rozdział 40](#)

[Rozdział 41](#)

[Rozdział 42](#)

[Rozdział 43](#)

[Rozdział 44](#)

[Rozdział 45](#)

[Rozdział 46](#)

[Rozdział 47](#)

[Rozdział 48](#)

[Rozdział 49](#)

[Rozdział 50](#)

[Rozdział 51](#)

[Rozdział 52](#)

[Rozdział 53](#)

[Rozdział 54](#)

[Rozdział 55](#)

[Rozdział 56](#)

[Rozdział 57](#)

[Rozdział 58](#)

[Rozdział 59](#)

[Rozdział 60](#)

[Rozdział 61](#)

[Rozdział 62](#)

[Rozdział 63](#)

[Rozdział 64](#)

[Rozdział 65](#)

[Rozdział 66](#)

[Rozdział 67](#)

[Rozdział 68](#)

[Rozdział 69](#)

[Rozdział 70](#)

[Rozdział 71](#)

[Rozdział 72](#)

[Podziękowania](#)

[O autorze](#)

[Ilustratorzy](#)



*dla Kary, Billy'ego i Noaha,  
Magii w moim życiu*

## WSTĘP

# JAK GWENDY UNIKNĘŁA ZAPOMNIENIA

Stephen King

PISANIE TO W ZASADZIE ZABAWA. Praca zaczyna się wtedy, kiedy pisarz przechodzi do sedna, ale początek to prawie zawsze zwykła zabawa w udawanie. Zaczynasz od „co by było, gdyby”, a potem siadasz przy biurku, żeby sprawdzić, dokąd to gdybanie prowadzi. Potrzebujesz do tego lekkiej ręki, otwartego umysłu i nadziei w sercu.

Cztery czy pięć lat temu – nie pamiętam dokładnie, ale na pewno pracowałem jeszcze wówczas nad trylogią o Billu Hodgesie – zacząłem się bawić pomysłem na nowoczesną Pandorę. Pamiętacie, była ciekawską dziewczynką, która dostała magiczną puszkę, i kiedy przez swoją przeklętą ciekawość (klątwę rasy ludzkiej) ją otworzyła, wyleciało całe zło tego świata. Co by było, zastanawiałem się, gdyby współczesna dziewczynka dostała takie pudełko, nie od Zeusa, ale od tajemniczego nieznanego?

Spodobał mi się ten pomysł i usiadłem, żeby napisać opowiadanie *Pudełko z guzikami Gwendy*. Gdybyście mnie zapytali, skąd się wzięło imię Gwendy, nie mógłbym wam powiedzieć więcej niż to, co mogłem powiedzieć wtedy, kiedy napisałem pierwsze dwadzieścia czy trzydzieści stron. Mogłem myśleć o Wendy Darling, przyjaciółce Piotrusia Pana, albo o Gwyneth Paltrow, albo imię po prostu wskoczyło mi do głowy (jak nazwisko John Rainbird w *Podpalacze*). W każdym razie wyobraziłem sobie pudełko z kolorowymi guzikami oznaczającymi każdą z wielkich mas lądowych Ziemi; naciśnij jeden z nich i coś złego stanie się na odpowiadającym mu kontynencie. Dodałem czarny, który zniszczyłby wszystko, oraz – żeby podtrzymać zainteresowanie posiadacza pudełka – małe dźwigienki po bokach, które będą wysuwać uzależniające smakołyki.

Mogłem również myśleć o moim ulubionym opowiadaniu Fredrica Browna *The Weapon*. Naukowiec zaangażowany w budowę superbomby późną nocą otwiera drzwi nieznanemu i ten błaga go, żeby przerwał pracę. Gospodarz ma syna, który jest, jak teraz mówimy, „osobą z niepełnosprawnością intelektualną”. Po odesłaniu gościa dostrzega, że syn bawi się naładowanym rewolwerem. Ostatnie zdanie opowiadania brzmi: „Tylko szalenięc dałby naładowaną broń idiotcie”.

Pudełko z guzikami jest tą naładowaną bronią i chociaż Gwendy bynajmniej nie jest idiotką, to wciąż tylko dziecko, na litość boską. Ciekawe, co by zrobiła z tym pudełkiem. Jak szybko uzależni się od wydawanych przez nie przysmaków? Jak szybko ciekawość każe jej nacisnąć jeden z guzików, żeby zobaczyć, co się stanie? (Jonestown w Gujanie, jak się okazało). I czy dostanie obsesji na punkcie czarnego guzika, tego, który niszczy wszystko? Czy opowieść skończy się na tym, że Gwendy – może po szczególnie złym dniu – naciśnie go i sprowadzi apokalipsę? Czy to rzeczywiście za bardzo naciągane w świecie, gdzie istnieje wystarczająca nuklearna siła rażenia, żeby na tysiące lat unicestwić wszelkie życie? I gdzie do tej broni – czy chcemy to przyznać, czy nie – mają dostęp ludzie nie zawsze zrównoważeni?

Z początku pisanie szło gładko, ale potem zabrakło mi paliwa. To mi się nieczęsto zdarza, jednak zdarza się od czasu do czasu. Mam ze dwadzieścia niedokończonych opowiadań (i co najmniej dwie powieści), które po prostu mnie porzuciły. (A może to ja je porzuciłem). Chyba dotarłem do miejsca, gdzie Gwendy próbuje wykombinować, jak ukryć pudełko przed rodzicami. To wszystko robiło się zbyt skomplikowane. Co gorsza, nie wiedziałem, co dalej. Przerwałem pracę i zająłem się czymś innym.

Minęło trochę czasu – może dwa lata, może więcej. Niekiedy myślałem o Gwendy i jej niebezpiecznym magicznym pudełku, ale żadne nowe pomysły nie przychodziły mi do głowy, więc opowiadanie pozostało zapisane na pulpicie mojego komputera, w samym rogu. Nie usunięte, ale zdecydowanie odsunięte na bok.

Pewnego dnia dostałem e-maila od Richa Chizmara, twórcy i redaktora wydawnictwa Cemetery Dance oraz autora kilku bardzo dobrych opowiadań z pogranicza fantastyki i horroru. Zaproponował – chyba mimochodem, tak naprawdę nie spodziewając się, że wezmę go za słowo – żebyśmy wspólnie coś napisali albo żebym wziął udział w projekcie, w którym kilku pisarzy pracuje nad jednym utworem w systemie „każdy z każdym”. Drugi wariant niezbyt mnie pociągał, ponieważ rzadko powstają w ten sposób interesujące rzeczy, ale pomysł współpracy z Richem – owszem. Znałem jego teksty, tak dobrze opisujące małe miasteczka i życie klasy średniej na przedmieściach. Z łatwością potrafi odmalować grillowanie na tylnych podwórkach, dzieciaki na rowerach, wyprawy do Walmartu, rodziny zjadające popcorn przed telewizorem... a potem wrywa w tym wszystkim dziurę, wprowadzając element nadprzyrodzony i szczyptę horroru. Rich pisze opowiadania, w których Dobre Życie nagle staje się brutalne. Pomyślałem, że jeśli ktokolwiek zdoła dokończyć historię Gwendy, to właśnie on. I muszę przyznać, że byłem tego zakończenia ciekaw.

Krótko mówiąc, wykonał wspaniałą robotę. Przerobiłem część jego rzeczy, on przerobił część moich i wyszedł nam mały klejnocik. Zawsze będę mu wdzięczny, że nie pozwolił Gwendy na powolną śmierć w rogu mojego pulpitu.

Kiedy Rich zasugerował, że może to nie koniec tej historii, byłem zainteresowany, ale nie całkiem przekonany. Jaki miałby być jej dalszy ciąg? – chciałem wiedzieć. Zapytał, co bym pomyślał, gdyby dorosła Gwendy została wybrana do Izby Reprezentantów Stanów Zjednoczonych i pudełko z guzikami znowu pojawiłoby się w jej życiu... razem z jego właścicielem, tajemniczym mężczyzną w czarnym kapeluszu.

Kiedy coś jest rzeczywiście dobre, wiadomo to od razu – a to było tak doskonałe, że poczułem się zazdrosny (nie bardzo, ale trochę tak). Silna pozycja Gwendy w machinie politycznej stanowiła odpowiednik pudełka z guzikami. Powiedziałem Richowi, że to brzmi nieźle i powinien zaczynać. Co prawda powiedziałbym pewnie to samo, gdyby zaproponował opowiadanie, w którym Gwendy zostaje astronautką, przechodzi przez zakrzywienie czasoprzestrzeni i trafia do innej galaktyki. Ponieważ Gwendy należy do Richa w takim samym stopniu jak do mnie. Może nawet w większym, ponieważ bez jego interwencji w ogóle by nie zaistniała.

W historii, którą przeczytacie – szczęściarze! – Rich zaprezentował wszystkie swoje znakomite umiejętności. Dobrze oddaje atmosferę Castle Rock, a mieszkający tam zwykli ludzie to postacie z krwi i kości. Znamy tych ludzi, dlatego nas obchodzą. Zależy nam również na Gwendy. Prawdę mówiąc, trochę się w niej zakochałem i cieszę się, że wróciła po dokładkę.

Stephen King

17 maja 2019



W CZWARTEK SZESNASTEGO GRUDNIA 1999 roku Gwendy Peterson budzi się przed wschodem słońca, ubiera się na cebulkę ze względu na zimno i wychodzi pobiegać.

Kiedyś trochę kulała z powodu rany w prawej stopie, ale sześć miesięcy fizjoterapii i wkładki ortopedyczne w jej ulubionych butach do biegania New Balance rozwiązały ten drobny problem. Teraz Gwendy biega co najmniej trzy albo cztery razy w tygodniu, najchętniej o świcie, kiedy miasto dopiero otwiera oczy.

W ciągu piętnastu lat, odkąd ukończyła Uniwersytet Browna i wyprowadziła się z rodzinnego miasteczka Castle Rock w Maine, zdarzyło się bardzo dużo rzeczy, ale mamy mnóstwo czasu, żeby opowiedzieć tę historię. Na razie dołączmy do Gwendy, kiedy biegnie przez miasto.

Rozciągnąwszy mięśnie nóg na betonowych stopniach przed jej wynajętym domem, rusza po Dziewiątej Ulicy. Jej stopy wybijają stały rytm na jezdni posypanej solą, aż dociera do Pennsylvania Avenue. Skręca ostro w lewo i okrąża Navy Memorial oraz National Gallery of Art. Nawet w środku zimy wszystkie muzea są jasno oświetlone, żwirowe i asfaltowe chodniki odśnieżone; dolary z naszych podatków nie idą na marne.

Przy Mall Gwendy wrzuca wyższy bieg, czując lekkość w stopach i siłę w mięśniach. Koński ogon wystaje jej spod zimowej czapki i przy każdym kroku ociera się z szelestem o tył bluzy. Biegnie wzdłuż stawu przed pomnikiem Lincolna, żałując, że zniknęły rodziny kaczek i ptaków, które mieszkają tam w ciepłych letnich miesiącach. Dociera do cienia rzucanego przez pomnik Waszyngtona, zostaje na oświetlonej ścieżce i omijając szerokim łukiem słynny obelisk, kieruje się na wschód, w stronę Kapitolu. Muzea Smithsonian stoją po obu stronach Mall i Gwendy wspomina, jak pierwszy raz przyjechała do Waszyngtonu.

W tamte wakacje miała dziesięć lat i razem z rodzicami spędziła trzy długie, spływające potem dni, zwiedzając miasto od świtu do zmierzchu. Wieczorem padali na hotelowe łóżka i zamawiali jedzenie przez room service – niesłychany luksus dla rodziny Petersonów – ponieważ byli zbyt wykończeni, żeby wziąć prysznic i wyjść na kolację. Ostatniego ranka ojciec zaskoczył rodzinę biletami na wycieczkę riksą po mieście. Cała trójka wpakowała się do ciasnego pojazdu, jedząc lody na patyku i chichocząc, a przewodnik popedałował po Mall.

Gwendy nigdy nawet nie marzyła, że pewnego dnia będzie mieszkać i pracować w stolicy kraju. Gdyby ktoś zapytał ją o to jeszcze półtora roku wcześniej, odpowiedziałaby zdecydowanym „nie”. Życie jest dziwne, myśli, przecinając żwirową ścieżkę w stronę Dziewiątej Ulicy. Pełne niespodzianek – i nie wszystkie są dobre.

Zostawiwszy za sobą Mall, Gwendy wciąga w płuca mroźne powietrze i na ostatnim odcinku przed domem przyspiesza kroku. Ulice już się ożywiły, ludzie spieszą do pracy na poranną zmianę, bezdomni wyłażą z kartonowych legowisk, śmieciarki krążą z łoskotem i zgrzytaniem. Gwendy dostrzega przed sobą kolorowe lampki choinkowe w wykuszowym oknie swojego domu i przyspiesza do sprintu. Sąsiad z naprzeciwka macha do niej i woła, ale ona nic nie słyszy ani nie widzi. Jej nogi poruszają się z płynną gracją i siłą, ale myślami jest daleko od zimnego grudniowego poranka.

NAWET Z WILGOTNYMI WŁOSAMI I PRAWIE bez makijażu Gwendy prezentuje się olśniewająco. Kiedy stoi w kącie załoczonej windy, przyciąga sporo pełnych podziwu spojrzeń – nie mówiąc o kilku otwarcie zazdrosnych. Gdyby jej dawna przyjaciółka Olive Kepnes jeszcze żyła (nawet po tylu latach Gwendy myśli o niej prawie codziennie), powiedziałaaby, że Gwendy wygląda jak milion dolców i drobne. I miałyby rację.

Ubrana w proste szare spodnie, białą jedwabną bluzkę i wsuwane buty na niskich obcasach (które jej matka nazywa praktycznymi butami), trzydziestosiedmioletnia Gwendy sprawia wrażenie o dziesięć lat młodszej. Zaprzeczałaby gwałtownie, gdyby ktoś to powiedział, ale jej protesty nie zdałyby się na nic. Po prostu taka jest prawda.

Winda robi „dzyń” i drzwi rozsuwają się na drugim piętrze. Gwendy i dwie inne osoby przeciskają się do wyjścia i dołączają do grupki pracowników, czekających w kolejce przed odgradzoną sznurem bramką kontrolną. Krzepki strażnik z odznaką i bronią boczną sprawdza plakietki identyfikacyjne, a młoda strażniczka kilka metrów za nim patrzy na ekran, kiedy pracownicy przechodzą między pionowymi płytami wykrywacza metalu.

Gwendy dochodzi na przód kolejki, wyjmuje laminowany identyfikator ze skórzanej torby i podaje strażnikowi.

– Dzień dobry, kongresmenko Peterson. Pracowity dzień? – Strażnik skanuje kod kreskowy i oddaje plakietkę z przyjaznym uśmiechem.

– Wszystkie są pracowite, Haroldzie. – Gwendy mruga do niego. – Przecież wiesz.

On uśmiecha się szerzej, demonstrując dwa złote przednie zęby.

– Hej, nie powiem nikomu, jeśli pani nie powie.

Gwendy śmieje się i odchodzi. Harold woła za nią:

– Pozdrowienia dla pani szanownego męża!

Ona się ogląda, poprawiając na ramieniu skórzaną torbę.

– Przekażę. Jeśli mu się poszczęści, zdąży do domu na święta.

– Daj Boże – mówi Harold i kreśli znak krzyża. Potem odwraca się do następnego pracownika i skanuje jego identyfikator. – Dzień dobry, panie kongresmenie.

GABINET GWENDY JEST PRZESTRONNY i niezagracony. Na pastelowych żółtych ścianach wiszą oprawiona mapa stanu Maine, kwadratowe lustro w srebrnych ramach i proporczyk Uniwersytetu Brown. Jasne, ciepłe światło pada na mahoniowe biurko, ustawione centralnie pod przeciwległą ścianą. Na biurku są stosy dokumentów, lampa z abażurem, telefon, terminarz i komputer z klawiaturą. Po drugiej stronie pokoju stoi ciemna skórzana sofa, przed nią niski stolik z rozłożonymi w wachlarz czasopismami, a z boku mały stoliczek z ekspresem do kawy. Jest też schowana w kącie szafka na akta z trzema szufladami oraz nieduży regał zastawiony książkami w twardej oprawie, drobiazgami i fotografiami w ramkach. Pierwsze z dwóch największych zdjęć przedstawia opaloną, promienną Gwendy stojącą obok przystojnego brodatego mężczyzny podczas parady na Czwartego Lipca w Castle Rock przed dwoma laty. Na drugim znacznie młodsza Gwendy stoi z ojcem i matką przed pomnikiem Waszyngtona.

Gwendy siedzi przy biurku, opiera brodę na splecionych dłoniach i wpatruje się w fotografię z rodzicami zamiast w leżący przed nią otwarty raport. Po chwili wzdycha, zamyka teczkę i odsuwa ją na bok.

Szybko stuka w klawiaturę i otwiera skrzynkę e-mailową. Przegląda dziesiątki wiadomości i zatrzymuje się na tej od matki. Informacja w nagłówku wskazuje, że wpłynęła przed dziesięcioma minutami. Gwendy otwiera ją podwójnym kliknięciem i ekran monitora wypełnia skan artykułu z gazety.

### „The Castle Rock Call”

Czwartek – 16 grudnia 1999

#### WCIAŻ ANI ŚLADU DWÓCH ZAGINIONYCH DZIEWCZYNEK

Pomimo poszukiwań prowadzonych w całym hrabstwie oraz licznych wskazówek od zatroskanych obywateli nie zanotowano żadnych postępów w sprawie dwóch dziewczynek porwanych w hrabstwie Castle.

Ostatnia ofiara, piętnastoletnia Carla Hoffman, zamieszkała przy Juniper Lane w Castle Rock, została uprowadzona ze swojej sypialni wieczorem we wtorek, 14 grudnia. Krótco po osiemnastej jej starszy brat odwiedził kolegę z klasy mieszkającego po drugiej stronie ulicy. Kiedy wrócił do domu, najwyżej piętnaście minut później, odkrył, że tylne drzwi są wyłamane, a siostra zniknęła.

„Pracujemy przez całą dobę, żeby znaleźć te dziewczynki – skomentował szeryf Castle Rock, Norris Ridgewick. – Ściągnęliśmy posiłki z sąsiednich miasteczek i organizujemy dodatkowe poszukiwania”.

Rhonda Tomlinson, lat czternaście, z pobliskiego Bridgton, zniknęła, wracając ze szkoły po południu we wtorek, 7 grudnia...

Gwendy marszczy brwi, patrząc na ekran. Zobaczyła już dość. Zamyka e-mail i zaczyna odwracać głowę od komputera – ale nagle zastyga. Stukając w klawiaturę, przechodzi do ZAPISANYCH w poczcie i używa klawisza ze strzałką, żeby przewinąć wiadomości. Trwa to chyba całe wieki, zanim

w końcu zatrzymuje się na kolejnym e-mailu od matki, datowanym na 19 listopada 1998 roku. Temat brzmi: GRATULACJE!

Otwiera wiadomość i dwukrotnie klika na link. Pośrodku ekranu pojawia się małe ciemne okno przecięte napisem *Good Morning, Boston*. Potem ożywa wideo w niskiej rozdzielczości i z komputerowych głośników ryczy intro muzyczne programu. Gwendy pospiesznie ścisza dźwięk.

Na monitorze Della Cavanaugh, popularna prezenterka programów śniadaniowych, i Gwendy siedzą naprzeciwko siebie w skórzanych fotelach z prostymi oparciami. Obie założyły nogę na nogę i mają mikrofony przyłączone do kołnierzyków. Pod górną krawędzią ekranu biegnie nagłówek: DZIEWCZYNA Z PROWINCJI ODNOSI SUKCES.

Gwendy wzdryga się na dźwięk własnego głosu, ale nie wyłącza nagrania. Zamiast tego poprawia głośność, odchyła się na oparcie krzesła i ogląda siebie udzielającą wywiadu, wspominając, jakie to się wydawało dziwne – i deprymujące – opowiadać historię swojego życia tysiącom nieznajomych...



PO UKOŃCZENIU BROWNA WIOSNĄ 1984 roku Gwendy przez lato pracuje na pół etatu w Castle Rock, a na początku września zapisuje się na warsztaty pisarskie na Uniwersytecie Iowa. Przez następne trzy miesiące skupia się na zajęciach i zaczyna pisać wstępne rozdziały tego, co stanie się jej pierwszą powieścią: wielopokoleniową sagą rodzinną osadzoną w Bangor.

Pod zakończeniu warsztatów wraca na święta do domu w Castle Rock, robi sobie tatuaż – małe piórko – obok blizny na prawej stopie (więcej o tym piórku trochę później) i zaczyna szukać pełnoetatowej pracy. Otrzymuje kilka interesujących ofert i wkrótce decyduje się na początkującą agencję reklamową i public relations w pobliżu Portlandu.

Pod koniec stycznia 1985 roku pan Peterson jedzie za Gwendy autostradą międzystanową, ciągnąc przyczepę U-Haul wyładowaną używanymi meblami, kartonowymi pudłami pełnymi ubrań oraz butów w ilości zdecydowanie przekraczającej potrzeby jednej osoby. Pomaga córce wprowadzić się do wynajętego mieszkania na pierwszym piętrze w śródmieściu.

W następnym tygodniu Gwendy zaczyna pracę. Szybko udowadnia, że ma talent do reklamy, i w ciągu osiemnastu miesięcy kilkakrotnie awansuje. W połowie drugiego roku jeździ po całym Wschodnim Wybrzeżu na spotkania z ważnymi klientami, a w nagłówkach papieru firmowego figuruje jako dyrektor działu obsługi klienta.

Pomimo napiętego rozkładu zajęć Gwendy nigdy nie przestaje myśleć o niedokończonej powieści. Marzy o niej nieustannie i dłużej przy niej w każdej wolnej chwili: długie loty, weekendy, rzadkie śnieżyce i jeszcze rzadsze wolne wieczory w tygodniu.

W grudniu 1987 roku na firmowym przyjęciu świątecznym szef, nawiązując uprzejmą rozmowę, przedstawia jej dawnego przyjaciela ze studiów i nadmienia, że gwiazdą jego agencji jest nie tylko znakomita specjalistka od obsługi klienta, ale również początkująca pisarka. Dawny przyjaciel okazuje się mężem agentki literackiej, więc woła żonę i przedstawia jej Gwendy. Pełna ulgi, że może pogadać z drugą miłośniczką książek, agentka natychmiast nabiera do niej sympatii i pod koniec wieczoru przekonuje początkującą pisarkę, żeby przysłała jej pierwsze pięćdziesiąt stron swojego tekstu.

Pewnego popołudnia w połowie stycznia dzwoni telefon. Gwendy jest zaszokowana, kiedy agentka literacka dopytuje, gdzie się podziało obiecane pięćdziesiąt stron. Gwendy wyjaśnia, że uznała propozycję za grzecznościowy gest i nie chciała jej przysłać kolejnej beznadziejnej powieści. Agentka zapewnia ją, że w sprawach literackich nigdy nie kieruje się uprzejmością, i nalega na natychmiastowe wysłanie tekstu. Tego samego dnia Gwendy drukuje trzy pierwsze rozdziały, wsadza je do koperty FedExu i wysyła priorytetem. Dwa dni później agentka oddzwania i mówi, że chce przeczytać resztę.

Jest tylko jeden problem: Gwendy nie skończyła pisać.

Zamiast przyznać się do tego agentce, następnego dnia, w piątek, po raz pierwszy bierze wolne w pracy, przez cały długi weekend pije litrami dietetyczną pepsi i pisze jak szalona, żeby skończyć ostatnie sześć rozdziałów. W poniedziałek podczas przerwy na lunch drukuje prawie trzysta pozostałych stron książki i wpycha je do pudełka FedExu.

Kilka dni później agentka dzwoni i proponuje, że będzie ją reprezentować. Reszta, jak to mówią, jest już znaną historią.

W kwietniu 1990 roku debiutancka powieść dwudziestoosmioletniej Gwendy Peterson, *Lata z ważkami*, ukazuje się w twardej oprawie, zbiera znakomite recenzje i niezbyt dobrze się sprzedaje. Po kilku miesiącach książka otrzymuje prestiżową Nagrodę imienia Roberta Frosta, przyznaną corocznie „dla dzieła o najwyższych wartościach literackich” przez Towarzystwo Literackie Nowej Anglii. Ten zaszczyt przyczynia się do sprzedaży co najwyżej kilkuset dodatkowych egzemplarzy i zapewnia ładny tekst na wydaniu w miękkiej oprawie. Innymi słowy, konto w banku pozostaje puste.

Wszystko to zmienia się następną jesienią, po wydaniu drugiej książki: thrillera *Nocna straż*, którego akcja dzieje się na przedmieściach. Pełne zachwyty recenzje i napędzana spontanicznymi rekomendacjami sprzedaż przez cztery kolejne tygodnie zapewniają jej wygodne miejsce na liście bestsellerów „New York Timesa”, obok megahitów Sidneya Sheldona, Anne Rice i Johna Grishama.

Rok później, w 1993, ukazuje się trzecia i najambitniejsza powieść Gwendy, *Pocałunek w ciemności* – potężny sześćsetstronicowy thriller rozgrywający się na statku rejsowym. Ta książka też ląduje na liście bestsellerów – na sześć tygodni – a niedługo potem, akurat na święta, do kin trafia filmowa adaptacja *Nocnej straży* z Nicolasem Cage’em w roli podmiejskiego męża rogarza.

Na tym etapie kariery Gwendy jest gotowa przeskoczyć do czołówki przemysłu rozrywkowego. Jej agentka przewiduje siedmiocyfrowe oferty na umowę dotyczącą następną książkę, a największe studia filmowe prowadzą zaawansowane prace nad ekranizacjami *Lata z ważkami* i *Pocałunku w ciemności*. Gwendy musi tylko trzymać kurs, jak mawia jej ojciec.

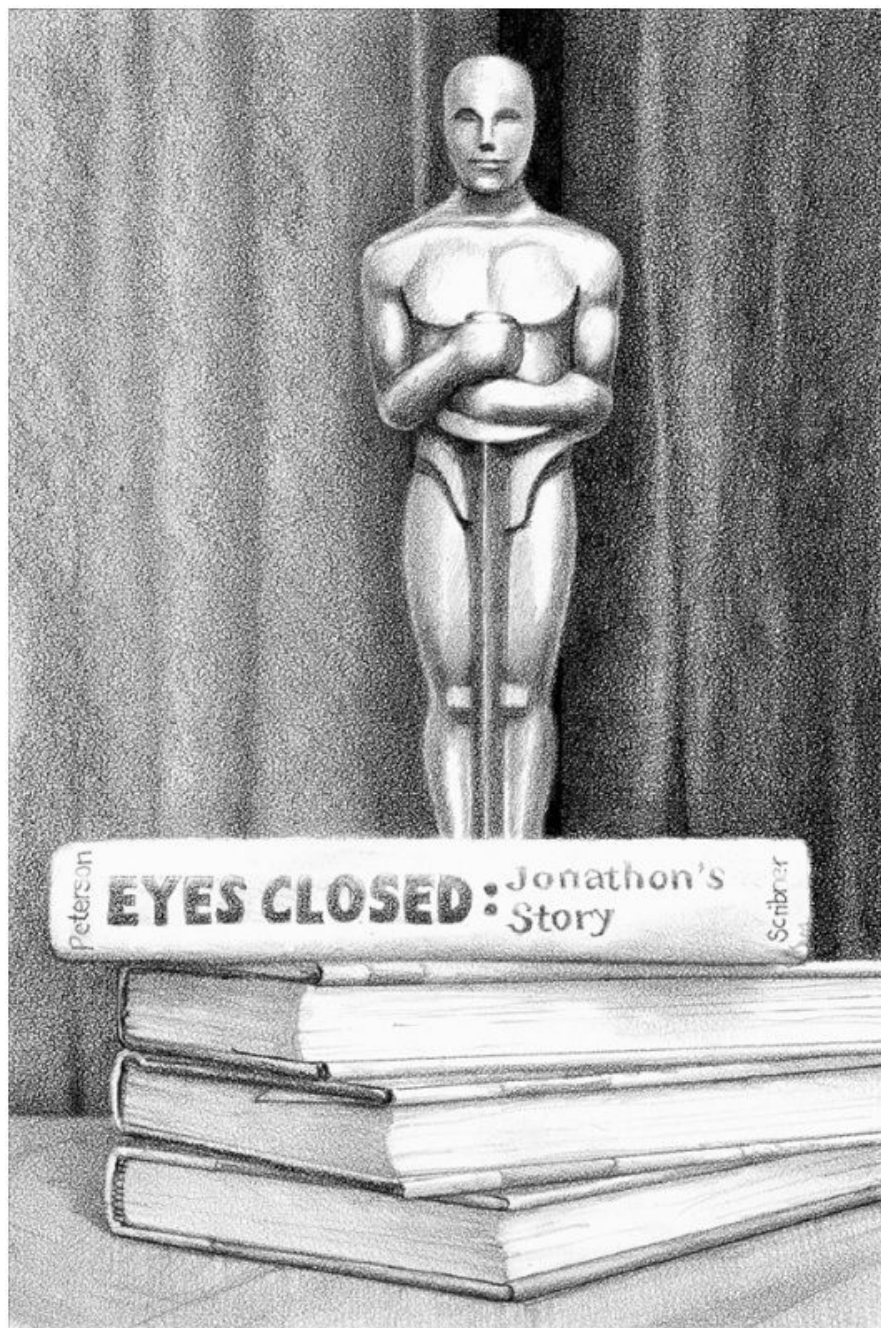
Zamiast tego zmienia kurs i zadziwia wszystkich.

*Pocałunek w ciemności* został zadekowany Johnathonowi Riordanowi. Parę lat wcześniej, kiedy Gwendy zaczynała pracę w agencji reklamowej, to Johnathon wziął ją pod swoje skrzydła i nauczył tajników świata reklamy. Chociaż mógł ją postrzegać jako bezpośrednią rywalkę – zwłaszcza ze względu na małą różnicę wieku: był tylko o trzy lata starszy – zaprzyjaźnił się z nią i został jej najbliższym sprzymierzeńcem, zarówno w biurze, jak i poza nim. Kiedy Gwendy zatrzasnęła kluczyki w samochodzie po raz drugi w ciągu dwóch dni, kogo wezwała na pomoc? Johnathona. Kiedy potrzebowała poważnej rady w sprawach damsko-męskich, do kogo się zwracała? Do Johnathona. Po pracy spędzali ze sobą niezliczone wieczory, jedząc chińszczyznę prosto z pudełek i oglądając komedie romantyczne w mieszkaniu Gwendy. Kiedy zdobyła umowę na debiutancką powieść, najpierw powiedziała o tym Johnathonowi, a kiedy pierwszy raz podpisywała swoją książkę w księgarni, to on stał na czele kolejki. Z biegiem czasu, gdy ich przyjaźń się umacniała, stał się starszym bratem, którego Gwendy nigdy nie miała, a zawsze chciała mieć. A potem zachorował. I po dziewięciu miesiącach odszedł.

Wtedy staje się coś niespodziewanego.

Wstrząśnięta śmiercią najlepszego przyjaciela na AIDS, Gwendy rzuca pracę w agencji reklamowej i przez następne osiem miesięcy pisze wspomnienia o inspirującym życiu Johnathona jako młodego geja i tragicznych okolicznościach jego śmierci. Skończywszy, nadal ze złamanym sercem, natychmiast zaczyna reżyserować film dokumentalny oparty na jego historii.

Z jednej strony rodzina i przyjaciele są zdziwieni, a z drugiej wcale nie. Większość tłumaczy sobie jej nowo odkrytą pasję wyświechtanym ogólnikiem: „Gwendy taka już jest”. Co do jej agentki, chociaż nigdy nie powiedziała tego głośno – to byłoby niemiłe, a nawet niegrzeczne – jest głęboko rozczarowana. Gwendy była na prostej drodze do sławy i zboczyła z tej drogi, żeby borykać się z tematem tak kontrowersyjnym i nieprzyzwoitym jak epidemia AIDS.



Ale Gwendy się tym nie przejmuje. Ktoś ważny zapewnił ją kiedyś: „Masz wiele rzeczy do powiedzenia światu... i świat będzie słuchał”. Gwendy Peterson w to wierzy.

Książka *Oczy zamknięte. Historia Johnathona* ukazuje się w lecie 1994 roku. Zbiera pozytywne recenzje w „Publishers Weekly” i „Rolling Stone”, ale słabo się sprzedaje w sieciowych księgarniach. Pod koniec sierpnia w większości sklepów łąduje w koszach z przeceną.

Zupełnie inaczej mają się sprawy z filmem dokumentalnym pod tym samym tytułem, który ma premierę wkrótce po książce. Pokazywany na festiwalach, ściąga tłumy i dostaje Oscara za najlepszy dokument. Prawie pięćdziesiąt milionów widzów patrzy, jak zapłakana Gwendy wygłasza mowę po odebraniu nagrody. Przez następne parę miesięcy głównie udziela wywiadów dla ogólnokrajowych mediów oraz występuje w rozmaitych porannych i wieczornych talk-show. Jej agentka nie posiada się ze szczęścia. Gwendy znowu jest na prostej drodze do sławy, popularna jak nigdy dotąd.

Ryana Browna, zawodowego fotografa z Andover w stanie Massachusetts, poznaje podczas kręcenia *Oczy zamkniętych*. Szybko nawiązują przyjaźń, która nieoczekiwanie dla nich obojga przeradza się w związek.

W bezchmurny listopadowy poranek, podczas wycieczki brzegiem Royal River w pobliżu Castle Rock, Ryan wyciąga z plecaka pierścionek z brylantem, klęka i oświadcza się. Gwendy, z twarzą zalaną łzami i smarkami, jest tak wzruszona, że nie może wykrztusić ani słowa. Ryan, jak zawsze dobry kumpel, zmienia kolano i pyta jeszcze raz:

– Wiem, jak bardzo lubisz niespodzianki, Gwennie. No więc? Spędzisz ze mną resztę życia?

Tym razem Gwendy odzyskuje głos.

W następnym roku biorą ślub w kościele jej rodziców w centrum Castle Rock. Przyjęcie odbywa się w Castle Inn i chociaż młodszy brat Ryana upija się i podczas tańca łamie nogę w kostce, wszyscy dobrze się bawią. Ojciec panny młodej i ojciec pana młodego znajdują wspólny język jako fani westernów Louisa L'Amoura, a dwie matki przez cały dzień chichoczą ze sobą jak siostry. Większość znajomych przewiduje, że po ślubie Gwendy usatkuje się i wróci do pisania książek.

Ale Gwendy Peterson uwielbia niespodzianki – i ma jeszcze jedną w zanadrzu.

Rozwścieczona i sfrustrowana okrutną dyskryminacją licznych ofiar AIDS (szczególnie tym, że ostatnio Kongres przegłosował utrzymanie zakazu wpuszczania do kraju ludzi zarażonych HIV, chociaż na całym świecie zarejestrowano już ponad dwa i pół miliona przypadków), Gwendy postanawia – z błogosławieństwem męża – kandydować na parlamentarzystkę.

Dość powiedzieć, że jej agentka nie jest zachwycona.

Gwendy wkłada w kampanię wyborczą całe serce i szybko znajduje poparcie. Ochotnicy zgłaszają się w bezprecedensowej liczbie, wczesne zbiórki funduszy przekraczają wszelkie oczekiwania. Jeden z ekspertów, słynący z niewyparzonej gęby, zauważa, że „Peterson, z bezgraniczną charyzmą i dorównującą jej energią, zdołała nie tylko zmobilizować młodych i niezdecydowanych wyborców, ale znalazła też sposób, żeby dotrzeć do tych zwyczajnie ciekawych. A w stanie tak przywiązanim do tradycji jak Maine to może być kluczem do sukcesu na jesieni”.

Jak się okazuje, komentator ma rację. W listopadzie 1998 roku, przewagą niecałych czterech tysięcy głosów, Gwendy Peterson zajmuje w Kongresie miejsce republikanina Jamesa Leonarda jako reprezentantka Pierwszego Okręgu Wyborczego stanu Maine. Miesiąc później, zaledwie parę dni po świętach, przeprowadza się do Waszyngtonu.

No więc teraz wiecie, w jaki sposób Gwendy znalazła się w Kongresie. Z jej dwuletniej kadencji minęło już jedenaście miesięcy i osiem dni, podczas których wciskała swoją idealistyczną ideologię (jak

określono to w Fox News w ostatniej wieczornej audycji) każdemu, kto zechciał słuchać, i często nazywano ją – z niezbyt subtelnym odcieniem drwiny – kongresmenką celebrytką.

Interkom na biurku brzęczy, wrywając ją z wehikułu czasu. Gwendy niezdarnie gmera przy klawiaturze, zamyka okienko z wideo i naciska migający guzik na telefonie.

– Tak?

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale za siedem minut ma pani spotkanie z Rules and Records.

– Dzięki, Bea. Zaraz przyjdę.

Z niedowierzaniem spogląda na zegarek. Jezu, właśnie zmarnowałaś czterdzieści pięć minut na bujanie w obłokach. Co się z tobą dzieje? Ostatnio często zadaje sobie to pytanie. Chwyta dwie tekturowe teczki z wierzchu sterty i szybko wychodzi.

JAK TO SIĘ CZĘSTO DZIEJE W TYM zakątku świata, wcześniejsze spotkanie się przeciąga, więc kiedy Gwendy się zjawia, ma duży zapas czasu. Niemal dwudziestka kongresmenów tłoczy się w wąskim korytarzu, czekając na wejście do sali konferencyjnej C-9. Gwendy zajmuje stanowisko przy dystrybutorze wody w holu na zewnątrz, licząc, że spokojnie przejrzy notatki. Nic z tego – taki to już poranek.

– Zapomniałaś odrobić wieczorem lekcje, młoda damo?

Gwendy zaciska zęby i podnosi wzrok znad otwartej teczki.

Milton Jackson, długoletni reprezentant stanu Missisipi, ma siedemdziesiąt lat, wygląda na dziewięćdziesiąt i bardzo przypomina sępa, który sfrunął ze słupa telefonicznego i wśliznął się w garnitur z Men's Wearhouse. Innymi słowy, nie jest atrakcyjny.

– Ależ skąd – odpowiada Gwendy, błyskając swoim najlepszym uśmiechem. Już pierwszego dnia w nowej pracy zorientowała się, że Milton należy do tego rodzaju ludzi, którzy nienawidzą wszystkich pozytywnie nastawionych do życia czy po prostu szczęśliwych. Więc Gwendy idzie na całość. – Tylko zdobywam dodatkowe punkty. A jak pan się czuje w ten piękny grudniowy poranek?

Staruch zerka na nią z ukosa, jakby próbował zgadnąć, czy to podchwytliwe pytanie.

– Och, w porządku – mamrocze wreszcie.

– Zostaw ją w spokoju, Milt – mówi ktoś za ich plecami. – Jest dostatecznie młoda, żeby być twoją wnuczką.

Tym razem uśmiech Gwendy jest szczerzy.

– Wszędzie poznałabym ten słodki głosik – mówi, zwracając się do przyjaciółki. – Dzień dobry, Patsy.

– Hejka, Gwennie. Ten stary pryk cię napastuje?

Patsy Follett przekroczyła sześćdziesiątkę, jest drobna i pełna wdzięku. Nawet w modnych botkach na wysokich obcasach ma zaledwie metr pięćdziesiąt wzrostu. Krótko ścięte włosy farbuje na platynowy blond i raczej hojnie nakłada makijaż.

– Nie, proszę pani, omawialiśmy właśnie strategię na dzisiejsze spotkanie. – Spogląda na kongresmena. – Prawda, panie Jackson?

Staruch nie odpowiada, tylko przygląda się im przez grube szkła okularów, jakby patrzył na owady rozgniecione na szybie swojego nowiutkiego mercedesa.

– Skoro mowa o strategii – odzywa się do niego Patsy. – Nadal do mnie nie oddzwoniłeś w sprawie budżetu na edukację, Milt.

– Tak, tak – burczy staruch. – Powiem sekretarce, żeby nas umówiła.

Gwendy spuszcza wzrok na podłogę i zauważa strzęp papieru toaletowego przyklejony do pięty jednego z mokasynów kongresmena. Ostrożnie wysuwa czubek buta, odkleja papier i przesuwa go pod ścianę, żeby nikt inny na niego nie nadepnął.

– Albo może sam podniesiesz słuchawkę i zadzwonisz do mnie później w ciągu dnia – proponuje Patsy, unosząc brwi.

Milton chmurzy się i bez słowa pożegnania przepycha się łokciami na czoło grupy.

Patsy odprowadza go wzrokiem i gwiżdże cicho.

– Rany, ta jego paskudna gęba wystarczy, żeby stracić apetyt na śniadanie. Albo i na lunch.

Gwendy otwiera szeroko oczy i próbuje stłumić chichot.

– Bądź miła.

– Niemożliwe, moja droga. Dzisiaj jestem zła jak osa.

Przez korytarz przebiega szmer i wreszcie ludzie powoli zaczynają się przesuwać w stronę wejścia do sali konferencyjnej.

– Pewnie znowu przyszedł ten czas – mówi Patsy.

Gwendy przepuszcza ją ruchem ręki.

– Jaki czas?

Drobna twarz Patsy rozjaśnia się w uśmiechu pod grubą warstwą makijażu.

– Żeby stoczyć dobry bój, oczywiście.

Gwendy wzdycha i wchodzi za przyjaciółką do sali.

DWIE GODZINY PÓŹNIEJ DRZWI sali konferencyjnej otwierają się z hukiem i wylewa się z nich strumień trzydziestu kongresmenów. Każdy wygląda, jakby przydałoby mu się kilka tabletek paracetamolu albo przynajmniej zimny prysznic.

– Widziałaś minę starego Hendersona? – pyta Patsy, kiedy wychodzą z Gwendy do holu. – Myślałam, że wpadnie w szal na tym podium.

– Nigdy nie widziałam, żeby ktoś był taki czerwony...

Ktoś mocno popycha Gwendy od tyłu, odtrąca ją na bok i przeciska się dalej. To ich rozmowny przyjaciel sprzed posiedzenia, Milton Jackson.

– Hej, ładne maniery, dupku! – woła za nim Patsy.

Gwendy wsuwa pod pachę kartonowe teczki i rozciera ramię.

– Nic ci nie jest?

– Och, w porządku. Nie powinnaś tak na niego krzyżeć.

– Dlaczego? Zasłużył sobie. – Patsy spogląda na przyjaciółkę. – Ty raczej nie tracisz panowania nad sobą, co?

Gwendy wzrusza ramionami.

– Raczej nie.

– Powinnaś kiedyś spróbować. Zaraz się lepiej poczujesz.

– Dobrze. Następnym razem nazwę go... żywym dowodem na to, dlaczego potrzebujemy krótszych kadencji.

– Ciii – mówi Patsy, kiedy wchodzi do windy. – Jesteś teraz jedną z nas.

Gwendy śmieje się i naciska guzik ich piętra.

– Jakież postępy z ludźmi od farmaceutyki? – pyta Patsy.

Gwendy kręci głową i zniża głos.

– Od czasu Columbine wszyscy przerzucili się na prawo do posiadania broni i zdrowie psychiczne. I jak mogą mieć do nich pretensje? Chciałabym tylko, żeby ludzie tutaj potrafili się na czymś skupić dłużej niż przedszkolak. Trzy miesiące temu prawie miałam wystarczająco dużo głosów. Dzisiaj nie jestem nawet blisko.

Drzwi windy się rozsuwają i kobiety wychodzą na prawie pusty korytarz.

– Witaj w kieracie, koleżanko. Kręcimy się w kółko. Jak zawsze.

– Od jak dawna to robisz, Patsy?

– Reprezentuję drugi dystrykt szacownego stanu Karolina Południowa już od szesnastu lat.

Gwendy gwizdże.

– Jak...? – Urywa.

– Jak ja to robię?

Gwendy nieśmiało kiwa głową.

Patsy kładzie rękę na ramieniu młodej kongresmenki.



– Słuchaj, skarbie, wiem, co myślisz. Jak wpakowałam się w to bagno? Nie minął nawet rok i już jesteś sfrustrowana, przytłoczona i chcesz się od tego uwolnić.

Gwendy szeroko otwiera oczy.

– Nie o to mi...

Patsy przerywa jej machnięciem ręki.

– Wierz mi, wszyscy przez to przeszliśmy. To minie. Złapiesz swój rytm. A jeśli nie złapiesz i poczujesz, że toniesz, zadzwoń do mnie. Znajdziemy jakiś sposób, żeby wszystko naprawić.

Gwendy nachyla się i obejmuje przyjaciółkę. Trochę jakbym obejmowała dziecko, myśli.

– Dziękuję ci, Patsy. Prawdziwy anioł z ciebie.

– Wcale nie. Jestem stara i marudna i nie obchodzi mnie większość ludzkości, ale ty jesteś inna, Gwennie. Wyjątkowa.

– Ostatnio nie czuję się specjalnie wyjątkowa, ale dziękuję ci jeszcze raz. Bardzo.

Patsy odchodzi, ale Gwendy woła za nią:

– Mówiłaś poważnie? Czułaś się tak wcześniej?!

Starsza koleżanka odwraca się i opiera ręce na biodrach.

– Skarbie, gdybym dostawała pięć centów za każdym razem, kiedy czułam się tak jak ty, nigdy nie musiałabym rozmieniać ćwierćdolarówki.

Gwendy wybucha śmiechem.

– Co to w ogóle znaczy?

– Nie mam pojęcia. – Patsy wzrusza ramionami. – Mój zmarły mąż tak mówił, kiedy chciał się wymądrzać, i od tamtego czasu to się do mnie przyczepiło.

GWENDY WCHODZI DO SWOJEGO BIURA, czując się znacznie lepiej. Zupełnie jakby zdjęto jej z piersi ciężar i znowu mogła oddychać.

Siwowłosa recepcjonistka przestaje pisać i podnosi wzrok znad ekranu komputera.

– Zostawiłam pani dwie wiadomości na biurku. Niedługo pora na lunch. Kanapka klubowa z indykiem i frytki mogą być?

Jeśli Gwendy czasem wyobraża sobie (oczywiście w sekrecie; nigdy nie powiedziałaaby tego na głos, nawet za milion lat) posłankę Patsy Follett jako Blaszanego Dzwoneczka, wymachującego różdżką, miniaturowego, fruwającego anioła stróża z dzieciństwa, to swoją recepcjonistkę Beę Whiteley utożsamia z jej imienniczką, ukochaną ciotką szeryfa Taylora z serialu telewizyjnego *The Andy Griffith Show*.

Chociaż fizyczne podobieństwo między nimi jest niewielkie (przede wszystkim jej Bea jest Afroamerykanką), mają mnóstwo innych wspólnych cech. Po pierwsze, oczywiście imię. Ile znacze kobiet o imieniu Bea czy nawet Beatrycze? No i niepodważalne fakty: pani Whiteley jest opiekuńczką i głęboko wierząca, wyśmienicie gotuje i jest najśodsza, najmilszą kobietą, jaką Gwendy kiedykolwiek spotkała. Połączmy to wszystko w jednej osobie i kogo otrzymamy? Ciotkę Beę, oto kogo.

– Ratujesz mi życie – mówi Gwendy. – Dziękuję.

Bea bierze kartkę papieru z rogu biurka.

– Wydrukowałam też pani rozkład zajęć na jutro. – Wstaje i podaje kartkę Gwendy.

Kongresmenka przegląda listę i marszczy brwi.

– Dlaczego to przypomina ostatni dzień szkoły przed świątecznymi feriami?

– Ostatni dzień szkoły na pewno jest dużo przyjemniejszy. – Bea siada z powrotem za biurkiem. – Jak się czuje pani mama?

– Wciąż niezłe od wczoraj. Sześć tygodni po chemii. Markery na normalnym poziomie.

Starsza pani klaszcze.

– Bóg jest dobry.

– Ale tato doprowadza ją do szału. Chcesz usłyszeć najnowszą historię? – Gwendy nie czeka na odpowiedź. – Chce wycofać ich wszystkie oszczędności i zakopać na tylnym podwórzu. Jest przekonany, że bankowy system komputerowy załamał się z powodu milenijnej pluskwy. Mama nie może się doczekać, kiedy on wróci do pracy.

– Jeszcze jeden powód, żeby wracać do domu. Leci pani jutro wieczorem?

Gwendy kręci głową.

– Przełożyłam lot na sobotę rano. Muszę domknąć kilka spraw przed wyjazdem. A co z tobą i Timem? Kiedy wyjeżdżacie?

– Jedziemy w poniedziałek odwiedzić moją siostrę w Kolorado, a stamtąd w środę z wizytą do dzieci. Skoro mowa o dzieciach... Czy to będzie za duży kłopot, żeby pani podpisała dla nich kilka książek? Chętnie zapłacę. Nie chcę ich za darmo ani...

Gwendy podnosi rękę.

– Cicho bądź, dobrze? Z radością, Bea. To będzie dla mnie przyjemność.

– Dziękuję, pani Peterson. Jestem bardzo wdzięczna. – I rzeczywiście na jej twarzy maluje się wdzięczność, nie wspominając o uldze.

– Po prostu odpoczywaj i naciesz się rodziną.

– Wszyscy pod tym samym dachem przez cały tydzień? Zapowiada się... interesująco.

– Będzie ubaw – stwierdza Gwendy.

Bea przewraca oczami.

– Skoro tak pani uważa.

– Tak uważam. – Ze śmiechem wchodzi do gabinetu i zamyka za sobą drzwi.

GWENDY RZUCA SPRAWOZDANIA z powrotem na stertę i siada za biurkiem. Sięga po terminarz, ale jej ręka zastyga w powietrzu.

Obok klawiatury leży błyszcząca srebrna moneta.

Dłoń zaczyna drżeć. Serce tłucze jej się w piersi i nagle Gwendy ma wrażenie, że z pokoju wysysano całe powietrze.

Wie, zanim spojrzy, że to srebrny dolar Morgana z 1891 roku. Widziała już takie monety.

Znajomy głos, męski głos, szepcze jej do ucha: *Prawie pół uncji czystego srebra. Zaprojektowany przez pana George'a Morgana, który miał zaledwie trzydzieści lat, kiedy na tak zwanym awersie monety wygrawerował podobiznę filadelfijskiej matrony Anny Willess Williams...*

Gwendy gwałtownie odwraca głowę, ale nikogo tam nie ma. Rozgląda się po gabinecie, czekając, aż głos ponownie się odezwie. Czuje się tak, jakby właśnie zobaczyła ducha – i może zobaczyła. Wszystkie inne wygląda normalnie. Wyciąga drugą rękę i czubkiem palca wskazującego muska powierzchnię monety. Jest zimna w dotyku i prawdziwa. Nie wyobraża jej sobie. Nie przechodzi wywołanego stresem załamania psychicznego.

Z sercem w gardle powoli przesuwają monetę kciukiem po biurku, bliżej siebie. Potem nachyla się, żeby lepiej widzieć. Srebrny dolar jest w stanie menniczym i miała rację – to Morgan z 1891 roku. Anna Williams uśmiecha się do niej niemrugającymi srebrnymi oczami.

Gwendy cofa dłoń i odruchowo wyciera ją o rękaw bluzki. Potem wstaje i powoli krąży po pokoju. Ma wrażenie, jakby właśnie obudziła się ze snu. Uderza kolaniem o zaokrąglony róg stolika do kawy, ale ledwie to zauważa. Nagle zmienia kierunek i zatrzymuje się przed szafą, jedynym miejscem, gdzie ktoś mógł się ukryć. Bierze głęboki oddech, w myślach liczy do trzech – i szarpnięciem otwiera drzwi.

Odskakuje, zasłaniając twarz rękami, o mało się nie przewraca, ale w szafie nikogo nie ma. Na druczanych wieszakach wisi kilka kurtek i swetrów, na dnie walają się dresy i buty do biegania obok nowiutkich śniegowców, jeszcze w pudełku.

Odetchnąwszy z ulgą, Gwendy zamyka drzwi i znowu odwraca się do biurka. Srebrna moneta leży tam, błyszcząc w górnym świetle, odzwajemniając jej spojrzenie. Gwendy chce już zawołać Beę, kiedy coś przyciąga jej wzrok. Podchodzi do szafki na akta w kącie pokoju. Na szafce stoi brązowe popiersie Joshuy Chamberlaina, bohatera wojny secesyjnej z Maine, prezent od ojca.

Gwendy otwiera górną szufladę. Wypełniają ją teczki i różne dokumenty. Zamyka ją i robi to samo z drugą: wysuwa, zagląda do środka, zamyka. Wstrzymując oddech, przykłęka i otwiera dolną szufladę.

I tam to znajduje: pudełko z guzikami.

Piękny mahoń, brązowa barwa tak nasyczona, że w głębi widać maleńkie czerwone iskielki. Pudełko ma jakieś trzydzieści pięć centymetrów długości, około trzydziestu centymetrów szerokości i połowę tego wysokości. Na wierzchu znajdują się małe guziki, sześć w rzędach po dwa i pojedyncze na obu końcach. Razem osiem. Te w parach to jasnozielony i ciemnozielony, żółty i pomarańczowy, niebieski i fioletowy. Jeden guzik na końcu jest czerwony. Drugi – czarny. Są też małe dzwignie na obu końcach pudełka i coś jakby szpara pośrodku.



Na chwilę Gwendy zapomina, gdzie jest, zapomina, ile ma lat, zapomina, że w ogóle istnieje dobry i łagodny człowiek, który nazywa się Ryan Brown. Znowu ma dwanaście lat i kuca przed szafą w swoim pokoju, w małym miasteczku Castle Rock w Maine.

Wygląda dokładnie tak samo, myśli. Wygląda tak samo, bo to jest to samo. Poznaje od razu, nawet po tylu latach.

Rozlega się głośne pukanie do drzwi. Gwendy o mało nie mdleje.

– DOBRZE SIĘ PANI CZUJE? Pukam już od dawna.

Gwendy odsuwa się od drzwi i wpuszcza recepcjonistkę do gabinetu. Bea niesie małą tacę z kanapką klubową. Kładzie ją na biurku i odwraca się do szefowej. Nawet jeśli zauważa srebrną monetę obok klawiatury, nie wspomina o niej.

– Nic mi nie jest – mówi Gwendy. – Tylko trochę mi wstyd. Czytałam i chyba przysnęłam.

– Musiało się pani coś przyśnić. Brzmiało to tak, jakby pani jęczała.

Nie wiesz nawet połowy, myśli Gwendy.

– Na pewno nic pani nie jest? – pyta Bea. – Pozwolę sobie powiedzieć, że wydaje się pani lekko wstrząśnięta i strasznie błada. Prawie jakby zobaczyła pani ducha.

Znowu trafiłaś, myśli Gwendy i z trudem powstrzymuje chichot.

– Biegałam dziś rano dłużej niż zwykle i mało piłam. Pewnie jestem po prostu odwodniona.

Recepcjonistka mierzy ją długim spojrzeniem, wyraźnie nieprzekonana.

– W takim razie przyniosę jeszcze kilka butelek wody. Zaraz wracam.

Odwraca się i wychodzi.

– Bea?

Recepcjonistka przystaje w drzwiach i odwraca się.

– Czy ktoś zaglądał tu dziś rano, kiedy byłam na spotkaniu?

Bea kręci głową.

– Nie, proszę pani.

– Jesteś pewna?

– Tak, proszę pani. – Rozgląda się. – Coś nie tak? Mam wezwać ochronę?

– Nie, nie – rzuca Gwendy i wyprowadza starszą panią z gabinetu. – Ale może powinnaś wezwać lekarza, bo ostatnio ciągle zasypiam w porze lunchu.

Bea ponownie uśmiecha się słabo, bez przekonania, i pospiesznie wychodzi.

Gwendy zamyka za nią drzwi i wraca prosto do szafki na akta. Wie, że nie ma wiele czasu. Znowu przykłęka na jedno kolano i wysuwa dolną szufladę. Pudełko z guzikami wciąż tam jest, bliżej spokojnie w górnym świetle, czeka na nią.

Gwendy sięga po nie obiema rękami, z wahaniem, jej palce zatrzymują się centymetr czy dwa nad wypolerowaną powierzchnią. Czuje, jak włoski na ramionach stają jej dęba, słyszy słabutki szepot *czegoś* w odległym zakamarku mózgu. Bierze się w garść i ostrożnie wyjmuje pudełko z szuflady. A wtedy wszystko nagle do niej wraca...

KIEDY GWENDY BYŁA MAŁA, ojciec każdego lata, zwykle około Czwartego Lipca, przynosił ze strychu stare kartonowe pudło podpisane SLAJDY. Ustawiał wiekowy rzutnik na stoliku do kawy w swoim gabinecie, rozwijał ekran projekcyjny przed kominkiem i gasił wszystkie światła. Zawsze robił z tego wielkie wydarzenie. Mama przynosiła popcorn i dzbanek świeżej lemoniady. Tato wygłaszał komentarz do każdego slajdu swoim, jak to nazywał, „hollywoodzkim głosem”, a w przerwach urządzał teatrzyk cieni. Gwendy zwykle siedziała na sofie między rodzicami, ale niekiedy dołączały dzieciaki z sąsiedztwa i wówczas siadywała z nimi na podłodze przed ekranem. Niektóre dzieci szybko się nudziły i wymyślały preteksty, żeby wyjść („Ups, przepraszam, panie Peterson, ale właśnie sobie przypomniałem, że obiecałem mamie, że dzisiaj posprzątam swój pokój”), ale Gwendy nigdy. Fascynowały ją obrazy na ekranie, a jeszcze bardziej historie opowiedane przez te obrazy.

Kiedy palce Gwendy obejmują pudełko po raz pierwszy od piętnastu lat, przed jej oczami rozkwitają żywe, jaskrawe obrazy, jakby pokaz slajdów – każdy opowiadający własną sekretną historię. Nagle jest:

*– 22 sierpnia 1974 roku, obcy mężczyzna w czarnym płaszczu i schludnym małym czarnym kapeluszu sięga pod ławkę w parku Castle View i wyciąga brezentowy worek, ściągany u góry sznurkiem. Otwiera go i wyjmuje przepiękne mahoniowe pudełko...*

*– wczesny wrześnieowy poranek, Gwendy stoi przed szafą w swoim pokoju, ubiera się do szkoły. Na koniec wrzuca do ust maleńki kawałek czekolady i przyryka oczy w ekstazie...*

*– szkoła średnia, Gwendy przegląda się w dużym lustrze w przebieralni i uświadamia sobie, że jest więcej niż ładna: jest wystrzałowa i nie nosi już okularów...*

*– druga klasa liceum, Gwendy siedzi na sofie w salonie, patrząc ze zgrozą, jak ekran telewizora wypełniają zdjęcia napuchniętych ciał, które obsiadły muchy...*

*– późna noc, w domu grobowa cisza, Gwendy siedzi po ciemku ze skrzyżowanymi nogami na łóżku, trzyma na kolanach pudełko z guzikami, w skupieniu zamyka oczy i przyciska kciukiem czerwony guzik, a potem przechyla głowę w stronę otwartego okna i nasłuchuje odległego rumoru...*

*– ciepły wiosenny wieczór, Gwendy krzyczy histerycznie, kiedy dwaj nastolatki wpadają na jej nocny stolik, strącając na podłogę szczotki do włosów i przybory do makijażu, potem zataczają się prosto w otwarte drzwi szafy, przewracają się i zrzucają na siebie z plastikowych wieszaków sukienki, spodniczki i spodnie, a na koniec ze sterty ubrań wyłania się brudna ręka z wytatuowaną niebieską pajęczyną, unosi pudełko z guzikami i opuszcza je z rozmachem, kantem w dół, na czaszkę jej chłopaka.*

Gwendy gwałtownie chwyta powietrze i znowu jest w Waszyngtonie – i nie ma ani chwili od stracenia. Czołga się na czworakach po podłodze gabinetu i wymiotuje do kosza na śmieci obok biurka.



ZE WZGLĘDU NA WYSOKIE KOSZTY UTRZYMANIA dwóch mieszkań w różnych stanach wielu pierwszorocznych reprezentantów w Kongresie musi wynajmować apartamenty po wygórowanych cenach (często w wilgotnych suterenach bez wentylacji) albo dzielić domki jednorodzinne czy mieszkania w bloku z licznymi współlokatorami. Większość na to nie narzeka. Dużo pracują i wracają do domu tylko po to, żeby wziąć prysznic i przespać się, czasami bez pośpiechu zjeść posiłek, jeśli mają szczęście.

Dzięki sukcesom jej powieści oraz filmowych adaptacji Gwendy Peterson nie ma trudności finansowych i mieszka sama w dwupiętrowym domu, stojącym dwie przecznice na wschód od Kapitolu. Niemniej wciąż dręczą ją z tego powodu wyrzuty sumienia i zawsze chętnie udostępnią pokój gościnny każdemu, kto potrzebuje noclegu.

Jednak tego wieczoru, siedząc na środku sofy z podwiniętymi nogami, podjadając z kartonu krewetki *lo mein* i patrząc niewidzącym wzrokiem na ekran telewizora, jest ogromnie wdzięczna za to, że mieszka sama, i jeszcze bardziej się cieszy, że nie ma żadnych nocujących gości.

Pudełko z guzikami spoczywa obok niej na sofie. Wygląda tam nie na miejscu, niemal jak dziecięca zabawka w sterylnym środowisku miejskiego domu. Przez większość popołudnia Gwendy próbowała wymyślić, jak przeszmulgować je z gabinetu. Po kilku nieudanych próbach postanowiła wreszcie wrzucić nowe śniegowce na dno szafy i wykorzystać duże kartonowe pudło, w którym je dostarczono. Na szczęście bramki kontrolne rozsiane po budynku nastawione są na sprawdzanie przychodzących pracowników, nie wychodzących.

W telewizorze ryczy reklama nowego filmu z Tomem Hanksem, ale Gwendy jej nie zauważa. Od dwóch godzin nie ruszyła się z sofy, otworzyła tylko drzwi dostawcy. Dziesiątki pytań kłębią się jej w głowie, jedno gonia drugie, a następne czekają w mroku na swoją kolej.

Dwa pytania powtarzają się najczęściej, jak w ciągłej pętli:

Dlaczego pudełko wróciło?

I dlaczego teraz?

GWENDY NIGDY NIE POWIEDZIAŁA nikomu o pudełku z guzikami. Ani mężowi, ani rodzicom, nawet Johnathonowi czy terapeutce, do którego chodziła dwa razy w tygodniu przez sześć miesięcy, kiedy miała dwadzieścia parę lat.

Był czas, kiedy pudełko wypełniało jej każdą świadomą myśl, kiedy miała obsesję na punkcie jego tajemnicy i zawartej w nim mocy, ale to było w innym życiu. Teraz najczęściej jej wspomnienia o pudełku przypominają rozproszone urywki powracającego snu, który śniła w dzieciństwie, ale którego szczegóły dawno się zagubiły w nieskończonych labiryntach dorosłości. Wiele jest prawdy w starym powiedzeniu: co z oczu, to z serca.

Oczywiście myślała czasem o pudełku z guzikami, odkąd piętnaście lat temu znikło z jej życia, ale – przez ostatnią godzinę pogodziła się z tą świadomością – bynajmniej nie tak często, jak chyba powinna, zważywszy na ogromną rolę, jaką pudełko z guzikami odegrało w okresie jej dojrzewania.

W przeszłości zdarzało się, że całymi tygodniami, nawet miesiącami ani razu o nim nie pomyślała, a potem bum! – oglądała w wiadomościach reportaży o jakiejś tajemniczej, pozornie naturalnej katastrofie, która wydarzyła się w jakimś odległym stanie czy kraju, i natychmiast wyobrażała sobie kogoś siedzącego w samochodzie albo przy kuchennym stole, z palcem spoczywającym na lśniącem czerwonym guziku.

Albo natrafiała w internecie na news o człowieku, który znalazł zakopany skarb na tylnym podwórzu swojego podmiejskiego domu, i klikała na link, żeby sprawdzić, czy były tam srebrne dolary Morgana z 1891 roku.

Zdarzały się również mroczne chwile – na szczęście rzadkie – kiedy jej uwagę przyciągały jakieś stare ziarniste filmy w telewizorze albo urywki dyskusji w radiu, dotyczące masakry w Jonestown w Gujanie. Wtedy serce jej zamierało, w piersiach rodził się ból i na wiele dni zapadała się w czarną otchłań depresji.

I wreszcie były też chwile, kiedy spostrzegała schludny melonik podskakujący w strumieniu pieszych na zatłoczonym chodniku albo spoglądała na stolik w kawiarnianym ogródku i zauważała lśniąca kopułę tego czarnego kapelusza obok filiżanki parującej kawy albo oszronionej szklanki z mrożoną herbatą, i oczywiście jej myśli biegły do mężczyzny w czarnej marynarce. Myślała o Richardzie Farrisie i jego meloniku częściej niż o całej reszcie. Zawsze to tajemniczy pan Farris wypływał najbliżej powierzchni jej świadomości. To jego głos usłyszała w swoim gabinecie i jego głos słyszy znowu teraz, kiedy siedzi na sofie z podwiniętymi gołymi nogami: „Pilnuj tego pudełka, Gwendy. Daje prezenty, ale to niewielka rekompensata za odpowiedzialność. I bądź ostrożna...”.

A CO Z PREZENTAMI, które pudełko tak chętnie rozdaje?

Chociaż tak naprawdę nie widziała, jak ze szpary na środku pudełka wysuwa się wąska drewniana półeczka, na której leży srebrny dolar, uważa, że właśnie stamtąd wzięła się moneta na jej biurku. Moneta, pudełko; pudełko, moneta; to wszystko idealnie pasuje.

Czy to znaczy, że pociągając za drugą dźwigienkę – tę na lewo od czerwonego guzika, przypomina sobie, jakby to było wczoraj – otrzyma maleńką czekoladkę? Może. A może nie. Z pudełkiem nigdy nic nie wiadomo. Piętnaście lat temu była przekonana, że ten przedmiot ma znacznie więcej ukrytych sztuczek, a teraz wierzy w to jeszcze mocniej.

Muska palcami małą dźwigienkę, myśląc o czekoladkach w kształcie zwierzątek, każda inna, każda cudownie słodka i nie większa od żelka. Pamięta, kiedy po raz pierwszy zobaczyła jedną z nich – stała obok Richarda Farrisa przed ławką w parku. Czekoladka miała kształt królika, przedstawionego ze zdumiewającym bogactwem szczegółów – futerko, uszy, śliczne małe oczka! Potem były kotek, wiewiórka i żyrafa. Dalej wspomnienia się zacierają, ale Gwendy pamięta wystarczająco dobrze: zjedz jedną czekoladkę i nie będziesz miała ochoty na drugą; zjedz ich więcej w jakimś okresie i zmienisz się – staniesz się szybsza, silniejsza i bystrzejsza. Będziesz miała więcej energii i zawsze będziesz wygrywać, czy to w grach planszowych, czy w rzucie monetą. Czekoladki poprawiają również wzrok i usuwają trądzik. A może to ostatnie jest związane z dojrzałością? Niekiedy trudno powiedzieć.

Gwendy spuszcza wzrok i widzi z przerażeniem, że jej palec przewędrował od małej dźwigienki z boku pudełka do rzędów kolorowych guzików. Gwałtownie cofa rękę, jakby wsadziła ją do gniazda szerszeni.

Ale jest już za późno – i głos znowu się odzywa:

„Jasnozielony: Azja. Ciemnozielony: Afryka. Pomarańczowy: Europa. Żółty: Australia. Niebieski: Ameryka Północna. Fioletowy: Ameryka Południowa”.

– A czym jest czerwony? – pyta Gwendy na głos.

„Czymkolwiek zechcesz – odpowiada głos. – A zechcesz na pewno, właściciel pudełka zawsze tego chce”.

Gwendy kręci głową, próbując uciszyć głos, ale on jeszcze nie skończył.

„Te guziki bardzo trudno się przyciska – mówi Farris. – Trzeba użyć kciuka i porządnie napiąć mięśnie. I bardzo dobrze, możesz mi wierzyć. Nie chciałybyś ich pomylić, o nie. Zwłaszcza tego czarnego”.

Czarny guzik... wtedy nazwała go Guzikiem Raka. Wzdryga się na to wspomnienie.

Dzwoni telefon.

I po raz drugi tego dnia Gwendy prawie mdleje.

– RYAN! TAK SIĘ CIESZĘ, że zadzwoniłeś.

– Próbuję się... od paru dni, kochanie – mówi, jego głos chwilami niknie wśród szumu zakłóceń. – Te głupie telefony tutaj są do niczego.

„Tutaj” to mała wysepka Timor, położona w rejonie Azji Południowo-Wschodniej. Od początku grudnia Ryan jest tam z ekipą magazynu „Time”, relacjonującą kryzys rządowy.

– Dobrze się czujesz? – pyta Gwendy. – Jesteś bezpieczny?

– Śmierdę, jakbym od tygodni... w chlewie, ale nic mi nie jest.

Gwendy się śmieje. Łzy szczęścia spływają jej po policzkach. Wstaje z sofy i zaczyna chodzić tam i z powrotem.

– Zdziesz do domu na święta?

– Nie wiem, skarbie. Spróbuję, ale tutaj... się gorąco.

– Rozumiem. – Gwendy kiwa głową. – Mam nadzieję, że się mylisz, ale rozumiem.

– Jak się czuje...? – pyta ją mąż i znowu coś przerywa.

– Co? Nie słyszę cię, kochanie.

– Jak się czuje twoja mama?

Gwendy uśmiecha się... a potem staje jak wryta.

Patrzy na zasłoniętą szybę w górnej połowie drzwi kuchennych, niepewna, czy się jej nie przywidziało. Mija kilka sekund i już zaczyna wierzyć, że poniosła ją wyobraźnia, kiedy cień znowu się porusza. Ktoś jest na zewnątrz.

– ...słyszysz mnie? – pyta Ryan, a ona się wzdryga.

– Och, czuje się świetnie – odpowiada, wsuwa się powoli do kuchni i otwiera szufladę. – Nabiera wagi i chodzi na badania.

Wyjmuje nóż do steków i trzyma opuszczony wzdłuż nogi.

– Będę musiał jej... pankejki według sekretnego przepisu, kiedy... do domu.

– Po prostu wracaj w jednym kawałku, dobrze?

On się śmieje i zaczyna coś jeszcze mówić, a potem rozlega się przeraźliwy pisk zakłóceń... i zapada cisza.

– Halo? Halo? – Gwendy odsuwa telefon od ucha, żeby spojrzeć na wyświetlacz. – Cholera.

Połączenie zostało przerwane.

Gwendy kładzie komórkę na blacie, kuca i przesuwa się do drzwi. Dociera do końca rzędu szafek, przez ostatnie metry pełnie jak krab i zatrzymuje się pod drzwiami. Zanim zdąży stracić odwagę, wydaje dziki wrzask, zrywa się na nogi, jedną ręką zapala światło na zewnątrz i czubkiem noża w drugiej ręce odsuwa kwiecistą zasłonkę.

Ktokolwiek stał za drzwiami, zniknął. Gwendy widzi tylko swoje odbicie, patrzące na nią szeroko otwartymi oczami.

GWENDY ZABIERA TELEFON z kuchennego blatu i najpierw (zanim jeszcze podejdzie do drzwi frontowych i sprawdzi zamki) upewnia się, że pudełko z guzikami jest na miejscu. Przez jedną okropną, przerażającą chwilę, przechodząc z kuchni do pokoju dziennego, wyobraża sobie, że intruz na tyłach domu zastosował dywersję i podczas gdy ona przypuściła kontratak, jego wspólnik włamał się przez frontowe drzwi i ukradł pudełko.

Całe jej ciało odpręża się z ulgi, kiedy widzi je leżące na sofie, tam gdzie je zostawiła.

Krótko potem, kiedy wchodzi z pudełkiem na górę, uświadamia sobie, że nawet nie przyszło jej do głowy, by powiedzieć o nim Ryanowi. W pierwszej chwili próbuje to tłumaczyć przerwany połączeniem, ale w głębi duszy wie lepiej. Pudełko z guzikami wróciło do niej i tylko do niej. Do nikogo innego.

– Jest moje – mówi, wchodząc do sypialni.

Drży, słysząc pasję w swoim głosie.

GWENDY JAK WE ŚNIE PRZEŻYWA siedemnasty grudnia 1999 roku, ostatni dzień w biurze, zanim zacznie się trzytygodniowa przerwa świąteczna w obradach Kongresu. Przez pierwsze piętnaście minut przekonuje Beę, że czuje się wystarczająco dobrze, by pracować (poprzedniego dnia spanikowana recepcjonistka chciała już wzywać pogotowie, kiedy zastała szefową wymiotującą do kosza na śmieci; na szczęście Gwendy zdołała ją przekonać, że widocznie zaszkodziło jej coś, co zjadła na śniadanie, i kiedy zgodziła się iść do domu czterdzieści minut wcześniej, starsza kobieta wreszcie ustąpiła), a przez następne osiem i pół godziny walczy z impulsem, żeby popędzić do domu i sprawdzić, co z pudełkiem.

Nie chciała zostawiać pudełka w domu, zwłaszcza po incydencie przy drzwiach kuchennych poprzedniego wieczoru, ale nie miała wielkiego wyboru. Nie wiedziała, jak aparaty rentgenowskie w bramkach kontrolnych zareagują na pudełko, a jeszcze bardziej niepokoiło ją, jak pudełko może zareagować na prześwietlenie rentgenem. Nie miała pojęcia, jak wygląda jego wnętrze ani z czego jest zrobione, ale wolała nie ryzykować.

Zanim wyszła z domu, schowała je w głębi wąskiej szafy pod schodami. Przed nim i wokół niego ustawiła kartonowe pudła z książkami, a na wierzch rzuciła stertę zimowych płaszczy. Usatysfakcjonowana, zamknęła małe drzwiczki szafy, zamknęła dom na klucz i idąc piechotą, minęła dwie przecznice dzielące ją od Kapitolu. Tylko dwa razy zawróciła, żeby sprawdzić, co z pudełkiem, zanim wreszcie dotarła do pracy.

Ostatni dzień Gwendy mija wśród niewyraźnych głosów bez twarzy i hałasów w tle. Kilka telefonicznych konferencji rano i parę krótkich posiedzeń komisji po południu. Prawie nie pamięta, co na nich mówiono ani nawet co jadła na lunch.

Kiedy wybija piąta, Gwendy zamyka gabinet na klucz i idzie wręczyć prezenty gwiazdkowe współpracownikom – zestaw świeczek zapachowych i soli do kąpeli dla Patsy, kaszmirowy sweter i bransoletkę dla Bei oraz stos podpisanych książek dla dzieci Bei. Wymieniają najlepsze życzenia i pożegnalne uściski, po czym Gwendy idzie do holu.

– BĘDĘ TĘSKNIŁ ZA PANI UŚMIECHNIĘTĄ twarzą przez następne tygodnie, pani kongresmenko.

– Ja też będę tęsknić – mówi Gwendy, przystając przy biurku ochrony. Sięga do torby i wyjmuje pudełeczko owinięte w ozdobny papier z bałwankami. Podaje je przez barierkę maszynemu ochroniarzowi. – Wesołych świąt, Haroldzie.

Harold otwiera usta. Powoli wyciąga ręce i bierze prezent.

– Pani mi daje... to naprawdę dla mnie?

Gwendy z uśmiechem kiwa głową.

– Oczywiście. Jak mogłam zapomnieć o moim ulubionym szefie ochrony?

Patrzy na nią, zmieszany.

– Szefie...? – Potem uśmiecha się szeroko i jego złote zęby błyskają do niej w świetle jarzeniówek. – Och, żartuje pani ze mnie.

– Nie wygłupiaj się, Haroldzie, i otwórz prezent.

Mięsiste palce rozdierają ozdobny papier i odsłaniają lśniące czarne pudełeczko ze złotym nadrukiem: Bulova. Strażnik podnosi wzrok i patrzy na nią z niedowierzaniem.

– Pani mi kupiła zegarek?

– Widziałam, jak w zeszłym tygodniu podziwiałeś zegarek kongresmena Andersona – mówi Gwendy. – Pomyślałam, że zasługujesz na własny.

Harold otwiera usta, ale nie wydaje żadnego dźwięku. Gwendy widzi ze zdziwieniem, że jego oczy zachodzą łzami, a podbródek się trzęsie.

– To... najlepszy prezent, jaki dostałem w życiu – mówi wreszcie ochroniarz. – Dziękuję.

Po raz pierwszy tego dnia Gwendy czuje, że może wszystko będzie dobrze.

– Proszę bardzo, Haroldzie. Życzę tobie i twojej rodzinie cudownych świąt.

Życzliwie klepie go po ramieniu i odwraca się, żeby odejść.

– Nie tak szybko – zatrzymuje ją Harold. Sięga pod biurko, wyjmuje pakunek i wręcza go Gwendy. Patrzy na niego ze zdumieniem, a potem czyta karteczkę przyklepioną do prezentu: *Dla kongresmenki Gwendy Peterson od Harolda i Beth.*

– Dziękuję – mówi, szczerze wzruszona. – Dziękuję wam obojgu.

Otwiera prezent. To gruba książka w twardej oprawie z jaskrawopomarańczową obwolutą. Obraca ją, żeby zobaczyć okładkę z przodu – i wszystko wokół kołysze się, w górę i w dół, jakby usiadła na huśtawce na placu zabaw.

– Nic pani nie jest, kongresmenko? Ma już ją pani?

– Nie, nie. – Gwendy podnosi książkę. – Nie znam jej, ale zawsze chciałam ją przeczytać.

– Och, to dobrze – mówi Harold z ulgą. – Ja tam się nie mogłem w niej połapać, ale żona czytała i mówi, że jest fascynująca.

Gwendy zmusza się do uśmiechu.

– Jeszcze raz dziękuję, Haroldzie. To naprawdę urocza niespodzianka.

– To ja jeszcze raz dziękuję, kongresmenko Peterson. Nie powinna pani, ale cieszę się, że pani to zrobiła. – Ochroniarz parska śmiechem.

Gwendy wsuwa książkę do skórzanej torby i rusza do windy. Jadąc w dół, znowu zerka na okładkę, tylko żeby się upewnić, że nie zwariowała.

Nie zwariowała.

Książka, którą podarował jej Harold, to *Tęcza grawitacji*. Powieść, którą Richard Farris czytał na ławce w Castle View dwadzieścia pięć lat wcześniej – w dniu, kiedy dał Gwendy pudełko z guzikami.



GWENDY MIAŁA OCHOTĘ ODWOŁAĆ dawno zaplanowaną kolację z przyjaciółkami, zanim jeszcze dostała *Tęczę grawitacji*, a niezbyt przyjemna, chociaż pomyślana w dobrej wierze, niespodzianka Harolda przeważa szalę. Gwendy idzie prosto do domu, wyciąga z kryjówki pudełko z guzikami, przebiera się w workowaty sweter i spodnie od dresu, po czym zamawia jedzenie.

Podczas gdy jej przyjaciółki – dwie dawne koleżanki ze studiów w Brownie – delektują się filet mignon i grillowanymi warzywami w słynnym Old Ebbitt Grill na Piętnastej (gdzie stolik trzeba zamawiać z kilkugodniowym wyprzedzeniem), Gwendy siedzi sama w jadalni, grzebiąc w żalostnej imitacji sałatki i skubiąc kawałek pizzy.

Oczywiście nie jest całkiem sama. Pudełko z guzikami leży na drugim końcu stołu, obserwując ją niczym niemy świadek. Kilka minut wcześniej Gwendy podniosła wzrok znad kolacji i zapytała całkiem poważnie:

– Okay, wróciłeś. Co mam teraz z tobą zrobić?

Pudełko nie odpowiedziało.

Gwendy skupia uwagę na wieczornym dzienniku telewizyjnym i nie polepsza jej to humoru. Wciąż nie może uwierzyć, że Clinton przegrał z tym idiotą.

– Prezydent Stanów Zjednoczonych to cholerny dureń – mówi, wpychając do ust listek sałaty, raczej brązowy niż zielony. – Powiedz im to, Bernie.

Prezenter Bernard Shaw, szpakowaty i dystyngowany, z gęstym wąsem, właśnie to robi:

„...podsumować ciąg wydarzeń, które doprowadziły nas do tego potencjalnie katastrofalnego impasu. Na początku fotografie z satelitów szpiegowskich wzbudziły w amerykańskim rządzie podejrzenie, że Korea Północna buduje nową elektrownię jądrową obok ośrodka energii atomowej Jongbjon, pierwotnie zlikwidowanego zgodnie z porozumieniem z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego czwartego roku. Opierając się na tych fotografiach, Waszyngton zażądał inspekcji elektrowni. W odpowiedzi Pjongiang domaga się, żeby Stany Zjednoczone zapłaciły trzysta milionów dolarów za pozwolenie na inspekcję. Parę dni temu prezydent Hamlin gniewnie – i zdaniem wielu niegrzecznie – odpowiedział przywódcy Korei Północnej i odmówił zapłacenia takiej sumy, nazywając propozycję »śmieszna i absurdalna«. Godzinę temu Pjongiang wystosował pisemne oświadczenie, w którym określił prezydenta Hamlina jako »bezmózgiego tyрана« i zagroził wycofaniem się z porozumienia z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego czwartego roku. Na razie brak odpowiedzi z Białego Domu, ale pewien anonimowy urzędnik twierdzi...”

– Po prostu wspaniale – mówi Gwendy, wstaje od stołu i wrzuca resztki sałatki do kosza. – Zawody w sikaniu na odległość między dwoma egocentrykami. Dostanę w tej sprawie mnóstwo telefonów...

GWENDY PODCIĄGA KOC NA PIERSI i rzuca ostatnie spojrzenie na pudełko z guzikami, zanim zgasi lampkę nocną. Wcześniej, po umyciu zębów i twarzy, postawiła pudełko na toalecie, obok tacki z biżuterią i szczotek do włosów. Teraz zastanawia się, czy nie powinna przysunąć go bliżej. Dla bezpieczeństwa.

Wyciąga rękę, żeby znowu zapalić światło – i zamiera, kiedy słyszy skrzypienie zawiasów, które trzeba naoliwić. Natychmiast rozpoznaje ten dźwięk. Tak skrzypią przy otwieraniu drzwi jej garderoby.

Niezdolna się poruszyć, patrzy z przerażeniem, jak z garderoby wyłania się ciemna postać. Próbuje wykrztusić ostrzeżenie – „Stój, mam broń! Dzwonię na policję!”, cokolwiek, co mogłoby jej kupić trochę czasu – ale uświadamia sobie, że wstrzymała oddech. Nagle przypomina sobie o pudełku z guzikami na toalecie, zrywa z siebie gruby koc i gramoli się przez łóżko.

Ale intruz jest zbyt szybki.

Rzuca się na nią, silne ramiona chwytają ją w talii i ciągną z powrotem na łóżko. Gwendy wrzeszczy i młóci pięściami napastnika, mierzy paznokciami w jego oczy, zdziera mu z twarzy kominiaarkę.

Widzi jego twarz w poświacie telewizora i zachłystuje się powietrzem.

To Frankie Stone – jakimś cudem znowu żywy i wyglądający dokładnie tak, jak prawie dwadzieścia lat wcześniej, kiedy zabił jej chłopaka: workowate spodnie moro, ciemne okulary, obcisła koszulka i ten głupkowski uśmiech, tłuste brązowe włosy spadające na ramiona, rozstrzelony deseń trądziku na policzkach.

Przekręca ją i przygważdża do materaca, a ona czuje jego cuchnący, przesiąknięty alkoholem oddech, kiedy syczy:

– Oddaj mi pudełko, głupia dziwko. Oddaj mi je zaraz, bo zjem cię żywcem...

...a potem jego szczęki rozwierają się niemożliwie szeroko i świat ciemnieje, kiedy Frankie Stone zamyka usta i ją pochłania.

GWENDY PODRYWA SIĘ NA ŁÓŻKU, przyciska do piersi zmiętą przeпоconą pościel i łapie oddech. Jej spojrzenie biegnie do drzwi garderoby na drugim końcu pokoju – szczelnie zamkniętych – a potem do toaletki. Pudełko z guzikami jest dokładnie tam, gdzie je zostawiła, leży w ciemności i obserwuje ją uważnie.

– NA PEWNO NIE CHCE PANI, żebym schował pani bagaż, kongresmenko Peterson?

Gwendy patrzy na drugiego pilota, który przedstawił się zaledwie parę minut wcześniej, kiedy weszła na pokład ośmioosobowego prywatnego samolotu, ale zapomniała już jego nazwisko.

– Nie, nie trzeba. Wzięłam ze sobą laptopa i pewnie trochę popracuję, jak już będziemy w powietrzu.

– Doskonale. Startujemy za jakieś dwadzieścia minut.

Obdarza ją uspokajającym uśmiechem – takim, który mówi: *Twoje życie jest w moich rękach, paniusiu, ale dobrze się wyspałem i rano wziąłem tylko małego niucha kokainy, więc hej, wszystko w porządku* – i wycofuje się do kokpitu.

Gwendy ziewa i wygląda przez okno na ruchliwy pas startowy. Ostatnie, na co ma ochotę podczas krótkiego lotu, to popracować na laptopie. Jest wyczerpana po nieprzespanej nocy i w podłym nastroju. Nie minęło nawet czterdzieści osiem godzin, odkąd pudełko z guzikami powróciło do jej życia, a ona już przeszła od szoku i ciekawości do gniewu i urazy. Spogląda na swoją podręczną walizkę, wepchniętą pod fotel z przodu, i powstrzymuje chęć, żeby znowu sprawdzić, co z pudełkiem.

Zaciska powieki i próbuje stłumić obsesyjny głos gadający w jej głowie, po czym gwałtownie otwiera oczy, kiedy uświadamia sobie, że zapada w drzemkę. Spanie przy niezabezpieczonym pudełku to nie najlepszy pomysł.

– Jest bezpieczne? – pyta nagle na głos, bezwiednie.

Ponownie spogląda na walizkę. Lot trwa niecałe półtorej godziny. Co złego by się stało, gdyby ucięła sobie krótką drzemkę? Nie wie i nie chce się dowiedzieć. Wyśpi się w domu.

*Jest bezpieczne?* Myśli o starym filmie z Dustinem Hoffmanem, w którym podły nazistowski dentysta pyta: *Jest bezpieczne?*

Jeśli chodzi o pudełko z guzikami, Gwendy zna odpowiedź na to pytanie. Pudełko nigdy nie jest bezpieczne. Nigdy.

– Jesteśmy następni w kolejce do startu, kongresmenko – mówi drugi pilot, wychylając się z kokpitu. – Powinniśmy wylądować w Castle Rock kilka minut przed dwunastą.

JEŚLI GWENDY MA BYĆ SZCZERA – a właśnie na to się decyduje, kiedy king air 200 wzbija się wysoko w chmury nad mulistą pętlą Potomacu – musi przyznać, że jej markotny nastrój wypływa z jednego mrocznego źródła: dawno wypartego wspomnienia z młodości.

Był ciepły i wietrzny sierpniowy dzień, tuż przed rozpoczęciem drugiej klasy liceum, i Gwendy właśnie wbiegła po raz pierwszy od miesiący na Schody Samobójców. Dotarła na szczyt i usiadła, żeby odpocząć, na tej samej ławce w punkcie widokowym Castle View, gdzie przed laty po raz pierwszy spotkała Richarda Farris. Przez chwilę rozciągała nogi, a potem odchyliła głowę i zamknęła oczy, rozkoszując się dotykiem słońca i wiatru na twarzy.

Pytanie, które wykiełkowało w jej umyśle, kiedy siedziała na ławce tamtego dawno minionego lata, powróciło – i to dość brutalnie – tego ranka, kiedy upychała pudełko z guzikami w podręcznej walizce, między zwiniętymi skarpetkami i swetrami. *Ile w życiu dokonała sama, a ile jest dziełem pudełka z jego guzikami i czekoladkami?*

Wspomnienie – i główna myśl w nim zawarta – niemal wystarczyło, żeby Gwendy wrzasnęła z furją i cisnęła pudełkiem przez pokój, niczym małe dziecko w napadzie złości.

Jakkolwiek na to patrzeć, Gwendy zdaje sobie sprawę, że w opinii ogółu prowadziła jedwabne życie. Stypendium w Brownie, warsztaty pisarskie w Iowa, szybki awans w agencji reklamowej i oczywiście książki, filmy, Oscar. I wygrana w wyborach, którą wielu ekspertów nazwało największą polityczną niespodzianką w historii Maine.



Jasne, po drodze zdarzały się też porażki – tu stracony klient agencji reklamowej, tam niezrealizowany projekt filmowy, a jej życie miłosne przed Ryanem można by opisać jako pasmo

rozczarowań – ale niezbyt liczne i zawsze odbijała się od dna z łatwością, która budziła zazdrość otoczenia.

Nawet teraz, spoglądając na pudełko z guzikami tkwiące bezpiecznie pod nogami, Gwendy wierzy całym sercem, że większość sukcesów zawdzięcza ciężkiej pracy i pozytywnemu nastawieniu, nie wspominając o wytrwałości i uporze.

A jeśli to, w co wierzy... po prostu jest nieprawdą?

LEKKI ŚNIEG PRÓSZY z ołowianego, nisko wiszącego nieba, kiedy Gwendy ląduje na lotnisku hrabstwa Castle przy drodze 39. Nic poważnego, zaledwie całus w policzek od północy, który do kolacji zmieni się w rozmięklą breję na jezdniach i podwórkach.

Przed wejściem na pokład samolotu Gwendy zadzwoniła do Billy'ego Finkelsteina, młodszego z zaledwie dwuosobowego personelu lotniska, i poprosiła, żeby podładował akumulator jej hatchbacka Subaru i wyprowadził samochód z jednego z trzech wąskich hangarów, stojących przy zadrzewionym poboczu drogi 39.

Billy jest słowny i samochód czeka na nią na parkingu, z włączonym silnikiem i ogrzewaniem. Gwendy dziękuje Billy'emu, wciska mu napiwek, chociaż to wbrew przepisom, i wita się skinieniem głowy z jego szefem, Jessiem Martinem, z którym jej ojciec niegdyś grywał w kręgle. Ładuje walizkę na przedni fotel pasażera, a na wierzch rzuca torbę.

Jadąc do domu, Gwendy wykonuje kilka szybkich telefonów. Pierwszy do ojca, żeby go zawiadomić, że wylądowała bezpiecznie i przyjdzie wieczorem na kolację. Mama śpi na sofie, więc Gwendy z nią nie rozmawia, ale tata jest rozanielony i nie może się doczekać spotkania z córką.

Potem Gwendy dzwoni na komórkę Norrisa Ridgewicka, szeryfa hrabstwa Castle. Połączenie od razu zostaje przekierowane na pocztę głosową, więc zostawia wiadomość po sygnale: „Hej, Norris, tu Gwendy Peterson. Właśnie przyjechałam do miasta i pomyślałam, że powinniśmy się spotkać. Zadzwoni, kiedy będziesz mógł”.

Naciskając guzik END na telefonie, Gwendy czuje, że tylne opony subaru na chwilę tracą przyczepność na jezdni. Uważnie kieruje samochód z powrotem na środek pasa i zmniejsza prędkość. Tego mi tylko brakowało, myśli. Walnąc w słup telefoniczny, stracić przytomność i pozwolić, żeby pudełko z guzikami znalazł jakiś dziewiętnastoletni kierowca pługą śnieżnego z puszką tytoniu do żucia w tylnej kieszeni i zamarzniętymi smarkami pod nosem.



W 1999 ROKU TYLKO DWIE DROGI prowadzą do punktu widokowego Castle View: droga 117 i Pleasant Road. Gwendy wjeżdża w krętą Pleasant, jedzie pod górę jakieś osiemset metrów, mijając domy jednorodzinne – w stylu ranczerskim, Cape Cod lub kolonialnym, wiele udekorowanych na święta – i skręca w lewo za nowym placem zabaw Legionu Amerykańskiego na View Drive. Jedzie jeszcze kilkaset metrów, po czym zjeżdża w prawo na zaśnieżony parking osiedla mieszkaniowego Castle View. Kilka lat temu ona i Ryan należeli do pierwszych osób, które kupiły mieszkania w tym nowo zbudowanym kompleksie. Chociaż oboje często wyjeżdżają, od tamtej pory są tutaj szczęśliwi.

Gwendy zajmuje zarezerwowane miejsce w pierwszym rzędzie i wyłącza silnik. Otwiera drzwi od strony pasażera, żeby wyciągnąć walizkę, i spogląda na wzgórze łagodnie opadające w stronę odgradzonego urwiska, gdzie niegdyś wbiegała po zygzakujących metalowych stopniach nazywanych Schodami Samobójców. Od zaśnieżonego stoku niczym ciemna blizna odcina się drewniana ławka, gdzie spotkała nieznanego w czarnym kapeluszu.

Gwendy wstukuje czterocyfrowy kod, żeby wejść do budynku, i wspina się po schodach na pierwsze piętro. W mieszkaniu 19B zrzuca kurtkę, zostawia ją na podłodze w przedpokoju, otwiera walizkę i wyciąga pudełko z guzikami. Niesie je przez korytarz do sypialni, kładzie na łóżku po stronie męża i zwiija się w kłębek obok niego. Trzydzieści sekund później chrapie.

GWENDY OTWIERA OCZY w cichej, ciemnej sypialni, zdezorientowana brakiem światła dziennego w oknie, i przez chwilę zapomina, gdzie jest. Biegnie do łazienki, żeby się wysikać, i czuje w piersi ostre ukłucie paniki, kiedy przypomina sobie o kolacji u rodziców.

Włożywszy pudełko z guzikami do ognioodpornego sejfów w gabinecie, który dzieli z Ryanem, przez następne pięć minut szuka kluczy. Wreszcie znajduje je w kieszeni kurtki, leżącej wciąż na podłodze, i spieszy do drzwi, zdecydowana się nie spóźnić.

Jadąc szybciej, niż powinna na oblodzonej drodze, jedną przecnicę przed domem rodziców znowu myśli o pudełku.

– Powinno być bezpieczne w sejfie – mówi na głos ze śmiechem.

Sejf to był pomysł jej męża. Przekonany, że oboje potrzebują miejsca na przechowywanie cennych rzeczy, kilka miesięcy po wprowadzeniu się do mieszkania nadzorował zakup i instalację SentrySafe. Oczywiście po paru latach trzymają tam tylko kilka umów, stare polisy ubezpieczeniowe, trochę gotówki w kopercie, podpisaną przez Teda Williamsa piłkę baseballową w plastikowej kostce – i teraz pudełko z guzikami.

Nie mogą taszczyć go ze sobą wszędzie, dokąd pojedą, myśli Gwendy, skręcając na Carbine Street. I nie mogą go trzymać w mieszkaniu, kiedy Ryan wróci. Przez cztery lata studiów w Brownie przechowywała pudełko w skrytce depozytowej w Banku Rhode Island i to się sprawdzało. Może na początku przyszłego tygodnia wpadnie do Kasy Oszczędnościowo-Pożyczkowej w Castle Rock i zobaczy, co tam mają.

Widzi w oddali dom rodziców w stylu Cape Cod i uśmiecha się mimo woli. W tym roku ojciec rzeczywiście przeszedł sam siebie. Zielone, czerwone i niebieskie bombki choinkowe obramowują rynny na dachu i wspinają się spiralnie po słupkach ganku. Wielki nadmuchiwany Święty Mikołaj, oświetlony kilkoma reflektorami, tańczy na wietrze pośrodku trawnika. U stóp Mikołaja pasie się na śniegu nadmuchiwany czerwonończy renifer.

Zrobił to wszystko dla mamy, uświadamia sobie Gwendy. Wjeżdża na podjazd i parkuje za pick-upem ojca. Wciąż uśmiechnięta, wysiada i idzie do drzwi. Znowu jest w domu.

PAN PETERSON PRZYGOTOWUJE na kolację kurczaka z kluskami, ulubione danie Gwendy, i we trójkę wymieniają się najnowszymi plotkami, od dwóch zaginionych dziewczynek przez nagłą konwersję sąsiadki, Betty Johnson, na tleniony blond do złej passy New England Patriots (trzy porażki z rzędu). Pani Peterson, która nie wyglądała tak dobrze od miesiący, narzeka, że wciąż musi spać w ciągu dnia i mąż bez przerwy ją niańczy, ale przy tym uśmiecha się z wdzięcznością i czule ściska jego przedramię. Tego wieczoru nosi inną perukę – trochę ciemniejszą i dłuższą o parę centymetrów – niż podczas poprzedniej wizyty Gwendy i wydaje się w niej nie tylko zdrowsza, ale również o całe lata młodsza. Twarz jej się rozjaśnia, kiedy słyszy komplement od córki.

– Są jakieś nowe wiadomości od Ryana? – pyta, kiedy jej mąż wstaje i idzie do kuchni wyłączyć minutnik w piekarniku.

– Nie, odkąd dzwonił dwa dni temu – odpowiada Gwendy.

– Ciągle myślisz, że zdąży do domu na święta?

Gwendy kręci głową.

– Nie wiem, mamu. Zależy, co tam się dzieje. Śledzę wiadomości, ale ostatnio jest niewiele doniesień.

Pan Peterson wkracza do jadalni, niosąc stos bułeczek na talerzu.

– Dziś widziałem prezydenta Hamlina w telewizji. Wciąż nie mogę uwierzyć, że nasza Gwendy pracuje dla głowy państwa.

Pani Peterson uśmiecha się do córki i przewraca oczami. Słyszała już tę gadkę wiele razy. Obie słyszały.

– Rozmawiałaś z nim ostatnio? – pyta z przejęciem ojciec.

– W zeszłym tygodniu byliśmy na spotkaniu z nim i wiceprezydentem – odpowiada Gwendy.

Ojciec rozpromienia się z dumy.

– Wierz mi, to wcale nie jest takie wesołe. – Jak zwykle kusi ją, żeby powiedzieć ojcu, jak naprawdę wygląda sytuacja: że prezydent Hamlin jest seksistowskim nudziarzem, który rzadko patrzy jej w oczy, tylko skupia się na nogach, jeśli włożyła sukienkę, albo piersiach, jeśli ma spodnie; że celowo nigdy nie staje zbyt blisko przywódcy narodu, ponieważ on w trakcie rozmowy lubi dotykać jej ramion albo rąk. Ma również ochotę wyjawić, że prezydent jest głupi jak but i cuchnie mu z ust, ale nic takiego nie mówi. Przynajmniej nie do ojca. Ale matka to co innego.

– Podobało mi się to, co powiedział o Korei Północnej – ciągnie pan Peterson. – Potrzebujemy silnego przywódcy, żeby rozprawić się z tym szaleńcem.

– Na razie zachowuje się raczej jak rozkapryszony bachor niż przywódca.

Ojciec spogląda na nią z namysłem.

– Naprawdę go nie lubisz, co?

– Nie o to chodzi... – odpowiada. Ostrożnie, dziewczyno, upomina się. – Po prostu nie podoba mi się jego polityka. Co roku zmniejsza fundusze na opiekę zdrowotną dla biednych. Obciął federalne fundusze na kliniki leczące AIDS i popierał wszystkie ustawy antygejowskie. Stał na czele ruchu na

rzecz zmniejszenia budżetu na przedmioty humanistyczne w szkołach publicznych. Chciałabym tylko, żeby bardziej zależało mu na ludziach, a mniej na wygraniu każdej kłótni.

Ojciec nic nie mówi, a Gwendy wzrusza ramionami.

– Co mogę powiedzieć? To zwykły mugol, tato.

– Co to jest mugol?

Żona dotyka jego ramienia.

– To z *Harry’ego Pottera*, skarbie.

Pan Peterson rozgląda się po stole.

– Jakiego Pottera?

Tym razem żona daje mu klapsa w ramię.

– Och, przestań, mądralo.

Wszyscy wybuchają śmiechem.

– Nabrałem was na chwilę – mówi ojciec i puszcza oko.

Przez następne parę godzin Gwendy się odpręża i prawie nie myśli o pudełku z guzikami. Kiedy staje w kuchennym oknie wychodzącym na tylne podwórze, dostrzega w oddali wyniosły stary dąb i na jedną krótką chwilę przypomina sobie, jak niegdyś chowała pudełko w płytkiej jamie u podstawy grubego pnia. Ale wspomnienie znika równie szybko, jak się pojawiło, i po paru sekundach Gwendy znowu jest w salonie, ogląda *Cud na 34. ulicy* i rozwiązuje krzyżówki z ojcem.

„...POCZĄTKOWO ZASZŁO, kiedy antyniepodległościowa milicja zaatakowała tłum nieuzbrojonych cywilów”.

Na twarzy prezentera wiadomości Channel Five maluje się ponura powaga, w pasku na dole ekranu przesuwają się nagłówki: WIADOMOŚCI Z OSTATNIEJ CHWILI: KRYZYS NA TIMORZE.

„Są pierwsze doniesienia o przemocy i rozlewie krwi na całej wyspie. Najcięższe walki odbywają się w stołecznym mieście Dili. Wybuchły, kiedy większość uprawnionych do głosowania wyborców opowiedziała się za odłączeniem od Indonezji. Poinformowano już o ponad dwustu ofiarach śmiertelnych wśród cywilów i należy się spodziewać, że liczba ta wzrośnie”.

Gwendy siedzi w nogach łóżka, ubrana w długą flanelową koszulę nocną, pudełko z guzikami leży obok na poduszce, bliźniacze rzędy kolorowych guzików wyglądają jak zęby w poświacie z telewizora.

Prezenter obiecuje więcej najświeższych wiadomości z Timoru, jak tylko będą dostępne, a potem zaczynają się reklamy.

Początkowo Gwendy się nie rusza, niemal nie oddycha, w końcu odwraca się do pudełka i mówi dziwnym, bezbarwnym głosem:

– Ciekawość to pierwszy stopień do piekła.

Małym palcem pociąga za dźwigienkę z prawej strony pudełka. Ze środka wysuwa się wąska drewniana półeczka, na której leży srebrny dolar. Gwendy bierze lśniąca monetę i nie patrząc, kładzie ją na łóżku. Półeczka chowa się bezgłośnie.

– Ale satysfakcja to drabina do nieba – recytuje tym samym dziwnym głosem i pociąga za drugą dźwigienkę.

Drewniana tacka ponownie się wysuwa, tym razem oferując maleńką czekoladkę w kształcie konia.

Gwendy bez wahania bierze czekoladkę w dwa palce i patrzy na nią ze zdumionym zachwytem. Unosi ją do twarzy, zamyka oczy i wdycha słodki, niezmierny aromat. Jej powieki unoszą się leniwie, oczy wpatrują się w czekoladkę z gwałtownym pożądaniem. Oblizuje wargi, które się rozchylają...

...a potem biegnie do łazienki, gorące lzy spływają jej po twarzy, wrzuca czekoladowego konia do sedesu i spuszcza wodę.

PIERWSZĄ OSOBĄ, KTÓRĄ WIDZI Gwendy, kiedy wchodzi w niedzielny poranek do Castle Rock Diner, jest stary Pilkey, emerytowany miejscowy listonosz. Hank Pilkey dobiega dziewięćdziesiątki i ma szklane lewe oko po wypadku na rybach. Plotka głosi, że jego druga żona Ruth upiła się bimbrem i zraniła go podczas miesiąca miodowego w Nowej Szkocji. Kiedy Gwendy była mała, bała się starego listonosza i w sobotnie poranki nie chciała chodzić z rodzicami na pocztę. Nie żeby przerażało ją czy brzydziło błyszczące sztuczne oko. Po prostu denerwowała się, że zacznie się gapić jak w jakimś dziwnym transie i wprawi starego w zakłopotanie albo jeszcze gorzej – zawstydenie.

Na szczęście lata praktyki pomogły uśmierzyć te obawy i kiedy kilka minut przed dziesiątą otwiera z rozmachem drzwi jadalni – do grubej szyby przyklepiono taśmą dwa plakaty: WIDZIAŁEŚ TĘ DZIEWCZYNE? – a stary Pilkey wita ją bezżębnym uśmiechem, zeskakuje ze stołka przed długim laminowanym kontuarem i otwiera sflaczałe ramiona do uścisku, Gwendy patrzy mu w oczy i odwzajemnia uścisk z prawdziwą sympatią.

– Oto nasza miejscowa bohaterka – chrypi starszek, ściska jej barki kościstymi palcami i odsuwa ją na długość ramienia, żeby lepiej się przyjrzeć.

Gwendy śmieje się i dobrze jej to robi po tej długiej nocy.

– Jak się pan ma, panie Pilkey?

– Jako tako – odpowiada stary i siada z powrotem na stołku. – Jako tako.

– A jak się ma pani Pilkey?

– Uparta jak zawsze i dwa razy słodsza.

– To pasuje do was obojga – mówi Gwendy i puszcza do niego oko. – Miłej niedzieli, panie Pilkey.

– I tobie też, młoda damo. Pozdrowienia dla rodziców.

Gwendy idzie do pustego stolika przy oknie, wita skinieniem głowy kilku innych mieszkańców miasteczka, w większości ubranych odświętnie do kościoła, i siada. Rozgląda się po restauracji i ocenia, że zna jakieś dwie trzecie obecnych tu osób. Może więcej. Ocenia również, że może połowa z nich głosowała na nią w listopadzie ubiegłego roku. Castle Rock to jej rodzinne miasteczko, ale wciąż jest – i pewnie zawsze będzie – ostoją republikanów.

– Tak myślałem, że to ty.

Gwendy podnosi wzrok, zaskoczona.

– Jezu, Norris. Wystraszyłeś mnie.

– Przepraszam. Całe to cholerne miasteczko jest podminowane. – Szeryf wskazuje puste krzesło. – Mogę się przysiąść?

– Proszę.

Siada i poprawia pas z bronią na biodrze.

– Dostałem twoją wiadomość. Planowałem do ciebie oddzwonić dziś rano, ale najpierw potrzebovałem kawy. Wczoraj siedziałem do późna.

Norris Ridgewick jest dwa lata starszy od Gwendy i zajmuje stanowisko szeryfa hrabstwa Castle, odkąd pod koniec 1991 roku zastąpił Alana Pangborna. Ma jakieś metr sześćdziesiąt pięć wzrostu i waży niecałe siedemdziesiąt kilo (w mundurze, butach i z bronią boczną), więc nie imponuje posturą,

ale nadrabia to z nawiązką przedsiębiorczością i życzliwością. Gwendy zawsze uważała, że szeryf nosi w sobie głębokie pokłady smutku – może dlatego, że stracił ojca, kiedy miał zaledwie czternaście lat, a matkę dekadę później. Gwendy bardzo go lubi.

– Czemu do późna? – pyta. – Coś nowego w sprawie dziewczynki?

Szeryf rozgląda się po restauracji. Gwendy podąża za jego spojrzeniem i widzi, że wielu pozostałych gości przestało jeść i gapi się na nich.

– Niewiele – odpowiada Ridgewick, zniżając głos. – Sprawdzamy pewne tropy związane z córką Tomlinsonów. Nauczyciel na pół etatu w jej szkole. Dozorca w studiu tańca, do którego chodziła. Ale właściwie żadnego z nich nie nazwałbym głównym podejrzanym.

– A córka Hoffmanów?

Wzrusza ramionami i macha, żeby zwrócić uwagę kelnerki.

– To jeszcze trudniejsza sprawa. Zawęziliśmy ramy czasowe do niecałych czternastu minut. Tyle czasu brata nie było w domu. W ciągu tych czternastu minut ktoś rozbił szybę w tylnych drzwiach, wszedł do domu, zabrał Carlę Hoffman z jej pokoju i zniknął bez śladu.

– Bez śladu – powtarza szeptem Gwendy.

Ridgewick kiwa głową.

– I najwyraźniej obyło się bez walki. Żadnych odcisków na drzwiach ani nigdzie w domu. Rano padał śnieg, ale dzieciaki urządziły bitwę na śnieżki na podwórzu, więc wyglądało jak pobojowisko. Żadnych szans na ślad buta czy stopy. Mógł podjechać samochodem, ale nikt z sąsiadów niczego nie widział ani nie słyszał.

– Żadnych zgłoszeń na infolinię? – pyta Gwendy. – Widziałam, że Hoffmanowie wyznaczili nagrodę.

– Sporo telefonów... ale tylko parę wartych sprawdzenia, właśnie to robimy.

– Nic więcej?

Szeryf wzrusza ramionami.

– Wyłazimy ze skóry, żeby znaleźć jakieś powiązania między tymi dwiema dziewczynkami, ale na razie nic nie mamy. Mieszkają w różnych miejscach, chodzą do różnych szkół, mają inny kolor włosów, inną sylwetkę, inne hobby. Żadnego śladu, że się znały albo miały wspólnych przyjaciół. Żadna nie ma chłopaka i nigdy nie wpadła w kłopoty.

– Jakie są szanse, że te dwa zniknięcia nie mają ze sobą związku?

– Wątpliwe.

– Co ci mówi przecucie?

– Przecucie mi mówi, że potrzebuję kawy. – Szeryf znowu rozgląda się za kelnerką.

Gwendy rzuca mu zirytowane spojrzenie.

– Co? Wierzysz w te wszystkie brednie o intuicji? – pyta Ridgewick.

– Wierzę.

Bierze głęboki oddech i wypuszcza powietrze. Wygląda przez okno, zanim znowu spojrzy Gwendy w oczy.

– Wiesz, przez te lata w Rock zdarzyło się sporo dziwnych rzeczy. Wielki Pożar w dziewięćdziesiątym pierwszym, ten morderca Frank Dodd, szeryf Bannerman i inni zabici przez wściekłego bernardyna, cholera, nawet Schody Samobójców. Jeśli wierzysz, że zawaliły się od trzęsienia ziemi, to jesteś naiwna.

Gwendy prezentuje swoją najlepszą pokerową minę, którą opanowała niemal do perfekcji po niecałym roku w Waszyngtonie.

– Mam cholerną nadzieję, że się mylę – szeryf wzdycha ciężko – ale intuicja mówi mi, że nigdy więcej nie zobaczymy tych dziewczynek. W każdym razie żywych.



PO ŚNIADANIU GWENDY przechodzi na drugą stronę ulicy do księgarni i kupuje niedzielne wydania „New York Timesa” i „Washington Post”. Właścicielka, elegancka kobieta po pięćdziesiątce, Grace Featherstone, wita ją uściskiem i przez kilka minut narzeka na prezydenta Hamlina, używając barwnych epitetów. Gwendy stoi przed ladą i nie może wtrącić ani słówka, ale entuzjastycznie kiwa głową. Kiedy starsza kobieta wreszcie przerywa, żeby wziąć oddech, Gwendy płaci za gazety i torebkę miętówek. Wychodzi i wsiada do samochodu, gdzie przegląda oba dzienniki, szukając informacji o Timorze albo, co ważniejsze, zdjęć z Timoru.

Kilka lat wcześniej Ryan został wysłany do Brazylii, żeby pomóc przy reportażu o paru nabrzeżnych wioskach, które zostały opanowane i w końcu zniszczone przez miejscowego barona narkotykowego. Przez trzy tygodnie ukrywał się w dżungli z uzbrojonymi partyzantami, nie mogąc się skontaktować z domem. W tym czasie Gwendy tylko w jeden sposób mogła sprawdzić, czy jej mąż żyje: wyszukując podpisane jego nazwiskiem zdjęcia w gazetach codziennych i na kilku stronach internetowych. Od tamtej pory w podobnie trudnych sytuacjach ta metoda stała się jej ostatnią deską ratunku. Nazwisko Ryana wydrukowane drobną czcionką obok jednej z fotografii wystarczyło, żeby ją uspokoić na dzień czy dwa, dopóki nie pojawiło się następne zdjęcie.

Gwendy sprawdza raz i drugi obie gazety – brudzi sobie palce rozmazanym tuszem, fotel pasażera i deska rozdzielcza znikają pod spiętrzoną falą dodatków tematycznych i luźnych stron reklamowych – ale nie znajduje żadnych fotografii. Obie gazety zamieściły krótkie artykuły, ale ukryły je na środkowych stronach, przekazując głównie odgrzewane stare wiadomości. Associated Press ostatnio podała w internecie, że w Timorze Wschodnim rozlokowano oddziały ONZ, składające się głównie z żołnierzy Australijskich Sił Obronnych, w celu zaprowadzenia i utrzymania pokoju. Od tamtej pory niewiele wiadomo.

GWENDY SPĘDZA NIEDZIELNE popołudnie na świątecznych zakupach z mamą. Najpierw wstępują do Walmartu, gdzie Gwendy bierze kilka pudełek z puzzlami dla ojca, a pani Peterson ściąga z półki ostatniego walkmana Sony dla swojej długoletniej sąsiadki i przyjaciółki Blanche Goff, „na jej poranne spacerunki po szkolnej bieżni”.

Kiedy wychodzą na parking, dzwoni komórka Gwendy. To jej ojciec sprawdza, jak sobie radzi mama. Gwendy spogląda na matkę i informuje, że wszystko jest w porządku i że będzie miała na nią oko. Zanim się rozłączy, pani Peterson wyjmuje jej telefon z ręki i mówi:

– Oglądaj swój futbol i zostaw nas w spokoju, stary zrzędo.

Wsiadają do subaru, kładą zakupy na tylnym siedzeniu i chichoczą jak nastolatki.

Gwendy rzeczywiście nie spuszcza matki z oka i na razie jest zachwycona tym, co widzi. Pani Peterson wciąż wygląda trochę krucho i porusza się znacznie wolniej, ale tego należało się spodziewać po wszystkim, przez co przeszła. Jednak najważniejsze, przynajmniej dla Gwendy, jest to, że matka odzyskała pogodne usposobienie i błyskotliwe poczucie humoru, nie wspominając o słodkim uśmiechu. Wszystko to znikło prawie bez śladu podczas ośmiu tygodni chemioterapii.

Po Walmarcie zjadają lekki lunch w Cracker Barrel i jadą do galerii handlowej przy drodze 119. Dwupiętrowa galeria jest zatłoczona i hałaśliwa niczym stadion futbolowy podczas piątkowego meczu – wydaje się, że połowa nastolatków z Castle Rock zebrała się tu tego popołudnia – ale Gwendy i jej mama nie pozwalają, żeby to zepsuło im zabawę. Przez następne parę godzin odhaczają kolejne pozycje z listy prezentów, zjadają podwójne lody w rożku, obserwując ludzi w restauracji, i śpiewają do wtóru kolęd nadawanych bez końca przez system nagłaśniający.

Pod koniec dnia Gwendy zostawia matkę na ławce przed sklepem sportowym Barta i wchodzi do środka, żeby kupić dla Ryana nieprzemakalny kombinezon na kajak. Przed wyjazdem zażyczyły sobie tylko takiego prezentu i Gwendy koniecznie chce, żeby kombinezon czekał na niego pod choinką. Wpycha do torby potwierdzenie z karty kredytowej i nie patrzy przed siebie, wychodząc ze sklepu, przez co wpada na inną klientkę.

– Bardzo przepraszam – mówi, a potem podnosi wzrok i widzi, kogo potrąciła. – O mój Boże, Brigitte!

Wysoka blondynka śmieje się i podnosi torbę z zakupami, którą wytrącono jej z ręki.

– Typowa Gwendy, wiecznie gdzieś pędzi.

Brigitte Desjardin chodziła do szkoły w Castle Rock dwie klasy wyżej niż Gwendy. W tamtych czasach trenowały razem na krytej bieżni i często odwiedzały się nawzajem w swoich domach.

– Nie widziałam cię od... parady na Czwartego Lipca? – pyta Gwendy, ściskając przyjaciółkę.

– Tamtego dnia też na mnie wpadłaś.

Gwendy zakrywa usta dłonią.

– O mój Boże, masz rację, rzeczywiście. Tak mi przykro. – Wytrąciła wtedy z ręki Brigitte szklanekę lemoniady prosto na nowiutką letnią sukienkę. – Nigdy nie byłam taką niezdarą, ale przez ostatnie lata chyba to nadrabiam.

– W porządku, Gwen – mówi Brigitte ze śmiechem. – Chyba wiesz, jak mi to wynagrodzić.

– Powiedz mi.

Brigette unosi brwi.

– No, może nie słyszałaś, ale we wrześniu wybrano mnie na przewodniczącą komitetu rodzicielskiego.

– To wspaniale – mówi Gwendy ze szczerym podziwem. – Gratuluję.

– Och, nie ma czego. – Brigitte przewraca oczami i uśmiecha się. – Wielka pani senator.

– Nie jestem...

– Tak czy owak, w tym roku organizuję zabawę sylwestrową. Jeśli pogoda pozwoli, urządzimy ją na skwerze... i zastanawiałam się, czy...

Gwendy milczy. Wie, co będzie dalej.

– ...nie wpadłabyś i nie powiedziała paru słów?

Przypomina jej się jedno z ulubionych powiedzeń matki: „Nie rób tego, co łatwe, rób to, co słuszne”.

– To by zajęło tylko trzy czy cztery minuty, ale zrozumiam, jeśli nie możesz albo nie chcesz, albo masz już inne...

– Z największą przyjemnością – odpowiada Gwendy, kładąc rękę na ramieniu dawnej przyjaciółki, a ta pizczy i chwytą Gwendy w objęcia.

– Dziękuję, dziękuję! Nie masz pojęcia, ile to dla mnie znaczy.

– Tylko nie trzymaj kubka gorącej czekolady, kiedy zobaczysz, że się zbliżam.

Brigette chichocze i wypuszcza ją z ramion.

– Zgoda.

– Zadzwonię do ciebie w przyszłym tygodniu, powiesz mi, gdzie i kiedy mam się zjawić.

– Doskonale. Jeszcze raz bardzo ci dziękuję. – Brigitte odchodzi, ale zaraz się odwraca. – Zdrowych i wesołych świąt dla ciebie i twojej rodziny.

– Wesołych świąt. Cieszę się, że na ciebie wpadłam.

Gwendy odwraca się i bnie przez zatłoczoną promenadę. W połowie drogi do ławki, gdzie zostawiła matkę, ta pojawia się w polu widzenia. Gwendy podnosi rękę, żeby do niej pomachać... i staje jak wryta. Sztylet strachu przesywa jej pierś.

Matka nie jest sama.

Gwendy zaczyna się przepychać przez tłum.

– KTO TO BYŁ? – Gwendy niemal krzyczy, gorączkowo rozglądając się po tabunach zakupowiczów. – Z kim przed chwilą rozmawiałaś?

Pani Peterson podnosi wzrok ze zdziwieniem.

– Co... co się stało?

– Mężczyzna w czarnym kapeluszu, ten, z którym właśnie rozmawiałaś... znasz go?

– Nie. Powiedział, że przyjechał z wizytą do przyjaciół w mieście. Zadał mi parę pytań i poszedł.

– Jakich przyjaciół?

– Nie pytałam – mówi pani Peterson. – Co się dzieje, Gwen?

Gwendy staje na palcach i wciąż przeszukuje wzrokiem tłum.

– O co cię pytał?

– No, niech pomyślę... Pytał, jak mi się podoba w Castle Rock. Powiedziałam, że mieszkam tu przez całe życie, że to mój dom.

– I co jeszcze?

– Chciał, żebym mu poleciła dobrą restaurację na obiad. Powiedział, że od tygodni nie jadł porządnego gorącego posiłku i jest bardzo głodny, co mnie trochę zdziwiło, biorąc pod uwagę, jak elegancko był ubrany.

– Co jeszcze?

– To wszystko. To była bardzo krótka rozmowa.

– Jak wyglądał? Możesz go opisać?

– Był... – Pani Peterson zastanawia się przez chwilę. – Wysoki i chudy, pewnie w twoim wieku. Chyba miał niebieskie oczy. – Wstaje i zbiera z ławki torby z zakupami. – A teraz powiesz mi, co się dzieje, czy mam zacząć się o ciebie martwić?

Gwendy myśli szybko, patrząc na matkę z nieruchomą pokerową twarzą.

– Pewien reporter prześladowuje mnie od kilku tygodni. Jest natarczywy i niezbyt miły. Przez chwilę bałam się, że przyjechał za mną aż tutaj.

– Och, kochanie – mówi pani Peterson i Gwendy natychmiast czuje się okropnie, że ją okłamała. – Ten dzentelmen wydawał się bardzo miły, ale nigdy nie wiadomo, prawda?

– Coraz trudniej się połąpać, to na pewno. – Gwendy ochoczo potakuje.

GWENDY Z PRZYJEMNOŚCIĄ wciąga w płuca zimne powietrze, a pieczenie w nogach jest jak spotkanie ze starym przyjacielem. Podrzuciwszy mamę do domu, marzy tylko o tym, żeby wrócić do siebie i pójść na górę, prosto do łóżka, ale jej mózg ma inne pomysły. Zwłaszcza po wstrząsie, jaki przeżyła w galerii handlowej.

Zbiega ze wzgórza po krętej Pleasant Road. Ulica jest dobrze oświetlona, na wszystkich podwórkach wesoło migoczą lampki choinkowe. Dopiero kiedy łączy się z drogą 117, robi się ciemniej; nieliczne latarnie rzucają na ziemię mętne kręgi słabego żółtego światła. Gwendy zwiększa tempo, kierując się na stary zadaszony most nad strumieniem Bowie.

Bieganie jest dla niej zwykle nie tylko ćwiczeniem fizycznym, ale również formą medytacji. W te rzadkie dni, kiedy zła pogoda zmusza ją do ćwiczenia na bieżni albo StairMasterze w YMCA, często słucha muzyki na swoim walkmanie Sony – zwykle czegoś pogodnego i dodającego energii, jak Britney Spears czy Backstreet Boys, za co Ryan nigdy nie omieszka jej potępić – ale na zewnątrz prawie zawsze woli biegać w ciszy. Tylko ona i jej najskrytsze myśli, znajome odgłosy miasta albo wsi i rytmiczne kłapanie butów o asfalt.

Dziś wieczorem myśli o mężu.

Oczywiście martwi się o niego i denerwuje się, że nie będzie go w domu na święta, ale nic na to nie może poradzić i zdaje sobie sprawę, że jej troska jest nawet trochę egoistyczna. Ryan ma pracę do wykonania, czasami niebezpieczną pracę, którą kocha całym sercem, a ona bezwarunkowo popiera tę pasję – podobnie jak on popiera jej pracę. Częściowo dlatego tak dobrze się dogadują. Na co dzień oboje wolą proste rozrywki – spacer po lesie, partyjkę remika przy kuchennym stole, podwójny późny seans w kinie samochodowym – od tłocznych wytwornych przyjęć i snobistycznych wystaw sztuki, ale kiedy praca tego wymaga, każde z nich spełnia swoje obowiązki. Prawdziwej pasji niemal zawsze towarzyszy poświęcenie.

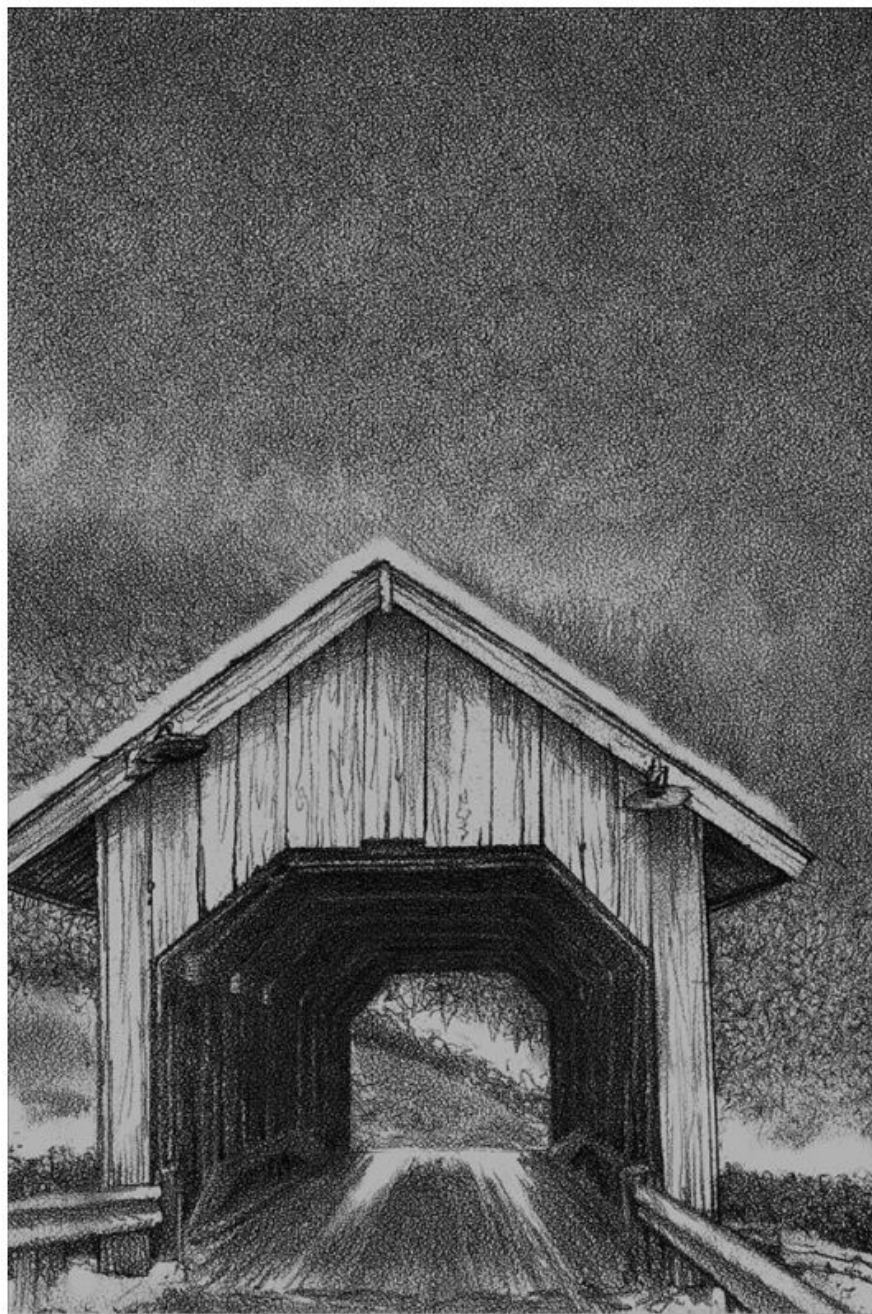
Więc skąd ten lęk tym razem? – zadaje sobie pytanie Gwendy, zbliżając się do starego mostu. Przecież to nie ich pierwszy raz. Ryan wielokrotnie wyjeżdżał służbowo, odkąd są razem.

Przez jej myśli płynie spokojny strumyczek prawdopodobnych odpowiedzi: to z powodu świąt; to dlatego, że matka wciąż dochodzi do siebie po groźnej chorobie; to dlatego, że pudełko z guzikami znowu pojawiło się w jej życiu, a ona nie ma pojęcia, co z nim zrobić.

Gwendy zastanawia się jeszcze przez chwilę, potem zaznacza w arkuszu odpowiedzi „Wszystkie powyższe” i podejmuje bieg, skupiając się na drodze.

Latarnia przymocowana do drewnianego zadaszenia nad mostem nie świeci – pewnie posłużyła za tarczę strzelecką dla jakiegoś znudzonego miejscowego ze strzelbą kalibru .22. Wejście rozdziawia się jak ciemna, głodna paszcza, ale Gwendy nie zwalnia. Wślizguje się w serce czarnego tunelu, szybkie kroki budzą echo i przypominają jej – jak wtedy, kiedy była małą dziewczynką – starą bajkę o złym trollu mieszkającym pod mostem.

To tylko bajka, mówi sobie, wymachując rytmicznie rękami. Nic nie wylezie z dołu i cię nie złapie. Nic nie zeskoczy z krokwi i...



Od końca mostu dzieli ją kilka metrów, kiedy słyszy hałas w ciemnościach za plecami. Ukradkowe skrobanie, jakby pazury szurały po bruku. Zimny palec strachu przesuwają się po jej kręgosłupie. Nie chce się obejrzeć, ale nie może się powstrzymać. Z głębokiego cienia obserwuje ją para szeroko otwartych, blisko osadzonych oczu, czerwonych jak rozżarzone węgle. Gwendy czuje, że nogi się pod nią uginają, i zmusza je do ruchu. Oddycha szybko i urywanie. Zanim odwraca wzrok, jest już poza mostem, pod gwiazdami, na drodze 117.

Pewnie tylko głupi szop, myśli Gwendy, omijając dziurę w jezdni. Wciąga głęboko w płuca zimne powietrze, biegnie dalej, teraz trochę szybciej, i nie ogląda się za siebie.

PO ZROBIENIU ŚWIĄTECZNYCH ZAKUPÓW i nadgonieniu zaległości w korespondencji Gwendy przez cały poniedziałek i wtorek przed świętami pławi się w niemal skandalicznym lenistwie. Przynajmniej jak na nią.

W poniedziałek rano śpi do późna (budzi się prawie półtorej godziny później niż jak zwykle o szóstej, ponieważ poprzedniego wieczoru zmusiła się, żeby nie nastawiać budzika) i zostaje w łóżku prawie do południa, oglądając wiadomości i filmy na kablówce. Po długiej, luksusowej kąpieli z bąbelkami przygotowuje sobie lekki lunch i przenosi się na oszkloną werandę, gdzie aż do późnego popołudnia wyciąga się na kozetce i na zmianę wygląda sennie przez wielkie szyby albo czyta najnowszy thriller Ridleya Pearsona. Kiedy grudniowe słońce nieuchronnie opada w stronę horyzontu, Gwendy zaznacza stronę, zostawia grubą powieść na podręcznym stoliku i wchodzi na górę, żeby się przebrać. Potem chwyta kluczyki i jedzie do domu rodziców na kolację.

Po prawie trzech miesiącach bycia obsługiwaną we własnej kuchni pani Peterson wreszcie czuje się na siłach, żeby znowu gotować. Pod czujnym okiem męża przygotowuje i podaje parującego strogonowa w żaroodpornym naczyniu oraz półmisek w kształcie choinki z domowymi bułeczkami. Jedzenie jest pyszne, a pani Peterson jest tak jawnie i wzruszająco zadowolona z siebie, że na widok jej uśmiechu łyzy stają mężowi w oczach.

Po kolacji Gwendy i ojciec wyganiają ją do salonu, sprzątają ze stołu i zmywają naczynia. Potem dołączają do niej, razem oglądają *Opowieść wigilijną* w telewizji i otwierają nowe pudełko puzzli.

Kilka minut przed dziewiątą Gwendy żegna się z rodzicami i jedzie z powrotem do siebie. Zastanawia się, czy nie pobiegać, ale rezygnuje. Po wejściu do mieszkania wciska trzycyfrową kombinację na drzwiach sejfu i wyjmuje pudełko z guzikami.

Kiedy myje zęby i przebiera się w koszulę nocną, pudełko dotrzymuje jej towarzystwa w nogach łóżka. Przyłapuje się na tym, że coraz częściej do niego mówi, jak wtedy, kiedy była młodsza. Pudełko oczywiście nie odpowiada, ale ona ma niemal pewność, że słucha – i obserwuje. Zanim zostawia je na noc, siada na brzegu materaca, kładzie je sobie na kolanach i pociąga za dźwigienkę obok czerwonego guzika. Wysuwa się wąska półteczka, na której siedzi maleńka czekoladowa małpka. Gwendy podziwia misterne szczegóły, powoli podnosi czekoladkę do nosa i wciąga powietrze. Powieki jej trzepoczą i zamykają się. Po chwili otwiera oczy, wstaje i stanowczym krokiem idzie do łazienki, gdzie spuszcza czekoladkę w toalecie. Bez żadnej paniki ani łez, nie jak poprzednim razem.

– Widzisz? – mówi do pudełka po powrocie do sypialni. – Ja tutaj rządzę. Nie ty.

Potem chowa je do sejfu i idzie spać.

Wtorek to mniej więcej powtórka z poprzedniego dnia i chwilami Gwendy mimowolnie przypomina sobie sceny z *Dnia świstaka*, tego niemądrego filmu, który Ryan tak lubi.

Ponownie zaczyna dzień od spania do późna i wylegiwania się w łóżku przez większość poranka. Potem bierze długą kąpiel, po lunchu kończy powieść Pearsona i pochłania pierwsze cztery rozdziały nowego Johna Grishama.

Nie jest w specjalnie świątecznym nastroju, ale zmusza się, żeby wyciągnąć ze schowka sztuczną choinkę i pudełka z ozdobami. Ustawia drzewko w kącie salonu i wieszka na drzwiach zeszlóroczny wieniec. Kiedy nad Castle Rock zapada zmierzch, idzie na górę się przebrać i jedzie do domu rodziców



na następny wieczór z domową kuchnią mamy. Tym razem w menu jest lasagne z sałatą i Gwendy zjada dwie obfite porcje obu. Po kolacji ponownie zmywają z ojcem naczynia, a potem dołączają do matki w salonie. Tego wieczoru nadają *Białe Boże Narodzenie*, a kiedy film się kończy i leżą końcowe napisy, pan Peterson ku zaskoczeniu żony i córki podwija spodnie i naśladując Binga Crosby'ego, wykonuje w całości piosenkę *Sisters*. Mama Gwendy, ledwie wierząc własnym oczom, przewraca się na sofę. Śmieje się tak serdecznie, że dostaje ataku kaszlu, więc mąż musi pobiec do kuchni po szklankę zimnej wody. Pani Peterson bierze duży łyk, dostaje czkawki, po czym beka donośnie – i wszyscy trzej znowu wybuchają szaleńczym śmiechem. Niedługo potem przyjęcie się kończy i Gwendy wraca do domu; płatki śniegu tańczą w snopach światła z reflektorów jej samochodu.

Niespiesznie jedzie przez miasteczko i wchodzi do mieszkania dokładnie o dziewiętej trzydzieści, balansując ryzykownie plastikowymi pojemnikami Tupperware, które wmusiła jej mama. Zostało dość lasagne, strogonowa i sernika, żeby wystarczyło aż nadto do Nowego Roku. Gwendy usiłuje otworzyć lodówkę, kiedy dzwoni komórka. Zerka na blat, gdzie położyła telefon obok kluczyków, i znowu skupia uwagę na lodówce. Wsuwa największy pojemnik na górną półkę, obok na wóół opróżnionych kartonów mleka i soku pomarańczowego, i próbuje zrobić miejsce na dolnej, kiedy ponownie rozlega się dzwonek. Ignoruje go i wpycha pozostałe dwa pojemniki, jeden na drugim. Zamyka drzwi i telefon dzwoni po raz trzeci. Gwendy czuje niemal, jakby piorun w nią strzelił i wbił jej do głowy trochę rozumu.

Chwyta telefon, strącając kluczyki na podłogę.

– Halo? Halo?

Na początku nie słyszy nic – a potem wybuch głośnych trzasków.

– Halo? – powtarza Gwendy i ogarnia ją rozczarowanie. – Jest tam...

– Hej, mała... miałem się już rozłączyć.

Wszystkie mięśnie w jej ciele się rozluźniają i musi oprzeć się o stół, żeby nie upaść.

– Ryan... – mówi, ale z jej ust wydobywa się tylko szept.

– Jesteś tam, Gwen?

– Jestem, skarbie. Tak się cieszę, że słyszę twój głos. – Teraz lzy płyną strumieniem po jej twarzy.

– Słuchaj... nie wiem, jak długo to połączenie wytrzyma. Nie mogliśmy nawet wysłać reportaży do magazynu ani do żadnej gazety... wczoraj... wszędzie ogień.

– Nic ci nie jest, Ryan? Jesteś bezpieczny?

– Wszystko w porządku. Chciałem ci powiedzieć... uważam na siebie i staram się... wrócić do ciebie, do domu.

– Tak strasznie za tobą tęsknię – mówi Gwendy, niezdolna zapanować nad głosem.

– Ja też za tobą tęsknię, kochanie... Nie wiem, kiedy będę mógł znowu zadzwonić, ale będę próbował... do świąt.

– Coś przerywa.

Na linii wybucha staccato zakłóceń. Gwendy odsuwa telefon od ucha i czeka, aż przycichną. Wśród hałasu słyszy słaby głos męża:

– ...kocham cię.

Znowu przyciska komórkę do ucha.

– Halo? Jesteś tam jeszcze? Proszę, uważaj na siebie, Ryan! – Teraz prawie krzyczy.

W telefonie trzeszczy, a potem zapada cisza. Gwendy trzyma go przy uchu, nasłuchując z nadzieją na jeszcze jedno słowo – cokolwiek – ale daremnie.

– Ja cię kocham bardziej – szepcze wreszcie i przerywa połączenie.

CZTERDZIEŚCI OSIEM GODZIN lenistwa (próbuję sobie tłumaczyć, że wcale się nie leni, po prostu się relaksuje i odreagowuje – ale sama w to nie wierzy) to granica tego, co Gwendy może wytrzymać. W śróde budzi się o świcie i idzie pobiegać.

Pada ziarnisty śnieg z deszczem i jezdnie są śliskie od lodu, ale Gwendy wytrwale biegnie przed siebie z kapturem bluzy ciasno ściągniętym wokół twarzy. Przebiegnięcie przez centrum Castle Rock z reguły poprawia jej nastrój. Pokonuje swoją zwykłą trasę – po Main Street, unikając nieodsnieżonych chodników, obok skweru, biblioteki i Western Auto, okrążając z daleka szpital, dalej obok siedziby Rycerzy Kolumba\* i z powrotem do View Drive – i ma poczucie słuszności swojego świata, poczucie *przynależności*. Zjeżdżała cały kraj w ramach służbowych obowiązków – najpierw pracując w reklamie, potem jako pisarka i reżyserka, wreszcie jako kongresmenka – ale istnieje tylko jedno Castle Rock w stanie Maine. Tak jak powiedziała jej matka nieznanemu w czarnym kapeluszu, to jest dom.

Ale dzisiaj coś jest nie tak.

Tego ranka czuje się jak przybysz wędrujący przez obcy i nieprzyjazny krajobraz. W jej myślach panuje zamęt, nogi są ociężałe i niemrawe.

Początkowo uważa, że to przez rozmowę telefoniczną z Ryanem poprzedniego wieczoru, która została tak nagle i niepokojąco przerwana. Po tym, jak się rozłączyła, przeplakała pół nocy ze zmartwienia.

Ale kiedy mija biuro szeryfa, kierując się do centrum, uświadamia sobie, że to całkiem co innego. Po raz pierwszy rozumie, jak bardzo obawia się trudnego zadania, które czeka ją później.

---

\* Zakon Rycerzy Kolumba – największa na świecie katolicka organizacja świecka o charakterze charytatywnym.

OD PIERWSZEJ CHWILI Caroline Hoffman robi na Gwendy wrażenie kobiety, która przywykła stawiać na swoim.

Wchodząc na posterunek policji o 9.50 (aż dziesięć minut przed wyznaczoną godziną spotkania), Gwendy ma nadzieję, że Hoffmanowie jeszcze nie przyszli, więc zdąży omówić z szeryfem Ridgewickiem postępy śledztwa.

Jednak cała trójka czeka już na nią w sali konferencyjnej. Nie ma ani śladu Sheili Brigham, długoletniej dyspozytorki biura szeryfa w Castle Rock, więc zastępca George Footman wprowadza Gwendy do środka i zamyka za nią drzwi.

Szeryf Ridgewick siedzi po jednej stronie długiego, wąskiego stołu, obok pustego krzesła. Państwo Hoffmanowie siedzą naprzeciwko niego, rozdzieleni następnym pustym krzesłem. Tworzą interesującą parę. Frank Hoffman to wąty okularnik, ubrany w wygnieciony brązowy garnitur, który pamięta lepsze czasy. Ma ciemne kręgi pod oczami i wąski nos, który nieraz został złamany. Caroline Hoffman jest co najmniej dziesięć centymetrów wyższa od męża, tęga, szeroka w ramionach i klatce piersiowej. Mogłaby być kobietą drwalem, co nie jest takie niespotykane w tej części świata. Ma na sobie dżinsy i szarą bluzę Harleya-Davidsona z podwinętymi rękawami. Na jednym mięsistym przedramieniu widnieje tatuaż w kształcie kotwicy.

– Przepraszam, że musieli państwo czekać – mówi Gwendy, zajmując miejsce obok szeryfa.

Kładzie skórzaną torbę na stole, ale szybko ją zdejmuje i przenosi na podłogę, kiedy zauważa, że torba ocieka wilgocią z topniejącego śniegu. Wyciera rękawem swetra małą kałużę, która została na blacie.

– Dzień dobry, kongresmenko – mówi szeryf Ridgewick.

– Możemy już zaczynać? – pyta pani Hoffman, piorunując go wzrokiem.

– Jasne.

Gwendy nachyla się do przodu i wyciąga rękę, najpierw do pana Hoffmana, potem do jego żony.

– Dzień dobry. Jestem Gwendy Peterson. Bardzo mi przykro, że poznaję państwa w takich okolicznościach.

– Dzień dobry – odpowiada pan Hoffman zadziwiająco głębokim głosem.

– Wiemy, kim pani jest – mówi pani Hoffman, wycierając rękę o nogawkę dżinsów, jakby dotknęła czegoś brudnego. – Pytanie brzmi, jak pani nam pomoże.

– No – zaczyna Gwendy – zrobię, co w mojej mocy, żeby pomóc znaleźć pani córkę, pani Hoffman. Jeśli szeryf Ridgewick potrzebuje...

– Ona ma na imię Carla – przerywa wielka kobieta i znowu gniewnie mruży oczy. – Przynajmniej może pani wymówić jej cholerne imię.

– Oczywiście. Zrobię, co mogę, żeby pomóc odnaleźć Carłę. Jeśli szeryf potrzebuje dodatkowego personelu, dopilnuję, żeby go dostał. Jeśli potrzebuje więcej sprzętu albo pojazdów, dopilnuję, żeby je również otrzymał. Wszystko, czego trzeba.

Pani Hoffman spogląda na Ridgewicka.

– Szeryf potrzebuje kogoś, żeby tu przyjechał i pokazał mu, jak się powinno pracować.

Gwendy się jeży.

– Zaraz, chwileczkę, pani Hoffman...

Szeryf dotyka jej ramienia, żeby ją uciszyć. Spogląda na Hoffmanów.

– Wiem, że rozpaczliwie pragniecie odpowiedzi. Wiem, że nie jesteście zadowoleni z postępów śledztwa.

– Postępów! – prychna pani Hoffman.

– Ale zapewniam was, że ja i moi ludzie pracujemy dzień i noc, żeby sprawdzić każdą najmniejszą poszlakę. Nikt nie spocznie, dopóki się nie dowiemy, co się stało z pani córką.

– Po prostu tak się martwimy – mówi pan Hoffman. – Oboje umieramy ze zmartwienia.

– Rozumiem to – mówi szeryf. – Wszyscy rozumiemy.

– Jenny Tucker od fryzjera mówiła, że wczoraj sprawdzaliście farmę Hendersonów – mówi pani Hoffman. – Powie mi pan dlaczego?

Szeryf wzdycha i kręci głową.

– Jenny Tucker to największa plotkara w mieście. Sama pani wie.

– Co nie znaczy, że to nieprawda.

– Nie, nie znaczy. Ale w tym przypadku to nieprawda. O ile mi wiadomo, nikt nie był u Hendersonów.

– Dlaczego nie? – naciska pani Hoffman. – Z tego, co słyszałam, odsiedział swoje w Shawshank, kiedy był młodszy.

– Cholera, pani Hoffman, połowa pracowników fizycznych w hrabstwie Castle siedziała w swoim czasie w więzieniu. Nie możemy przeszukiwać domów ich wszystkich.

– Powiedz nam pan jedno – żąda pani Hoffman, przechylając głowę na bok jak rozdrażniony kogut. – I nie ściemniaj pan dla odmiany. Co macie? Po całym tygodniu kręcenia się w kółko, co tak naprawdę macie?

Szeryf Ridgewick wzdycha głęboko.

– Już o tym rozmawialiśmy. Nie mogę wam powiedzieć więcej, niż już powiedziałem. Dla dobra śledztwa...

Pani Hoffman wali wielką pięścią w stół, aż wszyscy podskakują.

– Bzdura!

– Caroline – odzywa się pan Hoffman – może powinniśmy...

Kobieta odwraca się do męża z płonącym wzrokiem. Grube żyły na jej szyi nabrzmiały tak, jakby miały eksplodować.

– Oni nic nie mają, Frank. Tak jak ci mówiłam. Nie mająm nic.

Gwendy słucha tego wszystkiego z jakimś zdystansowanym podziwem, niemal jakby siedziała w pierwszym rzędzie wśród publiczności na popołudniowym talk-show – ale teraz coś się w niej budzi. Podnosi rękę, próbując zapanować nad zebranymi, i mówi:

– Może wszyscy zrobimy sobie chwilę przerwy i zaczniemy od początku?

Pani Hoffman mierzy ją wściekłym wzrokiem i nagle zrywa się na nogi, przewracając krzesło.

– Może zachowaj tę słodziutką gadkę dla tych stąd, co byli na tyle głupi, żeby na ciebie głosować? – Kopniakiem odsuwa krzesło, ślina tryska z kącików jej ust. – Przyjeżdżasz tu w swoich wymyślnych ciuchach i butach za pięćset doliców i próbujesz nas oświecić, jakbyśmy byli ciemni czy co!

Z rozmachem otwiera drzwi i wymaszerowuje z pokoju.

Gwendy patrzy za nią z otwartymi ustami.

– Nie chciałam... Ja tylko próbowałam...

Pan Hoffman wstaje.

– Kongresmenko, szeryfie, proszę wybaczyć mojej żonie. Jest bardzo zdenerwowana.

– Nie ma sprawy – zapewnia Ridgewick, idąc z nim do drzwi. – Rozumiemy.

– Przepraszam, jeśli powiedziałam coś, co pogorszyło sytuację – mówi Gwendy.

Pan Hoffman kręci głową.

– Sytuacja nie może być gorsza, proszę pani. – Przygląda się Gwendy. – Ma pani dzieci, kongresmenko?

Gwendy próbuje przełknąć gulę, która rośnie jej w gardle.

– Nie. Nie mam.

Pan Hoffman spuszcza oczy i kiwa głową, ale nie mówi nic więcej. Potem wychodzi, powłóczę nogami.

Szeryf Ridgewick odprowadza go wzrokiem, po czym odwraca się do Gwendy.

– Dobrze poszło.

Gwendy rozgląda się po sali konferencyjnej, nie wiedząc, co zrobić. Wszystko stało się tak szybko, że kręci się jej w głowie. W końcu wyrzuca z siebie:

– Kupiłam te buty w dyskoncie.

PRZEZ RESZTĘ POPOŁUDNIA Gwendy objija się po mieszkaniu, ogląda wiadomości na kablówce i pije za dużo kawy. Parę godzin wcześniej, kiedy wyszła z biura szeryfa, czuła się przygnębiona i niekompetentna, jakby zawiódła wszystkich obecnych. Oczywiście musiała chlapanąć coś, co rozgniewało panią Hoffman, a szeryf doskonale sobie radził z nimi obojgiem, dopóki nie otworzyła gęby. I ten sarkastyczny komentarz na temat jej ubrania i butów... Gwendy wie, że nie powinna się nim przejmować, ale się przejęła. Odkąd wróciła do Castle Rock po tylu latach, zdążyła przywyknąć do okazjonalnych złośliwych przytyków. To kwestia terytorialna. Więc dlaczego ten konkretny tak ją dotknął?

– No, nie stój tak – zwraca się do pudełka z guzikami. – Wymyśl jakieś rozwiązanie.

Pudełko ją ignoruje. Leży na końcu stołu – obok niedopitego kubka kawy i nieaktualnego programu telewizyjnego – i uparcie milczy. Gwendy chwyta pilota i zwiększa głośność w telewizorze.

Prezydent Hamlin stoi na skraju trawnika przed Białym Domem, z wyzywająco założonymi rękami, w tle warczy helikopter Marine One.

„...i jeśli nie zaprzestaną grózb wobec Stanów Zjednoczonych Ameryki – mówi, przybierając na użytek kamer swoją najlepszą minę twardego faceta – nie pozostawia nam wyboru, będziemy musieli odpowiedzieć siłą na przemoc. Ten wielki kraj nigdy się nie ugnie”.

Gwendy patrzy z niedowierzaniem.

– Jezu, on myśli, że gra w filmie.

Dzwoni komórka. Gwendy wie, że to za wcześniej na drugi telefon od Ryana, ale i tak przełazi przez sofę i chwyta aparat.

– Halo?

– Cześć, Gwen. Tu tata.

– Właśnie o was myślałam – mówi, ściszejac telewizor. – Mam coś przynieść na kolację?

Ojciec odpowiada po krótkiej przerwie.

– Dlatego dzwonię. Bardzo byś się gniewała, gdybyśmy odwołali dzisiejszy wieczór?

– Oczywiście, że nie. – Gwendy się prostuje. – Wszystko w porządku?

– Wszystko dobrze. Mama tylko ma trochę dosyć po dzisiejszej wizycie u lekarza. Szczerze mówiąc, ja też.

– Chcesz, żebym podrzuciła wam coś na wynos od Pazzano? Zrobię to z przyjemnością.

– Kochana jesteś, ale nie, nie trzeba. Podgrzeję trochę lasagne i wcześniej pójdziemy spać.

– Okay, ale zadzwoń, jeśli zmienisz zdanie. I ucałuj mamę ode mnie.

– Dobrze, skarbie. Dziękuję, że jesteś taką dobrą córką.

– Dobranoc, tato.

Gwendy rozłącza się i patrzy na choinkę stojącą w kącie. Sznur lampek zgaś.

– Taaak, rzeczywiście dobra córka... Całkiem zapomniałam, że mama w ogóle miała dzisiaj wizytę kontrolną.

Wstaje i robi parę kroków na środek pokoju, a potem się zatrzymuje. Nagle zbiera jej się na płacz, i to nie jakieś skromne pociąganie nosem. Chce paść na kolana, ukryć twarz w dłoniach i szlochać do

utrąty przytomności.

W piersi narasta ucisk. Gwendy osuwa się z powrotem na sofę. To żałosne, myśli, wycierając łzy nasadą dłoni. Absolutnie żałosne. Może gorąca kąpiel i kieliszek wina...

A potem spogląda na pudełko z guzikami.



GWENDY NIE PAMIĘTA, kiedy ostatni raz biegła dwukrotnie tego samego dnia. Gdyby musiała zgadywać, to było w lecie, gdy miała dwanaście lat, Frankie Stone zaczął ją nazywać Goodyear i postanowiła wreszcie coś zrobić ze swoją wagą. Tamtego lata biegła praktycznie wszędzie – do sklepiku na rogu po jajka i chleb dla matki, do domu Olive słuchać płyt i przeglądać najnowszy numer magazynu „Teen”, i oczywiście co rano (nawet w niedzielę) po Schodach Samobójców do parku Castle View. Zanim we wrześniu zaczęła się szkoła, Gwendy straciła prawie osiem kilogramów dziecięcego tłuszczyku, a pudełko z guzikami leżało ukryte na dnie szafy w jej sypialni. Potem życie już nigdy nie było takie samo.

Tego wieczoru biegnie szybko środkiem drogi 117, ciesząc się mocnymi uderzeniami serca w piersi. Śnieg przestał padać parę godzin wcześniej, akurat w porze kolacji, i pługi śnieżne pracownicy oczyszczają boczne uliczki o tej późnej godzinie. Główne drogi są niesamowicie puste i ciche. U stóp wzgórza Gwendy mija grupę mężczyzn w kaskach i pomarańczowych kamizelkach z literami RPCR – Roboty Publiczne Castle Rock. Jeden z nich rzuca łopatę i nagradza Gwendy entuzjastycznymi oklaskami. Ona błyska uśmiechem, pokazuje mu uniesione kciuki i biegnie dalej.

Małeńka czekoladka, którą ofiarowało pudełko z guzikami, była w kształcie sowy i Gwendy jak urzeczona wpatrywała się w zadziwiające szczegóły – faliste krawędzie piór, spiczasty czubek dzioba, kałuże cienia w miejsce oczu – zanim wrzuciła ją do ust i pozwoliła, żeby słodycz rozpuściła się na języku.

Nastąpiła chwila absolutnej satysfakcji – Gwendy sama nie wie, co ją tak usatysfakcjonowało, może wszystko – a potem po jej ciele rozeszła się fala energii i zaskakującej jasności. Nagle nie miała już ochoty płakać, czuła się lekka, wzrok jej się wyostrzył, kolory w mieszkaniu wydały się żywsze i jaskrawsze. Czy tak się czuła, kiedy była młodsza? Nie pamięta dokładnie. Wie tylko, że nagle poczuła się tak, jakby wyrosły jej skrzydła, jakby mogła wzlecieć w niebo i dotknąć księżyca. Natychmiast przebrała się w dres i buty do biegania i wyszła.

Nie, nie natychmiast, przypomina sobie, kiedy okrąży stację benzynową Sunoco, kierując się w stronę Main Street i centrum miasteczka.

Najpierw stało się coś jeszcze.

Owładnięta tym dobrym, cudownym uczuciem, nagle zaczyna się wpatrywać w czerwony guzik po lewej stronie pudełka, a potem powoli wyciąga palec i dotyka go, głaszcze jego szklistą powierzchnię, i na dnie jej duszy wykluwa się myśl niczym strzępek zapomnianego snu tuż przed przebudzeniem, żeby nacisnąć ten guzik i naprawdę zetrzeć prezydenta Hamlina z powierzchni ziemi.

*Hola, dziewczyno, szepcze cichy głosik w jej głowie. Uwważaj, o czym marzysz, bo to pudełko słyszy twoje myśli. Nie waż się w to wątpić ani przez chwilę.*

Wtedy, dopiero wtedy, Gwendy ostrożnie cofa palec i idzie na górę, żeby się przebrać w strój do biegania.

NASTĘPNY DZIEŃ WSTAJE zimny i pogodny. Ostry wiatr wieje ze wschodu, wiruje wśród wierzchołków drzew, usypuje zasy przy kołach zaparkowanych samochodów i ścianach budynków. Lodowa pokrywa na śniegu skrzy się oslepiająco w blasku porannego słońca.

Gwendy zjeżdża na pobocze wąskiej bocznej drogi i zdejmuje ciemne okulary. Przed nią w nierównej linii parkuje kilka pojazdów z biura szeryfa. Umundurowani funkcjonariusze stoją z opuszczonymi głowami, pogrążeni w rozmowie, między dwoma samochodami. Po prawej stronie drogi rozciąga się jakieś kilka hektarów otwartego pola, otoczonego gęstym lasem. Wysokie drzewa tłoczą się po drugiej stronie, zasłaniają słońce i obniżają temperaturę co najmniej o pięć stopni.

Norris Ridgewick zauważa jej subaru i odłącza się od pozostałych mężczyzn. Rusza w jej stronę, więc Gwendy wysiada i wychodzi mu naprzeciw.

– Dziękuję, że tak szybko przyjechałaś – mówi szeryf. – Pomyślałem, że chciałabyś to zobaczyć.

– Co się dzieje? – pyta Gwendy, zasuważąc suwak grubej kurtki. – Znaleźliście dziewczynki?

– Nie. – Ridgewick spogląda na otwarte pole. – Jeszcze nie. Ale znaleźliśmy bluzę, którą Carla Hoffman miała na sobie, kiedy zniknęła.

Gwendy się rozgląda.

– Aż tak daleko?

Szeryf kiwa głową i wskazuje na północno-wschodni róg pola. Gwendy podąża spojrzeniem za jego palcem i wytyczając wzrok, dostrzeżę kilka ciemnych postaci, ledwie widocznych na tle drzew.

– Jeden z moich ludzi zauważył ją dziś rano. Wiatr dmuchał tak mocno, że bluzę dosłownie tańczyła po polu. Ten ruch zwrócił jego uwagę. To i kolor.

– Kolor?

– Wiemy z rozmowy ze starszym bratem Carli, że tamtego wieczoru miała na sobie różową bluzę Nike. Funkcjonariusz zobaczył coś małego i różowego toczącego się po polu i zatrzymał się. W pierwszej chwili myślał, że to tylko plastikowa torba na zakupy. Dzisiaj mocno wiało, te drzewa tworzą jakby tunel aerodynamiczny i latają tutaj rozmaite śmiecie. Puste puszkki. Opakowania po fastfoodowym jedzeniu. Plastikowe torby, papierowe, co tylko chcesz.

– Twój człowiek chyba zasłużył na podwyżkę, że to sprawdził.

– To dobry fachowiec. – Szeryf przygląda się uważnie Gwendy. – Wszyscy moi ludzie są dobrzy.

– I co dalej?

– Przyjechała jednostka dochodzeniowa, oglądają bluzę. Zastępca Footman ściąga dodatkowe siły, żeby przeprowadzić poszukiwania w okolicy. Możesz pomóc, jeśli chcesz. Pewnie połowa miasteczka się tu zwali, jeśli im pozwolimy.

Gwendy kiwa głową.

– Chętnie pomogę. W samochodzie mam czapkę i rękawiczki.

– Zajebisty sposób na spędzenie dnia przed Wigilią. – Szeryf wzdycha ciężko. – W każdym razie i tak zaczniemy najwcześniej za godzinę. Możesz wrócić do samochodu i włączyć ogrzewanie. – Odwraca się do pozostałych mężczyzn. – W jednym wozie patrolowym są pączki i kawa, jeśli chcesz.

Gwendy nie korzysta z propozycji. Ze zmarszczonymi brwiami spogląda na zaśnieżone pole.

– Szeryfie... jeśli twój zastępca znalazł bluzę fruującą po śniegu, a śnieg przestał padać dopiero wczoraj po południu, to znaczy, że bluzę zostawiono w ciągu ostatnich... – Oblicza w myślach. – Mniej więcej szesnastu godzin.

– Może – przyznaje Ridgewick. – Chyba że leżała gdzieś pod śniegiem, a wiatr ją odkopał, kiedy przestało padać.

– Hm... O tym nie pomyślałam.

– Wiem tylko, że w promieniu pięciu kilometrów nie ma żadnych domów, a z tego odcinka drogi korzystają głównie myśliwi. Znaleźliśmy tę bluzę przypadkiem albo mieliśmy ją znaleźć. – Zerka na mężczyzn stłoczonych między samochodami, a potem znowu spogląda na Gwendy. – Stawiam na to drugie.

CO DO JEDNEGO SZERYF RIDGEWICK ma rację: do udziału w poszukiwaniach zgłasza się połowa miasteczka. Przynajmniej tak się wydaje Gwendy, kiedy zajmuje miejsce w długim, łukowato wygiętym szeregu miejscowych. Większość kobiet ubrana jest w kolorowe kurtki i botki, większość mężczyzn nosi standardowy jesienny ubiór dorosłego samca z Nowej Anglii – barwy maskujące. Kiedy rozsypują się wachlarzowo po polu, Gwendy rozgląda się i widzi starszych ludzi idących obok młodych par, młode pary obok studentów i uczniów. Nawet w tych ponurych okolicznościach widok wywołuje przelotny uśmiech na jej twarzy. Pomimo swojej mrocznej historii i wszelkich dziwactw Castle Rock nadal dba o swoich.

Szeryf udziela grupie prostych instrukcji: iść powoli obok siebie, w najwyższej dwumetrowych odstępach; jeśli coś znajdziesz, cokolwiek, nie dotykaj i nie podchodź za blisko, zawołaj funkcjonariusza i któryś zaraz przybiegnie.

Gwendy wpatruje się w zaśniewaną ziemię przed sobą i zmusza się, żeby powoli przesuwać stopy, chociaż lodowaty ziąb każe jej przyspieszyć tempo. Policzki ją pieką i oczy łzawią od ciągłych podmuchów wiatru. Po raz pierwszy tego dnia wraca myślą do pudełka z guzikami. Wie, że zjedzenie czekoladki było błędem, chwilą słabości, i twardo postanawia, że to się nie powtórzy. Owszem, wczoraj wieczorem poprawiło jej to nastrój – okay, zrobiło znacznie więcej, jeśli ma być całkowicie szczerą wobec siebie. Od miesięcy nie czuła się tak wypoczęta i podniesiona na duchu jak tego ranka – a kiedy w łazience spojrzała w lustro i zobaczyła, że ciemne kręgi pod oczami po raz pierwszy od tygodni zniknęły, nagle magiczne czekoladki przestały się wydawać takim złym pomysłem.

Ale potem przypomniała sobie, jak muskała palcem gładką powierzchnię czerwonego guzika, a cichy głosik szeptał w jej głowie: *Uważaj, o czym marzysz, bo to pudełko słyszy twoje myśli*. Wzdrygnęła się na to wspomnienie i postarała się odepchnąć je jak najdalej.

– Gwendy, kochanie – odzywa się jakiś głos, wyrывая ją z zamyślenia. – Jak się czuje twoja mama?

Gwendy wyciąga szyję i spogląda najpierw w prawo, potem w lewo. Kilka miejsc dalej w szeregu starsza kobieta podnosi rękę w rękawicze i macha.

– Pani Verrill! Wcale pani nie widziałam.

Kobieta uśmiecha się do niej.

– Nie szkodzi, kochanie. Trudno kogoś rozpoznać, kiedy wszyscy są tak opatuleni.

– Mama czuje się znacznie lepiej. Dziękuję, że pani pyta. Wróciła do kuchni i gotowa jest wyrzucić ojca z domu, żeby mieć trochę ciszy i spokoju.

Pani Verrill chichocze z ręką przy ustach.

– No to pozdrów ją ode mnie i powiedz, że chciałabym kiedyś wpaść w odwiedziny.

– Tak zrobię, pani Verrill. Na pewno ucieszy się z pani wizyty.

– Dziękuję, kochanie.

Gwendy uśmiecha się i z powrotem skupia na nietkniętej pościeli śniegu przed sobą. Ocenia, że zostało jakieś pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt metrów, zanim dojdą do linii drzew. A wtedy co? – myśli. Zawracamy, czy brniemy dalej? Widocznie umknęła jej ta część instrukcji szeryfa...

Czuje, że mężczyzna idący po jej prawej stronie gapi się na nią. Zerka na niego i tak, miała rację, brązowe oczy wpatrują się w nią uważnie. Mężczyzna jest młody, po dwudziestce, zbyt lekko ubrany w wypuszczoną na wierzch flanelową koszulę i czapkę baseballową drużyny Buffalo Bills. Nagle szczyrzy zęby i przenosi wzrok za nią.

– Mówiłem ci, że to ona, tatku.

– Przepraszam? – mówi Gwendy, zbита z tropu.

Odzywa się cichy głos z lewej strony:

– Myślał żem, że ona jest za młoda, żeby być gubernatorem... albo senatorem.

Gwendy spogląda z lewej na prawo i znowu na lewo.

– Ja... nie jestem ani tym, ani tym.

Starszy mężczyzna drapie się po zarośniętym podbródku.

– No to czym jesteś?

– Jestem...

– Ona jest kongresmenką – wtrąca młody człowiek z zakłopotaną miną. – Mówiłem ci.

– Chyba nie rozumiem, o co wam chodzi – mówi zirytowana Gwendy. – Czy my się znamy?

– Nie, proszę pani. Nazywam się Lucas Browne, a ten tam to jest mój ojciec.

– Charlie – przedstawia się starszy mężczyzna, kładzie rękę na brzuchu i wykonuje lekki ukłon. –

Trzecie pokolenie Castle Rock.

– Chwileczkę, więc pan się nazywa... Charlie Browne?

Mężczyzna ponownie się kłania.

– Do usług.

Młodszy mężczyzna jęczy i jeszcze mocniej się czerwieni.

Oni są właściwie uroczy, myśli Gwendy.

– W każdym razie widziałem, jak pani tam stała, kiedy szeryf gadał – mówi Lucas. – Szturchnąłem tatkę i powiedziałem mu, kim pani jest. – Spogląda na ojca z uniesionym podbródkiem. – Ale mi nie uwierzył.

– Nie wierzyłem, przyznaję. – Starszy mężczyzna podnosi ręce. – Myślałem, że trzeba być dużo starszym, żeby pracować tak wysoko w rządzie.

Gwendy obdarza go szerokim uśmiechem.

– No cóż, potraktuję to jako komplement. Dziękuję.

Stary rozpromienia się i wypina pierś.

– Mój syn... on jest ten mądry w rodzinie. Dwa lata na studiach w Buffalo... zanim wpadł w drobne kłopoty. Ale niedługo wróci i dokończy to, co zaczął. No nie, synu?

Lucas, który nagle wygląda tak, jakby bardzo chciał się znaleźć gdzie indziej, kiwa głową.

– Tak, tato. Niedługo.

– No, miło było poznać was obu – mówi Gwendy, pragnąc zakończyć tę rozmowę. – Zawsze dobrze jest wiedzieć...

– Co to jest? – przerywa jej Lucas, wskazując mały, ciemny przedmiot, wylaniający się spośród drzew przed nimi. Szmer podniesionych głosów przebiega po szeregu szukających. Ludzie zaczynają pokazywać palcami. Ktoś na końcu lewej flanki łamie szyk i rzuca się w pościg za przedmiotem, ale pośliznąwszy się, rozciąga się jak długi twarzą w śniegu. Kilka osób szyderczo wiwatuje.

Początkowo Gwendy myśli, że to zwykła plastikowa torba na zakupy, o jakiej mówił szeryf. Ma odpowiedni rozmiar i kształt, unosi się w porywach wiatru, w górę, w dół, kręci się, zatacza ciasne kółka, opada na ziemię, koziołkuje szaleńczo i znowu podrywa się w powietrze.

Ale potem na środku pustego pola przedmiot w niepojęty sposób zmienia kierunek lotu. Odbija mocno w prawo i kieruje się prosto do niej

– *i Gwendy wraca myślą do pewnego wietrznego, złocistego, kwietniowego popołudnia u boku chłopca, którego niegdyś kochała, kiedy puszczali latawce i trzymali się za ręce, i czuli, że ich szczęście będzie trwało wiecznie...*

i w tej chwili pojmuje, że to kapelusz leci w jej stronę, popychany wiatrem – mały, schludny, czarny kapelusz.

Ciemny przedmiot nagle skręca w lewo, oddala się z niesamowitą szybkością i przez jedną ulotną chwilę Gwendy myśli z nadzieją, że się pomyliła, że to jednak tylko torba na zakupy – ale potem wiatr znowu się zrywa i przedmiot zawraca, robi pętlę, zbliża się coraz bardziej, zygzakuje i podskakuje na zamrzniętej ziemi, zmierza prosto do jej stóp...

...a wtedy Lucas Browne wybiega z szeregu i przydepuje go, przerywając nagle jego długą podróż.

– Tylko popatrz na to – mówi Charlie Browne i oczy ma wielkie jak srebrne dolary z 1891 roku. Nachyla się, żeby podnieść kapelusz.

– Stój! – krzyczy Gwendy. – Nie dotykaj go!

Starszy mężczyzna gwałtownie cofa rękę i podnosi na nią wzrok.

– Dlaczego?

– To... może być dowód.

– A tak. – Stary prostuje się i z rozmachem wali się na płask w bok głowy.

Tymczasem zebrał się wokół nich mały tłumek.

– Co to jest?

– Czy to jest to, co myślę?

– Widziałeś, jak ten drań latał? Prawie jakby ktoś nim pilotował.

Zastępca szeryfa Footman przesuwając się przez grupę widzów.

– Co tam macie?

– Przepraszam za to, panie władzo – mówi Lucas, zdejmując but z przedmiotu. – Tylko tak mogłem go zatrzymać.

Zastępca nic nie mówi. Przykłada na jedno kolano w śniegu i uważnie ogląda znalezisko.



Oczywiście nie jest to torba na zakupy.

To kapelusz – mały, schludny, czarny kapelusz.

Wyblakły ze starości, wytarty i postrzępiony wzdłuż krawędzi ronda, na środku zgniecionego denka ma spore rozdarcie o poszarpanych brzegach.

– Ta rzecz leży tu od wieków – ocenia zastępca i wstaje. – Nic nam nie pomoże.

Odchodzi, a tłumek zaczyna się rozpraszać.

Gwendy się nie rusza. Przygryzając wargę, wpatruje się w czarny kapelusz, niemal zahipnotyzowana, nie zdając sobie sprawy, że Charlie Browne i jego syn na nią patrzą. *Czy Farris wysłał jakąś wiadomość? Czy tylko ze mną pogrywa? Nadrabia stracony czas?*

Schyła się, żeby lepiej obejrzeć brudny przedmiot – a wtedy podmuch wiatru podrywa go, zabiera jej sprzed nosa i ciska w stronę drogi. Kapelusz wzbija się coraz wyżej, potem, wirując, spada na ziemię, toczy się na boku przez kilka metrów jak dziecięce frisbee i znowu wlatuje wysoko.

Gwendy stoi na środku zaśnieżonego pola, wznosząc oczy do nieba, i patrzy, jak czarny kapelusz znika wśród drzew po drugiej stronie drogi. Kiedy się odwraca, rozciągnięty ludzki łańcuch poszukiwaczy już się od niej oddalił.



HOMELAND TO NAJWIĘKSZY i najładniejszy z trzech cmentarzy w Castle Rock. Od frontu jest wysoka żelazna brama z zamkiem, zamykana tylko dwa razy do roku – w wieczór balu maturalnego i w Halloween. Na cmentarzu pochowany jest szeryf George Bannerman, a także Reginald „Papa” Merrill, jeden z najbardziej niesławnych – i niesympatycznych – obywateli miasteczka.

Gwendy wjeżdża przez ozdobną bramę w chwili, kiedy zapada zmierzch. Nie potrafi zdecydować, czy cmentarz ze swoimi falującymi wzgórzami, kamiennymi pomnikami i wydłużającymi się cieniami wygląda spokojnie, czy złowrogo. Może jedno i drugie, myśli, parkując na centralnej alejce i wysiadając. Może ani to, ani to.

Wie, dokąd idzie, i zmierza tam najkrótszą drogą, brnąc w śniegu po kolana. Dociera do kilku płyt nagrobnych, rozproszonych na stromym zboczu i otoczonych małym sosnowym zagajnikiem. W miejscach, gdzie gęste gałęzie drzew nie przepuściły śniegu, widnieją spłachetki gołej ziemi. Wierzchołki sosen chwieją się na zimnym wietrze, szepcząc do siebie różne sekrety.

Gwendy przystaje przed małą płytą w ostatnim rzędzie. Drzewa rosną tu gęsto, przesłaniają gasnące światło dnia i rzucają głęboki cień, ale Gwendy zna na pamięć napis wyryty na nagrobku.

OLIVE GRACE KEPNES

1962–1979

Nasz kochający anioł

Gwendy przykłęka w śniegu, tutaj głębokim tylko na parę centymetrów, i wodzi obnażonymi palcami po wyżłobieniach. Jak zawsze myśli, że ten, kto układał napis, zrobił to byle jak. Gdzie są dokładne daty urodzin i śmierci Olive? To były ważne dni i powinno się je upamiętnić. I co mówią słowa „Nasz kochający anioł” o prawdziwej Olive Kepnes? Nic. Nic nie zrobiono, żeby zachować pamięć o Olive. Dlaczego nie wspomniano, że miała zaraźliwy śmiech i wiedziała o Peterze Framptonie\* więcej niż ktokolwiek inny? Albo że była koneserką wszelkiego rodzaju cukierków i kiepskich horrorów nadawanych późną nocą w telewizji? Albo że chciała zostać weterynarzem, kiedy dorośnie?

Gwendy kłęczy w śniegu – pomimo nieprzemakalnych butów stopy jej zdrętwiały z powodu wcześniejszych długich i bezowocnych poszukiwań – dopóki kałuże cienia nie zleją się w jedno, a wtedy żegna się z dawną przyjaciółką i powoli wraca w ciemnościach do samochodu.

---

\* Angielski muzyk rockowy, w latach 70. i 80. niezwykle popularny w Stanach Zjednoczonych.

GWENDY ZAMYKA SAMOCHÓD i idzie chodnikiem do swojego budynku. W połowie drogi słyszy za sobą kroki.

Ogląda się przez ramię, przeczesuje wzrokiem parking. W pierwszej chwili nie widzi nikogo, chociaż wciąż słyszy pospieszne kroki. Potem go dostrzega: mężczyzna ukryty w cieniu między latarniami, zmierzający szybko w jej stronę. W odległości jakichś trzydziestu metrów.

Gwendy spieszy do wejścia i drżącymi palcami wstukuje kod. Próbuje otworzyć drzwi, ale blokada nie ustępuje.

Ponownie ogląda się za siebie, teraz już spanikowana. Mężczyzna jest coraz bliżej. Może piętnaście metrów od niej. Po ciemku nie ma stuprocentowej pewności, ale wydaje jej się, że nosi kominiarkę zakrywającą twarz. Jak w jej śnie.

Ponownie wstukuje kod, koncentrując się na każdym klawiszu. Drzwi brzęczą. Otwiera je, wpada do środka i zatrząskuje za sobą, a potem rusza po schodach do swojego mieszkania. Niezdaranie gmerając kluczami w zamku, słyszy, że ktoś na dole szarpie drzwi wejściowe, próbując dostać się do budynku.

Gwendy w końcu otwiera mieszkanie i wpada do środka. Zasuńawszy rygiel, biegnie do okna i wygląda na zewnątrz.

Parking jest pusty. Nigdzie nie widać mężczyzny.

– DZIEŃ DOBRY, SHEILA – MÓWI Gwendy, trochę zbyt ożywiona jak na tak wczesną godzinę. – Przyszedł do szeryfa Ridgewicka.

Chuda jak szkielet kobieta o jaskraworudych włosach, w dopasowanych kolorystycznie okularach, podnosi wzrok znad czasopisma.

– Cześć, Gwendy. Szkoda, że wczoraj się minęłyśmy. Słyszałam, że się działo.

Sheila Brigham już od dwudziestu pięciu lat zajmuje oszkloną budkę dyspozytora w biurze szeryfa hrabstwa Castle. Obsługuje również recepcję i ekspres do kawy. Zaczęła pracę od razu po maturze, kiedy w modzie były spodnie dzwony, a miasteczko patrolował George Bannerman. Wyszła tu za męża, wychowała dzieci i dobrze się opiekowała Alanem Pangbornem podczas jego dziesięcioletniej kadencji. W przeciwieństwie do wielu innych, nie wypłoszył jej pożar z 1991 roku, chociaż spędziła po nim prawie trzy tygodnie w szpitalnym łóżku.

– Obawiam się, że nie wzbudziłam wielkiego zaufania do naszych wybieralnych urzędników – przyznaje Gwendy.

Sheila lekceważąco macha ręką.

– Nic się tym nie przejmuj. Carol Hoffman jest cięta jak osa, nawet kiedy ma dobry dzień... a ostatnio ma ich mało.

– Mimo wszystko czuję się okropnie. Biedna kobieta.

Sheila odchrząkuje.

– Jak chcesz kogoś żałować, to pożałuj jej męża.

– Tu masz rację.

Znowu sięga po swój magazyn.

– Idź prosto na zaplecze. Czeka na ciebie.

– Dziękuję, Sheila. Wesółych świąt.

Starsza kobieta znowu odchrząkuje i wraca do czytania.

Drzwi gabinetu szeryfa są otwarte, więc Gwendy wchodzi do środka. Ridgewick siedzi za biurkiem i rozmawia przez telefon. Podnosi palec, wymawia bezgłośnie: „Chwileczkę” i gestem każe jej usiąść.

– Rozumiem, Jay, naprawdę. Ale nie mamy czasu. Potrzebuję tego na wczoraj. – Twarz mu ciemnieje. – Wszystko mi jedno. Po prostu to załatw.

Rozłącza się i spogląda na Gwendy.

– Przepraszam.

– Nie ma problemu. No więc po co te sekrety? Dlaczego nie mogłeś mi powiedzieć przez telefon?

Szeryf kręci głową.

– Nie lubię tych waszych komórek. W tej chwili tylko przecieku nam brakuje.

– Jesteś takim samym paranoikiem jak mój ojciec. On doprowadził się do hysterii. Myśli, że cała światowa technologia się załamie, kiedy w przyszłym tygodniu zegar wybije północ.

– Powiedz to Tommy’emu Perkinsowi. On twierdzi, że codziennie na tej swojej krótkofalówce podsłuchuje ludzi rozmawiających przez komórki.

Gwendy parska śmiechem.

– Tom Perkins to stary, zniechęcał się świętuch. Naprawdę wierzysz w to, co mówi?

Szeryf wzrusza ramionami.

– Skąd wiedział, że Shelly Piper jest w ciąży, zanim reszta miasteczka się dowiedziała?

– Pewnie sam ją nadmuchał, stary zbok.

Szeryfowi opada szczęka, jego usta układają się w idealne „o”.

– Gwendy Peterson.

– Och, cicho bądź. – Gwendy macha ręką. – I przestań grać na zwłokę, Norris. Złe wiadomości?

Uśmiech spłza z jego twarzy.

– Niestety, tak.

– Powiedz mi.

Szeryf wstaje i zamyka drzwi. Wraca za biurko, otwiera szufladę i wyjmuje dużą kopertę.

– Obejrzyj – mówi, podając ją Gwendy.

Gwendy otwiera kopertę i wysuwa dwie błyszczące kolorowe fotografie. Trudno odgadnąć, czym są trzy małe białe przedmioty na pierwszej, ale drugie zdjęcie to zbliżenie, znacznie wyraźniejsze.

– Zęby? – pyta Gwendy, patrząc na szeryfa.

Ridgewick kiwa głową.

– Skąd się wzięły?

– Znalaziono je w kieszeni różowej bluzy Carli Hoffman.

PARĘ GODZIN PÓŹNIEJ, kiedy Gwendy bierze prysznic i przygotowuje się do pójścia z rodzicami na świąteczne nabożeństwo, wciąż myśli o tych trzech małych zębach.

Technicy z laboratorium kryminalistycznego już potwierdzili, że zęby są typowe dla dziewczyny w wieku Carli Hoffman, a szeryf Ridgewick skontaktował się z gabinetem dentystycznym, żeby sprawdzić, czy mają w karcie jej zdjęcia rentgenowskie. Rodzice Carli wiedzą o bluzie, ale nie powiedziano im o makabrycznym znalezisku w kieszeni.

– To nasz pierwszy konkretny dowód – zwierzył się szeryf Gwendy. – Musimy sprawdzić ten trop, zanim wiadomość rozniesie się po całym miasteczku.

Na widok zębów Gwendy całkiem zapomniała o niepokojącym incydencie na parkingu zeszłego wieczoru, ale teraz, dobę później, wspomnienie powróciło, kiedy wybiera sukienkę do kościoła.

To wszystko przypomina zły sen. Mężczyzna miał kominarkę, teraz jest tego pewna. Ale o tej porze roku wiele osób je nosi. Poza tym Gwendy niewiele pamięta. Ciemne ubranie, może džinsy, i jakieś buty, może botki z twardymi podeszwami. Z pewnością usłyszała go, zanim go zobaczyła. Jeszcze jedno: nie zauważyła żadnych obcych samochodów na parkingu, więc albo zaparkował gdzieś dalej i przyszedł pieszo, albo mieszkał w pobliżu.

Ale dlaczego ktoś miałby zrobić coś takiego? – zadaje sobie pytanie, decydując się na długą czarną suknię i skórzane botki. Czy chciał ją tylko nastraszyć? Czy chodziło o coś więcej? Czy w ogóle wiedział, z kim ma do czynienia? Może to tylko głupi dowcip. Albo nie miał z nią nic wspólnego.

Zastanawia się również, dlaczego rano nie powiedziała o tym szeryfowi, i ma pewną teorię. Wszystko wskazuje na sowę, którą zjadła kilka wieczorów wcześniej. Czekoladka nie tylko natychmiast napełniła ją spokojną energią i wyostrzyła wzrok – dosłownie i w przenośni – ale zrobiła też coś więcej: przywróciła jej poczucie równowagi w świecie, pewność siebie, której rozpaczliwie jej brakowało w ostatnich miesiącach. Tęsknota za Ryanem, problemy w pracy, obawa o mamę, złość na prezydenta ze współczynnikiem inteligencji buraka i temperamentem szkolnego łobuza... Nagle poczuła, że znowu udźwignie te wszystkie ciężary i jeszcze więcej. Wszystko dzięki jakiejś cudownej pigułce... albo czekoladce, myśli. Czuje się nieswojo i ma jeszcze większe wyrzuty sumienia, że ją zjadła. Przecież nie była już zagubioną, niepewną siebie nastolatką jak wtedy, kiedy pudełko z guzikami po raz pierwszy wtargnęło do jej świata. Teraz jest dorosłą kobietą i potrafi odbijać podkręcone piłki, jakie rzuca jej życie.

Zapina pas i wyjeżdża z parkingu, żeby spotkać się z rodzicami w kościele, kiedy w jej głowie znów odzywa się to okropne pytanie: *Ile w życiu dokonała sama, a ile jest dziełem pudełka z jego guzikami i czekoladkami?*

Nigdy nie była mniej pewna odpowiedzi.

ODKĄD GWENDY PAMIĘTA, ONA I RODZICE CO ROKU CHODZILI NA ŚWIĄTECZNE NABOŻEŃSTWO O DZIEWIĘTNASTEJ W KATOLICKIM KOŚCIELE NASZEJ PANI SPOKOJNYCH WÓD, A POTEM NA PRZYJĘCIE U BRADLEYÓW PO Drugiej stronie miasteczka. Kiedy Gwendy była małą dziewczynką, często w drodze do domu, na tylnym siedzeniu samochodu, opierała sennie głowę o zimną szybę i szukała na nocnym niebie świecącego czerwonego nosa renifera Rudolfa.

Tego wieczoru nabożeństwo w kościele trwa trochę ponad godzinę. Hugh i Blanche Goffowie, długoletni sąsiedzi Petersonów, spóźniają się kilka minut. Gwendy ochoczo się przesuwają, żeby zrobić dla nich miejsce w ławce. Pani Goff pachnie kulkami na mole i miętówkami, ale Gwendy to nie przeszkadza. Goffowie nie mogli mieć własnych dzieci, więc traktują ją jak przybraną córkę.

Gwendy zamyka oczy i zatapia się w kazaniu ojca Lawrence'a. Jego kojący głos należy do wspomnień jej dzieciństwa tak samo jak pływanie z Olive Kepnes w miejskim basenie w sobotnie poranki. Nie znajduje w kazaniu nic nowego, niemniej słowa księdza przynoszą jej pociechę. Widzi prostą radość na twarzy matki, która śpiewa razem z chórem, a chwilę później tłumi chichot, kiedy pan Goff puszcza wiatry podczas komunii świętej i dostaje lekkiego szturchańca w zębra od jej ojca.

Po zakończeniu nabożeństwa Petersonowie wychodzą z kościoła razem z resztą wiernych i stają przed głównym wejściem, żeby przywitać się z sąsiadami i znajomymi. Najgłośniejsze powitania zarezerwowane są dla pani Peterson, która pojawiła się w kościele po raz pierwszy od wielu tygodni. Jest jednak pewien wyjątek. Ojciec Lawrence zamyka Gwendy w niedźwiedzim uścisku i dosłownie unosi ją w powietrze. Prosi, by obiecała, że niedługo wróci, i znika na plebanii. Kiedy tłum rzędnie, Gwendy odprowadza Goffów do ich samochodu na parking, a potem idzie z rodzicami do rezydencji Bradleyów na Willow Street.

Anita Bradley – jak od trzech dekad głosi w Castle Rock zawistna plotka – usidliła bogatego starszego faceta. Kiedy Lester, jej mąż, potentat w branży drzewnej, starszy od niej o dziewiętnaście lat, na początku 1991 roku zmarł na atak serca, miejscowi zakładali, że po zakończeniu uroczystości pogrzebowych i załatwieniu kwestii prawnych Anita spakuje się i wyjedzie na słoneczne wybrzeża Florydy czy nawet na jakąś egzotyczną wyspę. Ale nie mieli racji. Oświadczyła, że Castle Rock jest jej domem i nigdzie się nie ruszy.

Jak się okazało, jej decyzja przyniosła miasteczku wiele korzyści. Przez prawie dziewięć lat po śmierci męża Anita przeznaczała czas i pieniądze na liczne miejscowe organizacje charytatywne, wspomagała swoimi krawieckimi umiejętnościami szkolne kółko teatralne i pełniła funkcję prezesa bibliotecznej rady powienczej. Poza tym piecze niewiarygodnie pyszną szarlotkę, którą przez całe lato sprzedaje w Piekarni Nory.

Uśmiechnięta i lekko wstawiona – z długimi, gęstymi siwymi włosami upiętymi w zaprzeczającą prawom grawitacji trójpoziomą konstrukcję – wita Petersonów lekkimi uściskami i miękkimi jak bibułka (oraz suchymi jak papier ścierny) pocałunkami w policzki. Dwupiętrowy dom Bradleyów, o powierzchni ponad sześćset pięćdziesięciu metrów kwadratowych, stoi na szczycie skalistego wzgórza, wypełniony antykami z przełomu wieków. Gwendy zawsze się boi, że rozbije coś cennego. Bierze płaszcze rodziców i własny, zostawia je na wiktoriańskiej sofie w bibliotece i wchodzi do

pełnego ludzi wysokiego salonu. Wypatruje znajomych twarzy, pragnąc się tylko pokazać i jak najszybciej wrócić do domu.

Lecz jak to się często zdarza w Castle Rock, trudno tutaj znaleźć znajome twarze w jej wieku. Większość szkolnych przyjaciół Gwendy nie wróciła do miasteczka po studiach. Podobnie jak ona, wielu znalazło pracę w pobliskim Portlandzie, Derry czy Bangor. Inni przeprowadzili się do odległych stanów i rzadko odwiedzają dom rodzinny. Brigitte Desjardin należy do nielicznych wyjątków od tej reguły i chyba jako jedyna koleżanka Gwendy zjawiła się na dorocznym świątecznym przyjęciu. Gwendy wpada na nią i jej męża Travisa przy wazie z ponczem – tym razem nic nie rozlewa – i prowadzą ożywioną, lecz krótką rozmowę, którą przerywa podpita znajoma Brigitte z komitetu rodzicielskiego. Gwendy uśmiecha się i idzie dalej.

Oczywiście wiele innych osób czeka, żeby z nią porozmawiać. Znajomych twarzy jest mało, za to dużo przyjaznych i po prostu zaciekawionych. Wydaje się, że każdy chce strzelić sobie fotkę albo zamienić parę słów z kongresmenką celebrytką. Wszyscy zasypują ją pytaniami.

*Gdzie jest twój mąż? Gdzie jest Ryan? (Za granicą, dostał zlecenie).*

*Jak się czuje twoja mama? (Znacznie lepiej, dziękuję, jest tu gdzieś, właśnie jej szukam).*

*Jaki jest naprawdę prezydent Hamlin? (Hm... to rozrabiaka).*

*Co tam słychać w Waszyngtonie? (Och, w porządku, codziennie próbujemy staczać dobry bój).*

*Dlaczego nie pijesz? Czekał, przyniosę ci coś. (Nie, dziękuję, naprawdę, jestem trochę zmęczona i w ogóle niewiele piję).*

*Co z tymi zaginionymi dziewczynkami? (To straszne, okropne, i wiem, że szeryf i jego ludzie robią wszystko, co w ich mocy, żeby je znaleźć).*

*Widziałem cię któregoś wieczoru, jak biegałaś. Nie męczysz cię to całe bieganie? (Właściwie nie, to mnie odpręża... dlatego biegam).*

*Czy należy się martwić Koreą Północną? Myślisz, że wybuchnie wojna? (Nie przejmujcie się tym. Musi się zdarzyć dużo bardzo złych rzeczy, żeby Stany Zjednoczone wypowiedziały wojnę, a ja nie wierzę, że do tego dojdzie).*

Co do tego ostatniego Gwendy nie ma całkowitej pewności, ale uważa, że do jej obowiązków należy uspokajanie wyborców.

Zanim odnajduje rodziców, siedzących w kącie na drugim końcu pokoju i rozmawiających z kolegą taty z biura (facet też chce zrobić „szybcuutkie zdjęcie”, do którego Gwendy posłusznie się uśmiecha), czuje się tak, jakby przez cały dzień podpisywała którąś ze swoich książek. Poza tym głowa jej pęka.

Kiedy na chwilę zostają sami, Gwendy mówi rodzicom, że jest wykończona, i pyta, czy poradzą sobie bez niej. Matka gdera, że nie powinna tak ciężko pracować, i każe jej natychmiast wracać do domu, do łóżka. Ojciec spogląda na nią ironicznie i mówi:

– Chyba przeżyjemy jeden wieczór bez twojego świetłego przewodnictwa, dzieciaku. Jedź do siebie i odpocznij.

Gwendy szturcha go w ramię, całuje oboje na dobranoc i rusza do biblioteki po płaszcz.

Wtedy to się staje.

Muskularna ręka wysuwa się z tłumu, chwyta Gwendy za ramię i obraca ją dookoła.

– No, no, no, tego my tu mamy?

Nagle wyrasta przed nią Caroline Hoffman, przekrwione oczy ma zwięzione w szparki. Jedną ręką ścisną ramię Gwendy, a drugą zwiąja w mięsistą pięść.

Gwendy rozgląda się po pokoju, szukając pomocy... ale nigdzie nie widzi pana Hoffmana, a nikt z imprezowiczów chyba nie zauważył, co się dzieje.

– Pani Hoffman, nie wiem, co...

– Rzygać mi się chce, jak na ciebie patrzę, wiesz?

– Przykro mi, że pani tak się czuje, ale nie wiem...

Uścisk staje się mocniejszy.

– Proszę mnie puścić – mówi Gwendy i odtrąca rękę kobiety. Czuje jej oddech... nie piwo, coś mocniejszego. Ostatnie, czego potrzebuje, to kłótnia z tą kobietą. – Proszę posłuchać, rozumiem, że jest pani zdenerwowana i mnie nie lubi, ale to nie jest odpowiedni czas i miejsce.

– Myślę, że to idealny czas i miejsce – oświadcza pani Hoffman i na jej twarzy rozlewa się paskudny szyderczy uśmiech.

– Na co? – pyta ciężko Gwendy.

– Na to, żeby ci skopać ten nadęty tyłek.

Gwendy cofa się o krok i unosi rękę, zaszokowana, że to się naprawdę dzieje.

– Wszystko w porządku? – pyta jakiś wysoki mężczyzna, którego Gwendy nie zna.

– Nie – odpowiada drżącym głosem. – Nie, nie jest w porządku. Ta kobieta za dużo wypila i trzeba ją odwieźć do domu. Czy pomoże jej pan kogoś znaleźć? Albo może zawoła pan jej męża?

– Z przyjemnością.

Mężczyzna odwraca się do pani Hoffman i próbuje wziąć ją za ramię, ale zostaje odepchnięty. Wpada na parę stojącą z tyłu i wytrąca mężczyźnie kieliszek z winem. Szklko spada na podłogę i rozbija się – i teraz wszyscy w pokoju patrzą na wysokiego nieznajomego i panią Hoffman.

– Na co się gagicie?! – wrzeszczy bełkotliwie kobieta, jej pulchne policzki powlekają się czerwienią. – Banda niedojebów!

– O rany – mówi ktoś za plecami Gwendy.

Gwendy korzysta z zamieszania i szybko wymyka się do biblioteki, gdzie wygrzebuje swój płaszcz z potężnej sterty na sofie. Wkłada go, wyciera łzy wściekłości i zaczyna chodzić tam i z powrotem po pokoju. Jak ona śmiała podnieść na mnie rękę? Jak może mówić takie rzeczy? Przyspiesza kroku, czuje żar narastający w jej ciele. Ja tylko próbowałam pomóc tej pyskatej babie, a ona zachowuje się jak...

Zza ściany dobiega głośny trzask.

A potem zaniepokojone okrzyki.

Gwendy pospiesznie wraca do salonu, pełna obaw, co tam zastanie.

Caroline Hoffman leży nieprzytomna na drewnianej podłodze, z ramionami rozrzuconymi nad głową. Paskudne rozcięcie na jej czole mocno krwawi. Wokół niej zebrał się tłum.

– Co się stało? – pyta Gwendy, nie zwracając się do nikogo konkretnego.

– Upadła – odpowiada stojący przed nią starszy mężczyzna. – Trochę się uspokoiła i chciała wyjść, ale nagle okręciła się i upadła, i uderzyła głową o stół. W życiu czegoś takiego nie widziałem.

– Prawie jakby ktoś ją popchnął – dodaje jakaś kobieta. – Tylko że nikogo przy niej nie było.

Gwendy przypomina sobie przypływ gniewu sprzed paru chwil i dawno zapomniany sen o Frankiem Stonie. Oszołomiona, chwiejnie wychodzi z domu i nie ogląda się za siebie.

Kręci jej się w głowie i przez parę minut nie może sobie przypomnieć, gdzie zaparkowała samochód. Wreszcie znajduje go na końcu długiego podjazdu Bradleyów, wsiada i w milczeniu jedzie do domu.



PIĘTNAŚCIE MINUT PÓŹNIEJ Gwendy wchodzi do mieszkania, przebiera się w koszulę nocną, myje twarz i zęby i idzie prosto do łóżka. Nie włącza telewizora, nie podłącza komórki do ładowarki i po raz pierwszy od powrotu zostawia pudełko z guzikami zamknięte na noc w sejfie.

NAZAJUTRZ PO PRZEBUDZENIU Gwendy również nie zagląda do pudełka z guzikami. Też po raz pierwszy.

Świąteczny poranek wstaje ciemny i ponury, gruba warstwa chmur wisi nisko nad Castle Rock. Prognoza pogody zapowiada śnieg przed nocą, a ciężarówka z Wydziału Robót Publicznych rozsypują już sól na jezdniach, kiedy Gwendy jedzie drogą 117 do rodziców. O wpół do jedenastej rano niemal wszystkie mijane domy mają zapalone świąteczne dekoracje. Z niewiadomego powodu, zamiast wyglądać wesoło i odświętnie, nikłe światełka na tle mrocznego nieba potęgują atmosferę przygnębienia.

Gwendy spodziewa się, że zły nastrój z poprzedniego wieczoru będzie jej towarzyszył przez cały dzień, ale jest zdecydowana ukryć to przed rodzicami. Mają już dość smartwień, nie będzie im psuć świąt.

Ale zanim sprzątną ze stołu po brunchu i wymienią się prezentami w salonie, Gwendy jest już w zadziwiająco dobrym humorze. Poranek Bożego Narodzenia w domu jej dzieciństwa sprawia, że świat znowu wydaje się mały i bezpieczny, nawet jeśli tylko przez krótki czas.

Jak zawsze Petersonowie ubolewają, że Gwendy przesadza i rozpieszcza ich prezentami – „Prosiłiśmy, żebyś w tym roku tego nie robiła, skarbie, nie mieliśmy czasu na zakupy!” – ale widzi, że są zaskoczeni i ucieszeni jej wyborem. Tato, wciąż w szlafroku i piżamie, siedzi w fotelu z podnóżkiem i czyta instrukcję do nowiutkiego odtwarzacza DVD. Mama przymierza kurtkę i botki od L.L. Beana przed dużym lustrem w przedpokoju. Stos puzzli, koszule i swetry, nagrywarka TV, żeby mama mogła zapisywać cyfrowo ulubione programy, męska kurtka zimowa od L.L. Beana oraz karty podarunkowe z prenumeratą „National Geographic” i „People” leżą pod choinką, obok nierozpakowanych prezentów dla Ryana.

Gwendy jest równie zadowolona z prezentów, które sama dostała, zwłaszcza ze wspaniałego oprawnego w skórę notatnika, który matka znalazła w małym sklepiku w Bangor. Siedzi na sofie w salonie, rozkoszując się dotykiem grubego papieru pod palcami, kiedy ojciec wyciąga do niej dużą czerwoną kopertę.

– Jeszcze jeden mały prezencik, Gwennie.

– Co to jest? – pyta Gwendy, biorąc kopertę.

– Niespodzianka – odpowiada pani Peterson, podchodzi do męża i siada na poręczu jego fotela.

Gwendy otwiera kopertę i wyjmuje kartkę świąteczną z obrazkiem choinki. U stóp drzewka stoi dziewczynka z kucykami i podnosi na nie zachwycone oczy. Gwendy rozkłada kartkę, z której wyslizguje się małe białe piórko i opada, trzepocząc, na dywan.

– Czy to...? – zaczyna, szeroko otwierając oczy, a potem czyta to, co ojciec napisał na kartce...

ZAWSZE wierzyłaś  
w magię,  
kochana Gwendy, a magia  
ZAWSZE wierzyła  
w ciebie

...i nie znajduje słów, żeby dokończyć pytanie.

Podnosi wzrok na rodziców. Oboje siedzą z głupkowatymi uśmiechami na twarzach. W oczach matki wzbierają łzy radości.

Gwendy schyla się, podnosi piórko i patrzy na nie z niedowierzaniem.

– Ja po prostu nie... – Obraca piórko w palcach. – Jak... gdzieś ty je znalazł?

– Znalazłem je w garażu – odpowiada dumnie ojciec. – Szukałem śrubki trzy ósme cala w jednej z tych szafek, którymi tak się lubiłaś bawić w dzieciństwie, tych z mnóstwem szufladek.

Gwendy w milczeniu kiwa głową.

– Wsunąłem ostatnią szufladkę w ostatnim rzędzie i tam leżało. Sam nie mogłem uwierzyć.

– Pewnie je tam schowałaś – mówi matka. – Ile? Prawie trzydzieści lat temu?

– Nie pamiętam – mówi Gwendy. Podnosi wzrok na rodziców i tym razem to na jej twarzy gości szeroki, głupkowaty uśmiech. – Nie mogę uwierzyć, że znaleźliście moje magiczne piórko...



*KIEDY GWENDY MA DZIESIĘĆ LAT* jej rodzina spędza tydzień w stanie Nowy Jork z wizytą u jednego z ciotecznych braci pana Petersona. Jest lipiec, a brat (Gwendy już nie pamięta jego imienia ani imion jego żony i ich trojga dzieci; chyba nigdy więcej się nie spotkali, najwyżej na jakimś pogrzebie czy ślubie) ma letni dom nad jeziorem, więc nie brakuje im rozrywek. Pływanie, wycieczki kajakami, łowienie ryb, skakanie z huśtawki z opony, nawet narty wodne. W pobliżu jest też nieduże miasteczko z minigolfem i zjeżdżalnią wodną dla turystów.

Gwendy od początku lata czeka na tę wycieczkę. Zaraz po zakończeniu roku szkolnego zaczyna oszczędzać pieniądze; odkłada ćwierćdolarówki, które zarobiła, pomagając ojcu sprzątać garaż i odkurzając cały dom dla matki. Do momentu, gdy pakuje walizkę i wsiada na tylne siedzenie samochodu przed siedmiodzinną podróżą, uskładała prawie piętnaście dolarów drobnymi. Planuje zachować większość pieniędzy na dwa ostatnie dni pobytu, a potem przepuścić je na przyjemności. Słodycze, lody, komiksy, może nawet małe radjko tranzystorowe ze słuchawką, jeśli wystarczająco dużo jej zostanie.

*Ale nic z tego nie wychodzi.*

Parę minut po przyjeździe jej rodzice znikają w letnim domku na „wielkie zwiedzanie”, a Gwendy zostaje sama przy samochodzie, otoczona przez grupę miejscowych dzieciaków, włącznie z trojgiem dzieci kuzyna, które spędzają wakacje nad jeziorem. Chłopcy są nadzy do pasa, opaleni i wyglądają jak dzikusy z potarganymi włosami i oczami rozszerzonymi od nadmiaru cukru. Dziewczyny są długonogie, wyniosłe i w większości starsze.

Zdenerwowana, nie wiedząc, co powiedzieć, Gwendy w końcu otwiera walizkę i pokazuje dzieciakom plastikową torebkę pełną ćwierćdolarówek. Większość przyjmuje to obojętnie, a kilku nawet się z niej śmieje. Lecz jeden ze starszych chłopców nie śmieje się, wydaje się zainteresowany, może nawet pod wrażeniem. Czeka, aż pozostałe dzieciaki odbiegną, pohukując i pokrzykując, na tylny podwórze, a potem podchodzi do Gwendy.

– Cześć, mała – mówi, rozglądając się. – Mam coś, co może cię zainteresować.

– Co? – pyta Gwendy, jeszcze bardziej zdenerwowana, odkąd została sama z chłopcem... przystojnym, starszym chłopcem.

On sięga do tylnej kieszeni szortów z obciętych džinsów, a kiedy wyciąga rękę, trzyma w niej coś małego, białego i puszystego.

– Piórko? – pyta Gwendy, zbita z tropu.

Na twarzy starszego chłopca pojawia się niesmak.

– To nie jakieś zwykłe piórko. To magiczne piórko.

Gwendy czuje, że serce trzepocze jej w piersi.

– Magiczne?

– Właśnie. Dawniej należało do indiańskiego wodza, który kiedyś tu mieszkał. Był też szamanem, bardzo potężnym.

Przełyka ślinę.

– Co ono robi?

– Robi... magiczne rzeczy – wyjaśnia chłopak. – No wiesz, przynosi szczęście, daje ci mądrość. Takie rzeczy.

– Czy mogę je potrzymać? – pyta Gwendy niemal bez tchu.

– Jasne, ale już mnie trochę zmęczyło opiekowanie się nim. Mam je od kilku lat. Pomożesz mi się pozbyć tego kłopotu?

– Chcesz mi je dać?

– Nie dać – poprawia ją chłopiec. – Sprzedać.

Gwendy nie traci ani chwili.

– Za ile?

Chłopiec unosi brudny palec do ust, namyśla się.

– Dziesięć dolarów to chyba uczciwa cena.

Ramiona Gwendy lekko opadają.

– Sama nie wiem... to dużo pieniędzy.

– Nie za magiczne piórko. – Chłopak zaczyna chować piórko z powrotem do kieszeni. – Nie ma sprawy, sprzedam je komuś innemu.

– Czekaj – wyrzuca z siebie Gwendy. – Nie powiedziałam „nie”.

Chłopak patrzy na nią z góry.

– Ale nie powiedziałaś „tak”.

Gwendy spogląda na plastikową torebkę pełną ćwierćdolarówek, a potem na białe piórko.

– Coś ci powiem – proponuje chłopiec. – Jesteś tu nowa, więc dam ci zniżkę. Co powiesz na dziewięć dolarów?

Gwendy czuje się tak, jakby właśnie wygrała główną nagrodę przy kole fortuny na jarmarku z okazji Czwartego Lipca w Castle Rock.

– Umowa stoi – mówi i zaczyna odliczać monety.

PÓŹNIEJ, JADĄC DO DOMU, Gwendy myśli o tym, co powiedział jej ojciec tego wieczoru:

– Wszyscy nabijaliśmy się z ciebie z powodu tego piórka, Gwen, ale ty się nie przejmowałaś. Ty wierzyłaś. To się liczyło wtedy i liczy się teraz: zawsze wierzyłaś. Twoje cudowne serce kilka razy zaprowadziło cię w nieoczekiwanym kierunku, ale twoja wiara... w siebie, w innych, w świat dookoła ciebie... zawsze była ci przewodnikiem. Takie właśnie znaczenie ma twoje magiczne piórko.

NIESTETY, DOBRY NASTRÓJ GWENDY nie trwa długo, nawet po niespodziewanym odnalezieniu dawno zgubionego magicznego piórka. O dziewiątej tkwi przed telewizorem, okropnie tęskniąc za mężem. Tępy ból zakradł się do jej serca i żadne medytacje czy zmuszanie się do pozytywnego myślenia nie mogą go złagodzić. Wpatruje się w komórkę leżącą obok na sofie i pragnie, żeby zadzwoniła, ale telefon milczy.

Pudełko z guzikami spoczywa na stoliku obok książki Grishama, małego białego piórka i filiżanki gorącej herbaty. Normalnie Gwendy martwiłaby się, że rozleje napój i zachłapie pudełko. Dzisiaj ma to gdzieś.

Po powrocie do mieszkania zadzwoniła do szeryfa Ridgewicka, żeby mu życzyć wesołych świąt i zapytać o Caroline Hoffman. Odebrał po pierwszym dzwonku i zapewnił, że pani Hoffman nic nie jest. Kilka szwów i wstrząśnienie mózgu – i potężny kac. W szpitalu zatrzymano ją na noc i po południu wypisano. Mąż czekał, żeby odwieźć ją do domu.

Rozmowa telefoniczna zapoczątkowała zmianę nastroju. Gwendy wciąż widziała ciemne, paskudne rozcięcie na czole kobiety i szkliste, podniecone spojrzenia zebranych wokół niej gości – a potem, kiedy wpadła jej w ręce wyświechtana talia kart, którą zostawił Ryan, spirala depresji rozkręciła się na dobre.

Na ich drugiej oficjalnej randce, wiele lat temu w Portlandzie, Ryan wyznał, że zawsze chciał być magikiem. Gwendy była oczarowana i namówiła go, żeby pokazał jej magiczną sztuczkę. Po kolacji i licznych namowach z jej strony zatrzymali się przy sklepie i kupili talię kart. Potem usiedli na ławce w parku i Ryan zademonstrował trzy albo cztery magiczne sztuczki, każdą bardziej skomplikowaną od poprzedniej. Gwendy była pod wrażeniem jego umiejętności, ale chodziło o znacznie więcej. O coś głębszego. Ten dziecięcy zachwyt stanowił cząstkę Ryana, o której nie miała pojęcia, kiedy byli tylko przyjaciółmi, cząstkę jego prawdziwej osobowości. Wtedy po raz pierwszy pomyślała: Mogłabym się zakochać w tym faciecie.

Dwadzieścia minut wcześniej, kiedy Gwendy schyliła się po zakładkę do książki i odkryła starą talię kart, leżącą wśród kłębków kurzu pod narożnikiem sofy, w pierwszej chwili poczuła spokojną wdzięczność: *Hej, cieszę się, że was znalazłam, Ryan będzie was szukał, kiedy wróci do domu.*

A potem te cztery słowa eksplodowały w jej głowie: **KIEDY WRÓCI DO DOMU!**

O mój Boże, zapomniał tych cholernych kart, pomyślała i żołądek podjechał jej do gardła. Nigdzie się bez nich nie ruszał. Mówi, że to jego amulet szczęścia. Mówi, że przypominają mu o domu i z nimi jest bezpieczny.

Gwendy bierze książkę ze stolika do kawy, po czym natychmiast odkłada ją z powrotem. Nie może się skupić. Patrzy na ekran telewizora, huśtając nogą w nerwowym napięciu.

– Jeśli nie zadzwoni, przynajmniej niech coś będzie w wiadomościach. Cokolwiek. Proszę.

Wie, że za często mówi do siebie, ale się tym nie przejmuje. I tak nikt jej nie słyszy.

Kieruje wzrok na pudełko z guzikami.

– Na co się gapisz?

Nachyla się do przodu i przesuwając palcem po jego zaokrąglonej drewnianej krawędzi, trzymając się z dala od guzików.



– Przez ciebie skrzywdziłam tę kobietę wczoraj wieczorem, prawda?

Wtedy coś czuje, lekką wibrację na czubku palca, i cofa dłoń. Zanim sobie uświadamia, co mówi.

– O co chodzi? Pomożesz mi sprowadzić Ryana do domu?

Jasne, myśli mętnie. *Dowiedz się z wiadomości, gdzie znajdują się oddziały rebeliantów na Timorze. Jak już namierzysz ich lokalizację, naciśnij czerwony guzik. Kiedy znikną, powstanie się skończy i Ryan wróci do domu. Proste.*

Gwendy kręci głową. Mruga. Ma wrażenie, że pokój leciutko się kołysze, jakby płynęła statkiem po wzburzonej morzu.

I hej, skoro już przy tym jesteśmy, czemu nie zrobisz czegoś z tym waszym dumnym prezydentem?

Czy ona sama to myśli, czy *śłucha* tych myśli? Nagle trudno jej odróżnić.

– Zniszczyć Koreę Północną? – pyta tępo.

Musisz zachować ostrożność. Zrobisz to i ktoś na pewno obwini siły zbrojne Stanów Zjednoczonych. Powiedzmy, ktoś taki jak Chiny, które zechcą wziąć odwet, prawda?

– Więc co proponujesz? – Jej głos dochodzi jakby z daleka.

*Ja nic nie proponuję, droga kobieto, tylko dostarczam pożywki dla myśli. Ale co by było, gdyby ten wasz prezydent nagle wziął i zniknął? Całkiem niezły pomysł, hej? Tylko pomysł, wystarczy ten czerwony guzik.*

Gwendy ponownie nachyla się do przodu, patrząc przed siebie nieobecny wzrokiem.

– Morderstwo w imię pokoju?

Oczywiście, możesz to tak nazwać. Co do mnie, wolę raczej postrzegać to w kategoriach starego jak świat pytania: gdybyś mogła cofnąć się w czasie i zabić Hitlera, zrobiłabyś to?

Gwendy sięga obiema rękami po pudełko.

– Richard Hamlin ma wiele wad, ale nie jest Adolfem Hitlerem.

W każdym razie jeszcze nie.

Stawia sobie pudełko na kolanach i odchyła się na oparcie sofy.

– Kuszące, ale nie wiadomo, czy wiceprezydent byłby lepszy. Ten facet to kompletny świr.

Więc czemu nie pozbyć się ich wszystkich? Zacząć od nowa.

Gwendy wpatruje się w rzędy kolorowych guzików.

– Sama nie wiem... muszę się zastanowić.

No więc dobrze. Może łatwiej będzie zacząć od czegoś... mniej dalekosiędnego. Ta krowa Caroline Hoffman? Albo pewien źle wychowany kongresmen ze stanu Missisipi?

– Może... – Gwendy powoli wyciąga prawą rękę.

I wtedy dzwoni telefon.

GWENDY SPYCHA PUDEŁKO z guzikami z kolan na sofę. Chwyta komórkę.

– Halo? Ryan? Halo?

– Przepraszam, pani Peterson – mówi spokojny głos. – Tu Bea. Bea Whiteley.

– Bea? – pyta Gwendy w roztargnieniu. Pokój jakby znowu nabrał ostrości, chociaż ona za nic nie może sobie przypomnieć, kiedy jego kontury się rozmyły. – Czy wszystko okay?

– Wszystko w porządku. Chciałam tylko... po pierwsze, chcę przeprosić, że dzwonię tak późno w święta. Nawet nie pomyślałam o trzygodzinnej różnicy czasu, dopóki nie usłyszałam sygnału.

– Nie masz za co przepraszać, Bea. Wcale nie śpię.

– A więc Ryan nie dotarł do domu.

Gwendy znowu opiera się o poduszki sofy. Spogląda na pudełko z guzikami i szybko odwraca wzrok.

– Nie, nie dotarł. Ale mam nadzieję, że niedługo się odezwie.

– Przykro mi.

– Dziękuję. – W tle słyszy śmiechy. – Zdaje się, że twoje wnuki mają wesołe święta.

– Biegają jak stado dzikich zwierząt.

Gwendy się śmieje.

– Pani Peterson, zadzwoniłam, żeby pani podziękować.

– Za co?

– Za piękne dedykacje dla moich dzieci, które napisała pani w książkach. Jeszcze nikt nigdy nie powiedział o mnie takich rzeczy, chyba że najbliższa rodzina. Chciałam tylko pani przekazać, ile to dla mnie znaczy.

– To była dla mnie przyjemność, Bea. Każde słowo jest prawdą.

– Zupełnie się tego nie spodziewałam – mówi Bea, pociągając nosem. – Przysięgam, że nigdy nie widziałam, żeby moja córka patrzyła na mnie tak jak dzisiaj. Jakby była ze mnie taka dumna.

– Ma wszelkie prawo być dumna – mówi Gwendy z uśmiechem. – Jej matka jest wspaniałą kobietą.

– No, jeszcze raz pani dziękuję. I... – Bea Whiteley waha się.

– Chciałaś mi coś jeszcze powiedzieć?

Kiedy Bea znowu się odzywa, jej głos brzmi dziwnie niepewnie.

– Tak sobie pomyślałam... czy poza tym wszystko w porządku, pani Peterson?

– Wszystko gra – zapewnia Gwendy, prostuje się i znowu zerka na pudełko z guzikami. – Dlaczego pytasz?

– Trochę mi głupio to mówić, ale... zanim zadzwoniłam, nie mogłam się pozbyć uczucia, że dzieje się coś złego... że ma pani jakieś kłopoty.

Po kręgosłupie Gwendy przebiega dreszcz.

– Nie, nie, nic się nie dzieje. Siedzę i oglądam telewizję.

– Okay... to dobrze. – W głosie Bei brzmi prawdziwa ulga. – Nie będę pani już przeszkadzać. Wesołych świąt, pani Peterson, i jeszcze raz dziękuję.

– Wesołych świąt, Bea. Do zobaczenia za parę tygodni.

NASTĘPNEGO DNIA GWENDY budzi się wcześniej, jakby z lekkim kacem, chociaż poprzedniego wieczoru nawet nie tknęła alkoholu. Wypija duszkiem butelkę wody, po czym robi sto przysiadów i pięćdziesiąt pompek na podłodze sypialni w nadziei, że poprawi krążenie i pozbędzie się bólu głowy. Spała niespokojnie, nie pamięta snów, które czyhają tuż pod powierzchnią świadomości – ale nawet bez szczegółów wyczuwa, że były nieprzyjemne i straszne.

W nocy śnieg przestał padać i o świcie dziesięciocentymetrowa warstwa pokrywa Castle Rock oraz większość zachodniego Maine. Na Channel Five w komunikacie dla kierowców prezenter ostrzega podróżnych wracających po świętach do domu, żeby przygotowali się na korki. Gwendy dzwoni do ojca i zawiadamia, że przyjedzie odgarnąć śnieg z podjazdu i chodnika, i nie przyjmuje odmowy. Ku jej zdziwieniu ojciec zgadza się bez dyskusji i obiecuje, że będzie na nią czekać gorąca kawa oraz resztką wczorajszej zapiekanki z kiełbasą i jajkami.

Gwendy ubiera się ciepło, sznuruje botki i wychodzi na parking, żeby odśnieżyć samochód. Kiedy skończyła skrobać szyby i zmiatać śnieg z dachu, wsiada do subaru i natychmiast przykręca ogrzewanie. Już się spociła.

Zjeżdżając ze wzgórza, widzi grupę dzieci rzucających się śnieżkami w parku Castle View. Nawet przez nieopuszczone szyby słyszy ich podniecone okrzyki i radosne piski. Uśmiecha się i próbuje sobie przypomnieć, ile czasu minęło, odkąd rzuciła w kogoś śnieżką. Zbyt wiele.

Po dziesięciu minutach skręca w Carbine Street i dostrzega w oddali migające czerwono-żółte światła karetki pogotowia. W pierwszej chwili martwi się o panią Goff, która miewa zawroty głowy i raz już upadła. Zeszłej wiosny spędziła dwa tygodnie w szpitalu ze złamanym biodrem. Podjeżdżając bliżej, Gwendy uświadamia sobie, że karetka zaparkowała na podjeździe jej rodziców i właśnie ładują do niej kogoś na noszach. Przydeptuje hamulec i z poślizgiem zatrzymuje się przy krawężniku.

Jej ojciec chwiejnie wychodzi przez frontowe drzwi domu, niosąc w jednej ręce torebkę żony, a w drugiej kurtkę. Twarz ma bladą i ściągniętą.

– Tato! – krzyczy Gwendy, wyskakując z samochodu i podbiega do niego po ośnieżonym chodniku. – Co się stało? Coś z mamą?

Oboje odwracają się i patrzą, jak karetka odjeżdża i znika w głębi ulicy.

– Nie wiem – odpowiada słabym głosem ojciec. – Zaczęła mieć skurcze krótko po twoim telefonie. Na początku myślała, że to dlatego, że wczoraj wieczorem za dużo zjadła, ale potem ból się nasilił. Leżała zwinięta w kłębek na łóżku i płakała. Chciałem już do ciebie dzwonić, kiedy zaczęła wymiotować krwią. Wtedy wezwałem pogotowie. Nie wiedziałem, co innego mogę zrobić.

Gwendy bierze ojca pod rękę.

– Dobrze zrobiłeś. Zabierają ją do szpitala hrabstwa?

Ojciec kiwa głową, oczy ma wielkie i gotowe napełnić się łzami.

– Chodź – mówi Gwendy i prowadzi go do krawężnika. – Zawiozę cię.

O DZIESIĄTEJ RANO TYLKO garstka ludzi siedzi na jaskrawopomarańczowych plastikowych krzesłach przed oddziałem ratunkowym. Łysy starszy mężczyzna z obolałą szyją po porannej drobnej stłuczce, nastolatek z głęboko rozciętą wargą i drugi z opuchniętym, podbitym prawym okiem po wypadku na sankach oraz młoda azjatycka para, trzymająca na kolanach kapryszące bliźnięta o różowych buziach.

Kiedy pan Peterson widzi onkologa żony, doktora Celano, wychodzącego przez drzwi wahadłowe z napisem WSTĘP WZBRONIONY, natychmiast zrywa się na nogi i dopada go w połowie poczekalni. Gwendy pospiesznie do nich dołącza.

– Jak ona się czuje, panie doktorze? – pyta pan Peterson.

– Podaliśmy jej leki przeciwbólowe, więc teraz odpoczywa. Nie wymiotowała więcej.

– Czy pan wie, co się stało? – pyta Gwendy.

– Niestety, markery nowotworowe znowu się pojawiły – odpowiada lekarz z poważnym wyrazem twarzy.

– O Jezu... – Pan Peterson opiera się bezwładnie na ramieniu córki.

– Wiem, że to trudne, panie Peterson, ale proszę jeszcze nie wpadać w panikę. Rano dostaliśmy wyniki jej badań krwi ze środy. Otworzyłem je na komputerze, kiedy się dowiedziałem, że wezwano pogotowie, i wykazują niepokojący wzrost...

– Niepokojący wzrost – powtarza pan Peterson. – Co to znaczy?

– To znaczy, że prawdopodobnie rak powrócił. W jakim stopniu, jeszcze nie wiemy. Zatrzymamy ją dzisiaj w szpitalu i przeprowadzimy serię badań.

– Jakich badań? – pyta Gwendy.

– Pobraliśmy więcej krwi. Kiedy umieścimy ją na sali, zrobimy tomografię brzucha i klatki piersiowej.

– Dzisiaj wieczorem? – pyta pan Peterson.

Lekarz kręci głową.

– Nie, nie w niedzielę. Pozwolimy jej odpocząć i rano zawieziemy ją na diagnostykę.

Pan Peterson spogląda ponad ramieniem lekarza na drzwi wahadłowe.

– Czy możemy ją zobaczyć?

– Niedługo – zapewnia doktor Celano. – Zaraz zawiozą ją na pierwsze piętro. Jak już będzie w swoim pokoju, wrócę tu i sam was zaprowadzę.

– Czy ona już wie? – pyta Gwendy.

Lekarz kiwa głową.

– Prosiła mnie, żebym był z nią szczerzy. Dokładnie powiedziała: „Niech mi pan nie wciska kitu. Niech pan wali prosto z mostu”.

Pan Peterson kręci głową, oczy ma pełne łez.

– Cała ona, moja dziewczyna.

– Pana dziewczyna jest bardzo dzielna – mówi doktor Celano. – Więc niech pan się postara być silny dla niej. Będzie pana potrzebować. Was obojga.

GWENDY OTWIERA DRZWI DOMU, w którym dorastała, jedyne prawdziwego domu, w którym kiedykolwiek mieszkała – z garażem, podjazdem i podwórzem – i wchodzi do środka. Jest ciemno i cicho. Natychmiast zapala górne światło w przedpokoju. Kluczyki od samochodu ojca leżą na drewnianej podłodze, upuszczone w panice i niezauważone. Podnosi je i odkłada na stolik. Wchodzi do salonu i zapala lampy po obu stronach sofy. Tak lepiej, uznaje. Wszystko wydaje się w porządku. Na pierwszy rzut oka trudno odgadnąć, że rano panował tu chaos.

Idzie na górę, przesuwając ręką po poręczy z wypolerowanego drewna, na której wiszą cztery puste czerwone skarpety. W połowie wyłożonego chodnikiem korytarza zagląda do sypialni rodziców i wtedy wszelkie pozory normalności w domu roztrzaskują się na milion ostrych odłamków. Prześcieradła i koce z łóżka zepchnięto byle jak na podłogę. Na jednej z poduszek i sporej części białego materaca widnieją ciemne rozbryzgi krwi i kęsy na wpół strawionego posiłku. Zmięta piżama ojca leży przy drzwiach małej garderoby. W całym pokoju czuć kwaśny smród, jakby zepsutego jedzenia zostawionego zbyt długo na słońcu.

Gwendy stoi w drzwiach i ogarnia to wszystko wzrokiem, a potem bierze się do roboty. Porządkuje łóżko, ściąga prześcieradła, koce i powłoczki z poduszek, zwiija je w tłumok razem z porzuconą piżamą ojca, wstrzymując oddech, zbiega do piwnicy i wrzuca to wszystko do pralki. Wraca na górę i spryskuje sypialnię odświeżaczem powietrza, który znalazła w łazience. Potem wyjmuje czyste prześcieradła i powłoczki z górnej półki w szafie i ścieli łóżko.

Cofa się i ocenia efekty, i wtedy przypomina sobie, po co w ogóle przyszła do domu. Znajduje niewielką torbę podrózną i pakuje ubranie na zmianę dla ojca, czystą koszulę nocną dla matki i kilka par skarpetek. Nie wie, po co dokłada dodatkowe skarpetki, ale myśli, że lepiej dmuchać na zimne. Następnie idzie do łazienki i zabiera przybory toaletowe. Wkłada je do torby, zasuwa szczelnie zamek i wychodzi na korytarz.

Coś – przecucie, wspomnienie, sama nie wie – każe jej przystanąć przed drzwiami do jej dawnego pokoju. Zagląda do środka. Chociaż dawno przerobiono go na połączenie pokoju gościnnego i pokoju do szycia, Gwendy wciąż z krystaliczną jasnością potrafi odtworzyć królestwo swojego dzieciństwa. Pod tą ścianą stała jej ukochana toaletka, pod oknem biurko, gdzie napisała pierwsze opowiadania. Tutaj regał na książki obok kosza na śmieci z rodziną Partridge'ów\*, tam przy ścianie łóżko, a nad nim ulubiony plakat z Billym Joelem. Wsuwa głowę do środka i spogląda na wysoką, wąską szafę, gdzie matka trzyma teraz przybory do szycia i kawałki materiałów. W tej samej szafie przed laty Gwendy chowała pudełko z guzikami. W tej samej szafie pierwszy chłopiec, którego kochała, zginął na jej oczach gwałtowną śmiercią, kiedy ten potwór Frankie Stone rozbił mu głowę na krwawą miazgę.

Tym przeklętym pudełkiem.

– Czego ode mnie chcesz? – pyta Gwendy nagle szorstkim, napiętym głosem. Wchodzi głębiej do pokoju, powoli obraca się dookoła. – Zrobiłam, czego żądałeś, chociaż byłam tylko dzieckiem, do cholery! Więc dlaczego wróciłeś?! – Teraz już krzyczy, twarz ma wykrzywioną gniewem. – Dlaczego się nie pokażesz i nie skończysz z tymi gierkami?!

Dom odpowiada milczeniem.

– Dlaczego ja? – szepcze Gwendy do pustego pokoju.

---

\* *The Partridge Family* – popularny amerykański muzyczny serial komediowy, nadawany w latach 1970–1974.

PONIEDZIAŁEK TO ZAWSZE PRACOWITY dzień w Szpitalu Ogólnym Hrabstwa Castle, a dwudziesty siódmy grudnia nie jest wyjątkiem. Po świątecznym weekendzie brakuje prawie jednej dziesiątej pielęgniarek i sanitariuszy, a trzy salowe wzięły zwolnienie z powodu grypy – ale życie toczy się dalej.

Gwendy siedzi przy łóżku w sali 233 i patrzy, jak klatka piersiowa chorej miarowo unosi się i opada. Matka śpi spokojnie już prawie od pół godziny i tylko dlatego Gwendy jest z nią sama w pokoju. Dwadzieścia minut wcześniej wreszcie zdołała wygonić ojca na dół do kafeterii, żeby zjadł śniadanie. Nie odszedł od żony ani na krok, odkąd go do niej wpuszczono poprzedniego popołudnia, i teraz też się wahał, ale w końcu uległ córce.

Na kolanach Gwendy leży nieotwarta powieść Johna Grishama, stronę zaznacza kupon na batoniki muesli. Gwendy słucha przerywanego popiskiwania aparatury, obserwuje nieustanne kapanie soli fizjologicznej w kroplówce i wspomina dziesiątki innych sal szpitalnych podobnych do tej. Klitkę bez okien na drugim piętrze Szpitala Miłosierdzia, gdzie jej drogi przyjaciel Johnathon wydał ostatnie tchnienie, mnóstwo fotografii i ręcznie wypisanych kartek z życzeniami zdrowia przyczepionych do ściany nad jego głową. Tyle innych sal w tylu innych szpitalach i klinikach leczących AIDS, które niegdyś odwiedziła. Tyle dzielnych istot ludzkich, młodych i starych, mężczyzn i kobiet, zjednoczonych jednym podstawowym celem: przeżyć.

Od tamtego czasu Gwendy nienawidzi szpitali – tych zapachów, widoków, dźwięków – a jednocześnie żywi głęboki szacunek dla tych, którzy walczą tam o życie, oraz lekarzy i pielęgniarek, którzy wspierają ich w tej walce.

...umrzesz wśród przyjaciół, w ładnej koszuli nocnej z niebieskimi kwiatkami na obrąbku. Słońce będzie ci świecić w okno i zanim odejdziesz, zobaczysz stado ptaków lecących na południe. Ostatni obraz piękna świata. Będzie trochę boleć. Nie bardzo.

Powiedział jej to niegdyś Richard Farris i ona wierzy, że to prawda. Nie wie, kiedy to się stanie ani gdzie, ale nie ma to dla niej znaczenia. Już nie.

– Jeśli ktoś zasługuje na takie pożegnanie, to ty, mamó. – Spuszcza wzrok na kolana, tłumiąc szloch. – Ale jeszcze nie jestem gotowa. Nie jestem gotowa.

Pani Peterson, wciąż z zamkniętymi oczami, wciąż z miarowo unoszącą się i opadającą klatką piersiową, mówi:

– Nie martw się, Gwennie. Ja też nie jestem gotowa.

– O mój Boże! – Gwendy prawie krzyczy z zaskoczenia, książka spada jej z kolan. – Myślałam, że śpisz.

Matka uchyla powieki i uśmiecha się leniwie.

– Spałam, dopóki nie zaczęłaś gadać.

– Strasznie cię przepraszam, mamó. Ciągłe to robię, gadam do siebie jak stara zwariowana kocia mama.

– Masz alergię na koty, Gwendy – przypomina jej rzeczowo pani Peterson.

Gwendy przygląda się uważnie matce.



– No dobra, widocznie jesteś na haju od morfiny.

Pani Peterson unosi głowę i rozgląda się po pokoju.

– Naprawdę przekonałaś ojca, żeby wrócił do domu?

– Nie miałam szans. Ale zmusiłam go, żeby poszedł do kafeterii i coś zjadł.

Matka słabo kiwa głową.

– Dobra robota, skarbie. Martwię się o niego.

– Zaopiekuję się tatą – obiecuje Gwendy. – Ty skup się na tym, żeby wyzdrowieć.

– To już w rękach Boga. Jestem taka zmęczona.

– Nie możesz się poddać, mamó. Nawet nie wiemy, jak jest źle. To może być...

– Kto mówi o poddawaniu się? Nie zamierzam się poddawać, dopóki mam ciebie i twojego ojca. Nie brakuje mi powodów, żeby żyć.

– Tak, to prawda. – Gwendy kiwa głową.

– Chodzi mi tylko o to... – Pani Peterson szuka właściwych słów. – Jeśli dane mi będzie znowu pokonać to draństwo, jeśli mam w ogóle jakieś szanse, dokonam tego. Wierzę w to. Nieważne, jak ciężka walka mnie czeka. Ale... jeśli nie będzie mi dane... jeśli Bóg zdecyduje, że przyszedł mój czas, to trudno. Przeżyłam cudowne życie i zaznałam więcej szczęścia, niż powinno przypadać na jedną osobę. Jak mogłabym się skarżyć? W każdym razie tylko to chciałam powiedzieć... że tylko wtedy mogą mnie zakopać w ziemi.

– Mamó!

– Co? Przecież wiesz, że nie chcę być skremowana.

– Jesteś niemożliwa – rzuca Gwendy i zdejmuje plecak z okiennego parapetu. – Przyniosłam ci trochę tych soczków owocowych, które tak lubisz, i małą przekąskę. I mam dla ciebie niespodziankę.

– Och, świetnie, lubię niespodzianki.

Gwendy rozpina plecak.

– Najpierw zjedz i wypij, potem niespodzianka.

– Kiedy zrobiłaś się taka despotyczna?

– Uczyłam się od najlepszych – ripostuje Gwendy i pokazuje język.

– Skoro mowa o niespodziankach... i nie wiem, dlaczego obudziłam się, myśląc akurat o tym... ale czy pamiętasz ten rok, kiedy próbowałyśmy zrobić ojcu niespodziankę na urodziny? – Matka podsuwa się wyżej na łóżku, oczy ma teraz szeroko otwarte i przytomne, bierze łyk soku z kartonika.

– Kiedy udekorowałyśmy garaż balonikami i serpentynami? – mówi Gwendy.

Pani Peterson wymierza w nią palec.

– Właśnie wtedy. Przez całe popołudnie był na rybach. Upchnęliśmy wszystkich w środku i plan był taki, żeby otworzyć bramę pilotem, jak tylko twój ojciec wjedzie na podjazd.

Gwendy zaczyna chichotać.

– Tylko nie wiedzieliśmy, że spadł z kłody i wylądował w błocie, kiedy wracał do furgonetki.

Pani Peterson kiwa głową.

– Zabrałyśmy mu z furgonetki pilota do bramy garażu, więc nie miał wyboru, musiał wysiąść – wspomina i chichocze razem z córką.

– Wszyscy chowaliśmy się w ciemności i kiedy usłyszeliśmy, że furgonetka podejźda i drzwi otwierają się i zamykają...

– Nacisnęłam guzik, brama podjechała do góry, a tam stoi twój ojciec... – Pani Peterson śmieje się i nie może przestać.

– Z wędką w jednej ręce i pudełkiem na przynętę w drugiej – podejmuje Gwendy. – I od pasa w dół jest goły jak święty turecki, a te jego chude, blade nogi są oblepione błotem. – Odrzuca głowę do tyłu i wybucha śmiechem.

Pani Peterson przyciska rękę do serca i usiłuje coś powiedzieć.

– Zakrywam oczy jedną ręką, a drugą macham do twójego ojca, żeby wsiadł z powrotem do furgonetki. Oglądam się i widzę minę biednej Blanche Goff... – Parska chichotem. – Myślałam, że dostanie zawału na tym swoim krześle ogrodowym.

Obie trzymają się za boki i wyją ze śmiechu – i żadna nie może już wykrztusić ani słowa.

KIEDY PAN PETERSON WYCHODZI z windy i słyszy gromki śmiech dobiegający z głębi korytarza, oczy mu się zwięzają z irytacji. Ktokolwiek tak hałasuje, lepiej, żeby nie obudził mojej żony, bo inaczej dostanie za swoje.

Dopiero gdy skręca za róg obok dyżurki pielęgniarek i widzi szeroko otwarte drzwi sali 233, a przed wejściem grupkę uśmiechniętych pielęgniarek, uświadamia sobie, że tak hałasują jego żona i córka.

– Co tu się dzieje? – pyta zdumiony, wchodząc do środka.

Pani Peterson i Gwendy spoglądają na niego – i znowu wybuchają niepowstrzymanym śmiechem.

DWADZIEŚCIA MINUT PÓŹNIEJ do drzwi puka sanitariusz. To wielki facet z ciepłym uśmiechem i gęstwiną dredów upchniętą pod pękającą w szwach siatką na włosy.

– Przepraszam, że przerywam imprezę, ludziska, ale mam zabrać panią Peterson na diagnostykę.

– Winston! – wykrzykuje matka Gwendy i twarz jej się rozjaśnia. – Myślałam, że skończyłeś zmianę.

– Nie, proszę pani. – Winston kręci głową. – Nie, dopóki nie skończę zajmować się moją ulubioną pacjentką.

– Dziękuję ci, Winston – mówi wyraźnie wzruszona pani Peterson.

– Będę tu, kiedy wrócisz – obiecuje pan Peterson, ściskając jej rękę.

Żona podnosi na niego swoje piękne błękitne oczy i leciutko odwzajemnia uścisk.

– Jestem gotowa – mówi do sanitariusza.

– Ja też tu będę – zapewnia Gwendy, ze wszystkich sił powstrzymując łzy.

– Wiem. – Pani Peterson wyjmuje spod koca drugą rękę, w której trzyma małe białe piórko. Jej dłoń jest bardzo chuda i wątła. – Jeszcze raz dziękuję za pożyczenie, skarbie. Będę na nie uważać.

Gwendy uśmiecha się, ale nie ryzykuje odpowiedzi.

PO POWROCIE DO DOMU Gwendy wkłada pudełko z guzikami do sejfów i zamyka ciężkie drzwiczki. Słyszy wyraźny *klik* zatraskiwanego zamka. Potem przekręca tarczę, raz, dwa, trzy razy. Na koniec mocno szarpie za uchwyt, żeby się upewnić. Dochodzi prawie do sypialni, kiedy rozlega się dzwonek do drzwi.

Gwendy zamiera w holu i wstrzymuje oddech, życząc sobie, żeby ten ktoś odszedł.

Dzwonek odzywa się ponownie. Dwa razy.

Gwendy, wciąż w tym samym ubraniu, w którym była wcześniej w szpitalu, wyjmuje komórkę z kieszeni swetra. Wstukuje 911 i jej palec zawisa nad przyciskiem z zieloną słuchawką. Skrada się korytarzem, bezgłośnie wślizguje się do holu i wygląda przez judasza.

Dzwonek brzęczy po raz trzeci – i Gwendy ledwo tłumi krzyk.

Robi krok do tyłu, odsuwa rygiel i szeroko otwiera drzwi.

– Jezu, Norris. Mogłeś zadzwonić, zanim...

– Następną dziewczynka zaginęła. Niedaleko stąd.

– Co? Kiedy?

– Zgłoszenie odebraliśmy przed godziną. – Szeryf Ridgewick sięga do radia przy pasie i podkręca głośność. – Ojciec dziewczynki powiedział, że jeździła z koleżankami na łyżwach po stawie. Starsze dzieci rozpały ognisko i zebrało się jakieś dwadzieścia pięć, trzydzieści osób. Matka miała jej pilnować, ale zagadała się z sąsiadką i wiesz, jak to jest. Nikt nie zauważył, że dziewczynka zniknęła, dopóki nie przysłała pora wracać.

– Twoi ludzie sprawdzili lód? – pyta Gwendy i wie, że to głupie pytanie, zanim jeszcze wybrzmiało.

– Sprawdziliśmy – odpowiada szeryf. – Ale staw jest zamrznięty co najmniej od sześciu tygodni. Wykluczone, żeby wpadła.

– I co teraz? Przeszukacie teren... i co dalej?

– Moi ludzie przeczesują okoliczne lasy i boczne uliczki. Postawiliśmy również blokady drogowe w kilku miejscach, ale jeśli ktoś ją wepchnął do bagażnika i od razu odjechał, są już daleko. Inni pukają do drzwi na całej View Drive i pytają mieszkańców, czy w ostatnich dniach widzieli coś podejrzanego.

Gwendy pochmurnieje.

– Lepiej wejdź, szeryfie. – Cofa się o krok, żeby go wpuścić. – Mam ci coś do powiedzenia i raczej ci się to nie spodoba.

BLOND REPORTERKA Z CHANNEL FIVE trzyma mikrofon przed twarzą szeryfa Ridgewicka. Ma na sobie puszystą jasnoniebieską czapkę zimową, pasującą kolorem do kurtki, a jej makijaż jest nieskazitelnym pomimo ostrego wiatru i mrozu. Szeryf jest zmęczony, oczy mu łzawią, policzki ma zaczerwienione i wygląda żałośnie.

„...obecnie w trakcie poszukiwań Deborah Parker, zamieszkałej na View Drive tysiąc dziewięćset. Panna Parker ma czternaście lat i jest uczennicą pierwszej klasy w liceum Castle Rock”.

W prawym górnym rogu telewizora pokazuje się kolorowe zdjęcie uśmiechniętej nastolatki z metalowymi klamerkami na zębach i kędzierzawymi ciemnobrązowymi włosami.

„Ma sto pięćdziesiąt siedem centymetrów wzrostu, waży czterdzieści osiem kilogramów, ma brązowe oczy i włosy. Ostatnio widziano ją tego wieczoru, około dziewiętnastej trzydzieści, jak jeździła na łyżwach z koleżankami po stawie Fortier. Ktokolwiek posiada informacje o miejscu pobytu Deborah Parker albo zauważył coś niezwykłego w okolicach Castle View, proszony jest o kontakt z biurem szeryfa w Castle Rock...”

GWENDY JESZCZE NIGDY NIE WIDZIAŁA tego mężczyzny, który stoi przed biurem szeryfa, ale na kilometr wyczuwa, że facet jest z prasy. Tym bardziej że w lewej ręce trzyma dyktafon.

– Kongresmenko Peterson – zaczepia ją przy wejściu. – Jakiś komentarz na temat zaginionych dziewczynek?

– A pan to kto? – pyta Gwendy.

Mężczyzna wyciąga spod marynarki laminowany identyfikator i podsuwa jej tak daleko, jak sięga smycz.

– Ronald Blum, „Portland Press Herald”.

– Jestem tu, żeby uzyskać informacje od szeryfa Ridgewicka. Wszelkie oficjalne oświadczenia pozostawiam jemu.

Gwendy odchodzi.

– Czy to prawda, że ostatnio w Castle Rock miały miejsce inne, nieudane, próby porwania młodych dziewcząt?

Gwendy otwiera drzwi i pozwala, żeby zamknęły się przed nosem reportera. Mężczyzna wykrzykuje coś jeszcze, ale grube szkło tłumi jego słowa.

W biurze szeryfa panuje gorączkowa atmosfera. Kilku funkcjonariuszy siedzi przy biurkach, rozmawia przez telefony i robi notatki. Inni zebrali się przed tablicą ogłoszeniową i oglądają dużą mapę Castle Rock. Do automatu z kawą ustawiła się kolejka, druga stoi przed kserokopiarką. Gwendy dostrzega Sheilę Brigham w jej boksie i rusza w tamtą stronę.

Weteranka dyspozytorka rozmawia z kimś przez zestaw ze słuchawkami i sądząc po jej zirytowanej minie, tkwi na linii od dłuższego czasu. Widzi podchodzącą Gwendy i zakrywa ręką mikrofon.

– Idź na zaplecze. Mamy dzisiaj kompletny pierdolnik.

Gwendy dziękuje gestem ręki i wchodzi w wąski korytarz. Tym razem drzwi do gabinetu szeryfa Ridgewicka są zamknięte. Puka trzy razy na szczęście.

– Wejść – słyszy stłumiony głos.

Otwiera drzwi i wchodzi do środka. Szeryf stoi przy oknie i wygląda na zewnątrz.

– Ten reporter dopadł cię pod drzwiami?

Gwendy kiwa głową.

– Niewiele miałam do powiedzenia.

– Doceniam to – mówi Ridgewick i odwraca się do niej.

– Pytał, czy ostatnio były jakieś inne próby porwania w Castle Rock. O mało nie zemdlałam, ale chyba nie zauważył.

– Tylko zarzuca wędkę – zapewnia szeryf, opierając się o biurko.

– Pewnie tak, ale zdenerwowało mnie to w świetle tego, co ci powiedziałam wczoraj wieczorem.

– Nic o tym nie wie. Nikt nie wie. Jeszcze.

– Powiesz dzisiaj ludziom?

Ridgewick kiwa głową.

– Policja stanowa przyśle później dodatkowych detektywów. Tworzymy grupę do zadań specjalnych, więc przekażę informacje od ciebie podczas odprawy wstępnej.

– Daj mi znać, gdybyś mnie tam potrzebował, żebym osobiście poniosła konsekwencje.

– To nie będzie konieczne – odpowiada szeryf niemal niedbałym tonem. – Powiem, że myślałaś, że to głupi dowcip, i dopiero później skojarzyłaś to z zaginięciami. Wtedy sobie przypomniałaś, że facet chyba nosił kominiarkę. Więc dziś rano mi o wszystkim opowiedziałaś. Nie widziałaś pojazdu i nie możesz podać rysopisu tego mężczyzny, tyle że był ciemno ubrany i miał buty na twardych podszwach.

Gwendy patrzy na niego z wdzięcznością.

– Dziękuję, Norris.

– Nie ma o czym mówić. – Odprawia ją machnięciem ręki. – Cały cholerny świat nie musi wiedzieć, jaka jesteś tupa.

Gwendy się śmieje.

– Teraz mówisz jak moja matka.



KIEDY GWENDY WCHODZI DO SALI 233 na drugim piętrze Szpitala Ogólnego Hrabstwa Castle i widzi łzy spływające po twarzach rodziców, serce jej zamiera.

Matka siedzi na krawędzi szpitalnego łóżka, z gołymi nogami zwieszonymi nad podłogą. Trzyma męża za ręce i opiera głowę na jego ramieniu. Wygląda prawie jak młoda dziewczyna. Doktor Celano stoi u stóp łóżka, czytając z karty pacjenta. Kiedy słyszy otwierane drzwi, ogląda się na Gwendy z szerokim, jaśniejącym uśmiechem.

– Przepraszam za spóźnienie – mówi zmieszana Gwendy. – Spotkanie się przedłużyło.

Ojciec podnosi na nią wzrok. Oczy ma załzawione i rozbiegane, i również uśmiecha się szeroko.

– Co się dzieje? – pyta Gwendy, czując się tak, jakby właśnie weszła do Strefy Mroku.

– Och, skarbie, to cud – mówi jej matka, wyciągając ramiona.

Gwendy podchodzi do niej i obejmuje ją.

– Co jest? Co się dzieje?

Matka tylko ściska ją mocniej.

Pan Peterson kiwa głową do lekarza.

– Niech pan jej powie to, co nam pan powiedział.

Doktor Celano unosi brwi.

– Wszystkie skany z tomografii wyszły czyste. Nigdzie ani śladu raka.

– Co?! To wspaniała nowina, prawda? – pyta Gwendy, bojąc się fałszywych nadziei.

– Tak uważam.

– Ale co z wynikami krwi?

Lekarz macha do niej kartą pacjenta.

– Badanie, które zrobiliśmy wczoraj rano, również wyszło dobrze. Wyniki pani matki mieszczą się z grubsza w normie.

– Jak to możliwe? – pyta Gwendy z niedowierzaniem.

– Też się zastanawiałem – przyznaje doktor Celano. – Więc natychmiast zleciłem dodatkowe badanie krwi i kazałem, żeby w laboratorium zrobili to ekspresowo.

– Byłam ciekawa, co się dzieje – mówi ze śmiechem pani Peterson. – Przed śniadaniem pobrali jeszcze trzy próbki i powiedziałam pielęgniarce, że zmienia się w wampira.

– Wyniki były w normie. Znowu. – Lekarz zamyka kartę i wkłada pod pachę.

Gwendy gapi się na niego.

– Czy to może być błąd?

– Popelniono błąd, ale nie dzisiaj ani nie wczoraj. Jestem pewien, że te wyniki są poprawne. – Lekarz wzdycha ciężko i uśmiech znika z jego twarzy. – Co powiedziawszy, chcę państwa zapewnić, że dojdę do tego, co zrobiono źle przy pierwszym badaniu krwi pani Peterson, z dwudziestego drugiego grudnia. To był karygodny błąd i dowiem się, gdzie go popelniono.

– Ale co z bólem brzucha? Z wymiotami?

– To rzeczywiście trochę zagadkowe – przyznaje lekarz. – Moim zdaniem najprawdopodobniej zjadła coś, co jej zaszkodziło, a gwałtowne wymioty naruszyły tkankę bliznowatą pozostałą po

chemioterapii. To już się zdarzało moim pacjentom.

– Więc co... co to wszystko znaczy? – pyta Gwendy.

– To znaczy, że mama nie jest chora! – woła ojciec, chwytając córkę za ramiona i potrząsa nią. – To znaczy, że możemy zabrać ją do domu!

– Dzisiaj? – pyta Gwendy, patrząc na lekarza. Wciąż nie może w to uwierzyć. – Zaraz?

– Jak tylko przygotujemy wypis.

Gwendy przez chwilę wpatruje się w doktora Celano, a potem znowu spogląda na rodziców. Twarze mają rozjaśnione szczęściem.

– Zaczynam myśleć, że to twoje piórko naprawdę jest magiczne – mówi ojciec.

Wszyscy troje wybuchają śmiechem i obejmują się z całej siły.



PRZEZ NASTĘPNE DWIE DOBY prawie w całym wschodnim Maine radio i pierwsze strony gazet ostrzegają przed sztormem nadchodzącym z północnego wschodu – wciąż odległym o cztery czy pięć dni, ale nabierającym siły w zastraszającym tempie. W tej części świata rzadko wybucha panika, nawet w obliczu potężnej burzy – ale wyczuwa się podskórny lęk. Zamięć oznacza wypadki, zarówno na drogach, jak i na podwórkach. Będą odmrozenia i złamane kości, przewrócone samochody w rowach i zerwane linie wysokiego napięcia. Starsi ludzie zostaną uwięzieni w domach, nie będą mogli wyjść do sklepu spożywczego ani apteki; zabraknie jedzenia i lekarstw, choroby wślizną się podstępnie razem z przeciągami przez szpary w drzwiach i zaatakują zniecka. Młodzi poradzą sobie niewiele lepiej, ponieważ natychmiast radośnie porzucą resztki zdrowego rozsądku i wybiegną na oślep w śnieżycę, żeby budować fortece, rzucać się śnieżkami i zjeżdżać na łąb na szyję po zadrzewionych stokach na kruchych kawałkach plastiku. Jeśli mieszkańcom miasteczka się poszczęści, obejdzie się bez pogrzebów. No, ale północno-wschodnie burze zazwyczaj nie zwiastują niczego dobrego.

Tym razem w zachodniej części stanu sytuacja wygląda całkiem inaczej. Nadchodząca zamięć zostaje zdegradowana na drugie i nawet trzecie strony gazet i szczegółowo omawia się ją tylko podczas prognozy pogody w telewizyjnych wiadomościach. Trzy zaginione dziewczynki z hrabstwa Castle zajmują pierwsze miejsce w lokalnych mediach, od porannych audycji dla kierowców po wieczorne wiadomości o jedenastej. Pojawiają się wywiady z rodzinami i przyjaciółmi, szkolnymi koleżankami i kolegami, a nawet nauczycielami, i wszyscy podają lekko zmodyfikowane wersje tej samej ponurej historii: trzy dziewczynki są miłe, zdolne i nigdy nie miały żadnych kłopotów; z pewnością nie uciekły z domu. Szeryf Norris Ridgewick i detektyw z policji stanowej Frank Thome również stale występują w mediach. Wciąż wygłaszają te same poważne zapewnienia, że ich poszczególne jednostki robią wszystko, co w ludzkiej mocy, żeby odnaleźć zaginione dziewczynki, i wciąż rozpaczliwie proszą słuchaczy o informacje. Powtarzalność tych oświadczeń i brak oryginalności w sposobie ich przekazu skłaniają pewnego miejscowego reportera do napisania, że obaj mężczyźni „odgrywają ten sam banalny scenariusz”.

Chociaż nie znaleziono jeszcze ciał ani żadnych poszlak, portlandzka prasa zaczyna już szafować zwrotem „seryjny zabójca” i odgrzebała nie mniej niż trzy krótkie artykuły dotyczące Franka Dodda oraz jego kariery jako Dusiciela z Castle Rock na początku lat siedemdziesiątych.

W Castle Rock gazety nie wspominają o Straszonym Doddzie – chociaż w sklepach, barach i restauracjach ludzie wciąż szepczą; w małych miasteczkach szepty nigdy się nie kończą. W wydaniu z trzydziestego grudnia 1999 roku „The Castle Rock Call” zamieszcza na górze pierwszej strony duże fotografie wszystkich trzech dziewczynek, a pod nimi szeroki nagłówek: ŚLEDZTWO NIE DAJE WYNIKÓW – POLICJA BEZRADNA.

Gwendy Peterson rzuca jedno spojrzenie na gazetę i odkłada ją nieprzeczytaną na stół w jadalni rodziców.

– Chodźcie już, guzdrały! – krzyczy w górę schodów. – Spójnimy się!

Gwendy i jej ojciec przez ostatnie dwa dni troskliwie opiekowali się panią Peterson – przynajmniej tak by twierdzili, gdyby ich zapytano. Natomiast pani Peterson ma na ten temat zupełnie inne zdanie – bez wahania oświadczyłaby, że przez ostatnie dwa dni doprowadzali ją do szału.

Pomimo uspokajających słów lekarza – zarówno w szpitalu, jak i podczas kontrolnej rozmowy telefonicznej wczoraj po południu – pan Peterson nalega, żeby żona spędziła resztę tygodnia na sofie w salonie, odpoczywając i nabierając sił pod sterą koców.

– Odpoczywając po czym? – warczy pani Peterson. – Zjadłam coś nieświeżego i rzygałam. Wielkie rzeczy. Koniec kropka.

Przynajmniej raz Gwendy bierze stronę ojca i oboje wydeptują ścieżkę w dywanie prowadzącą tam i z powrotem do sofy, dbając o wygodę pani Peterson i dostarczając jej stosownych rozrywek. W rezultacie tych zabiegów pani Peterson traci cierpliwość. Po dwóch dniach czytania od deski do deski kolorowych magazynów, oglądania całymi godzinami telewizji, robienia na drutach i układania puzzli, aż zaczyna widzieć podwójnie, wkrótce po lunchu wreszcie wychodzi z siebie, ciska pilotem od telewizora w męża i woła:

– Przestańcie mnie niańczyć, do cholery! Czuję się dobrze!

I chyba rzeczywiście tak jest. Tylko jedna krótka drzemka poprzedniego dnia, a dzisiaj jak dotąd żadnej. Na jej twarz wróciły kolory, odzyskała normalny apetyt oraz zwykłe żywe usposobienie. A niedawno niezbyt subtelnie napomknęła (właściwie nalegała), żeby córka i mąż zabrali ją wieczorem na kolację, i to nie do byle jakiej restauracji: do jej ulubionego włoskiego bistro, Giovanni's, w sąsiednim Windham (kazała córce zrobić rezerwację na trzy osoby i spóźnią się, jeśli nie wyjdą z domu za parę minut).

Gwendy odwraca się na odgłos kroków i nie wierzy własnym oczom.

– Łał – mówi, wstając od stołu. – Wyglądasz jak milion dolarów, mamo.

– Miliard – poprawia ją uśmiechnięty ojciec, idąc po schodach za żoną.

Pani Peterson włożyła ciemnoniebieską suknię, na którą narzuciła długi szary sweter. Po raz pierwszy od miesiący umalowała usta i oczy. Złote kolczyki zwisają jej z uszu, a szyję otacza pojedynczy sznur pereł.

– Dziękuję – mówi skromnie. – Obsypujcie mnie dalej komplementami, to może wam przebaczę.

– W takim razie – jej mąż wskazuje frontowe drzwi – pani rydwan czeka.

JAZDA Z CASTLE ROCK DO WINDHAM zajmuje czterdzieści pięć minut, ale kolacja jest warta każdego przejechanego kilometra. Gwendy i pani Peterson zamawiają nadziewane krewetki à la Guiseppi, sałatę i zupę ze skorupiaków. Pan Peterson decyduje się na kurczaka cacciatore i sam jeden pożera cały bochenek włoskiego chleba, zanim podadzą mu przystawki.

– Rób tak dalej – mówi mu żona – a niedługo ciebie będziemy odwiedzać w szpitalu.

Skończywszy jeść, Petersonowie wchodzą na parkiet i powoli tańczą do kolejnych ballad wykonywanych przez sobowtóra Franka Sinatry, występującego na małej scenie obok baru. Na zakończenie ostatniej piosenki pan Peterson przechyla żonę przez zgięte kolano, po czym przyciąga ją do siebie i całuje w policzek. Wracają do stolika, chichocząc jak para zakochanych nastolatków.

– Na pewno nie chcesz się pokręcić, Gwennie? – pyta ojciec, przysuwając żonie krzesło. – Zostało mi jeszcze trochę pary w silniku.

– Jestem przejeżdżona. Chyba po prostu tu posiedzę, póki nie zasnę.

– Czy ktoś życzy sobie deser? – pyta kelnerka ponad ramieniem pani Peterson.

– Nie ja – jęczy Gwendy.

Pan Peterson klepie się po pełnym brzuchu.

– I nie ja.

– Nie, dziękuję, kochanie – mówi pani Peterson. Jej mąż prosi kelnerkę o rachunek, a ona zwraca się do córki: – Zamiast tego po powrocie do domu zjem jedną z tych twoich pysznych czekoladek.

GWENDY WBIEGA NA OSTATNIE długie wzniesienie Pleasant Road, trzymając się możliwie blisko pobocza. Pomimo wczesnej pory jest wyjątkowo ostrożna ze względu na wzmożony ruch uliczny, bo tego ranka już dwukrotnie mało brakowało, a doszłoby do wypadku. Minęły trzy długie dni, odkąd czternastoletnia Deborah Parker zniknęła ze stawu Fortier, ale w okolicy wciąż krążą samochody policji i ludzi szeryfa, ochotniczych poszukiwaczy oraz ciekawskich gapiów, w większości zamiejscowych, przyciskających nosy do przednich szyb.

Rozkład zajęć Gwendy na ten mroźny ostatni dzień dwudziestego wieku jest niezwykle prosty (o co markotnie obwinia całkowity brak normalnego życia towarzyskiego). Po bieganiu i prysznicu planuje nadrobić zaległą korespondencję e-mailową, wpaść do domu rodziców na szybką kontrolę – wieczorem Petersonowie idą po sąsiedzku do Goffów na kolację – a potem wrócić do domu na ekscytujące popołudnie z Johnem Grishamem, zanim wreszcie przyjdzie pora na sylwestrową imprezę komitetu rodzicielskiego Brigette Desjardin. Przygotowała już pięciominutowe przemówienie na tę okazję i ma nadzieję, że nie będzie musiała zostać tam dużo dłużej.

Kiedy skręca za róg i widzi swój budynek, wraca myślami do pudełka z guzikami i miniaturowych czekoladowych zwierzątek.

Jak dotąd dała matce w sumie siedem czekoladek – najpierw maleńkiego żółwia, którego przemyciła do szpitala razem z kilkoma kartonikami soku owocowego, a ostatnio uroczą małą świnkę, kiedy zeszłego wieczoru wrócili do domu z restauracji.

Zanim Gwendy pociągnęła za dzwignikę na lewym boku pudełka, wsunęła maleńkiego czekoladowego żółwia do torebki śniadaniowej i schowała do zapinanej kieszeni plecaka, żeby go zabrać do szpitala, długo biła się z myślami. Wiedziała z własnego doświadczenia, że do tych słodczy pudełko z guzikami dodawało niemałą porcję magii – ale wiedziała również, że te podarunki z reguły pociągały za sobą pewne konsekwencje. Więc co właściwie się stanie, kiedy po raz pierwszy da czekoladkę komuś innemu? Albo całą garść czekoladek? Nie знаła odpowiedzi, ale ostatecznie gotowa była zaryzykować.

Dopiero tamtego ranka w szpitalu, kiedy doktor Celano przekazał im cudowną nowinę, Gwendy wreszcie pogodziła się ze swoją decyzją. Jakżeby mogła inaczej wobec tego cudu? Ale jeśli wciąż żywiła jakieś wątpliwości – okay, może kilka pozostało – pełen gracji przechrzył pod koniec ostatniego powolnego tańca i rozmarzony wyraz twarzy matki, kiedy mąż złożył czuły pocałunek na jej policzku, rozproszyły te wątpliwości raz na zawsze. Gwendy wiedziała, że zapamięta tę chwilę i śmiech rodziców do końca życia (kiedykolwiek on nastąpi).

Wchodzi do budynku, wita się wesoło z sąsiadką z naprzeciwka i jak na skrzydłach wbiega po schodach na piętro. Otwiera zapiętą kieszeń, wyjmując klucze i komórkę. Wyciąga rękę do klamki, kiedy zauważa WIADOMOŚĆ mrugającą na telefonie.

– Nie, nie, nie – mówi, uświadamiając sobie, że zapomniała włączyć dźwięk. Naciska klawisz, żeby odsłuchać nagranie na poczcie głosowej, i przysuwa telefon do ucha.

„Hej, skarbie, nie wierzę, że się połączyłem! Próbowałem od paru dni! Tęsknię za tobą tak...”

Wiadomość urywa się w połowie zdania.

Gwendy patrzy na telefon z niedowierzaniem.

– No, dalej...

Niezdarnie naciska klawisze, żeby sprawdzić, czy nie ma innych wiadomości. Nie ma. Naciska POWTÓRZ i stoi przed drzwiami mieszkania, słuchając czterech sekund głosu Ryana. Jeszcze raz, i jeszcze raz.



GWENDY SIEDZI NA ŁÓŻKU ze skrzyżowanymi nogami, z mokrymi włosami owiniętymi ręcznikiem, i wysyła e-maila, którego właśnie skończyła pisać. Kiedy modem się rozłącza, Gwendy zamyka laptopa. Ze zmartwioną miną spuszcza nogi z łóżka i zaczyna się ubierać. Przymierza buty, kiedy dzwoni telefon.

– Halo? – Próbuje nie rozbudzać w sobie nadziei.

– Gwendy, mówi Patsy Follett. Dzwonię nie w porę?

– Patsy! – woła Gwendy, ucieszona, że słyszy głos kongresmenki. – Właśnie odpowiedziałam na twojego e-maila.

– A ja właśnie go otworzyłam i przeczytałam. Pomyślałam, że łatwiej będzie zadzwonić.

– No więc jak się czujesz? Szczęśliwego Nowego Roku!

– Nawzajem. Czułam się świetnie, dopóki dziś rano nie porozmawiałam z przyjacielem z senatu. Odtąd już nie jest tak świetnie.

– Naprawdę myślisz, że nas wcześniej wezwą? – dopytuje Gwendy.

– Tak powiedział. Jakaś nadzwyczajna sesja w związku z tym pyskatym prezydentem i Koreą. Po raz pierwszy od czasów cholernego Harry’ego Trumana.

– To znaczy, że za kulisami dzieje się więcej, niż nam mówią media.

– Najwyraźniej – rzuca Patsy z niesmakiem w głosie. – Muszę przyznać, że po raz pierwszy naprawdę się boję, że ten idiota wpakuje nas w następną wojnę.

Gwendy spogląda na drugi koniec sypialni, gdzie na komodzie stoi pudełko z guzikami. Podchodzi do niego.

– Rozłączyło nas, Gwen?

– Nie, nie, jestem. Po prostu myślę.

TEGO POPOŁUDNIA GWENDY wpada do rodziców tylko na krótko, żeby obgadać z ojcem mecz Patriotów (on uważa, że trener Pete Carroll powinien odejść po tym, jak drużyna znowu zajęła czwarte miejsce; ona sądzi, że zasłużył na jeszcze jeden rok, żeby się poprawić) i pomóc matce wybrać strój na sylwestrową kolację u Goffów.

Stoi już na frontowym ganku i grzebie w kieszeni kurtki, szukając kluczyków od samochodu, kiedy pani Peterson otwiera drzwi i ją zatrzymuje.

– Zaczekaj chwilę. Muszę z tobą o czymś porozmawiać.

Gwendy się odwraca.

– Wracaj do środka, mam, zanim się przeziębisz. Na dworze jest mróz.

– To zajmie tylko sekundę.

Złe wiadomości, myśli Gwendy, patrząc na jej minę. Wiedziała, że to za dobre, żeby było prawdziwe.

– Niestety, mam złe wiadomości.

– Och, mam. Co się stało?

– Powinnam ci powiedzieć wcześniej, ale ciągle nie miałam odwagi.

Gwendy podchodzi do niej.

– Po prostu mi powiedz, co się dzieje.

– Sprawdziłam w torebce, szukałam wszędzie, nawet dzwoniłam do szpitala... ale nigdzie nie mogę znaleźć twojego magicznego piórka.

Gwendy wytrzeszcza na nią oczy... i wybucha śmiechem.

– Co? – pyta pani Peterson. – Co cię tak bawi?

– Myślałam... myślałam, że mi powiesz, że jednak jesteś chora, że w szpitalu znowu popełnili błąd.

Matka przykłada rękę do serca.

– Dobry Boże, nie.

– Piórko się znajdzie, jeśli będzie trzeba – mówi Gwendy, otwierając drzwi. – Już raz się znalazło. A teraz wejdź do środka, niemądra kobieto.

JADĄC DO DOMU z Carbine Street, Gwendy widzi radiowóz szeryfa Ridgewicka z migającym kogutem, zaparkowany na poboczu drogi 117. Włącza kierunkowskaz i zatrzymuje się za nim.

Wysiada z samochodu i widzi, że szeryf próbuje się wygramolić z zaśnieżonego rowu, biegnącego wzdłuż drogi. Ugrzązł do bioder w zaspie i klnie, na czym świat stoi.

– Co by pomyśleli twoi wyborcy, gdyby usłyszeli, jak się wyrażasz?

Szeryf spogląda na nią z dołu, ma śnieg we włosach i sztylety w oczach.

– Pomyśleliby, że mam gówniany dzień, bo mam.

Gwendy wyciąga rękę, żeby mu pomóc.

– A w ogóle co tam robisz?

– Zdawało mi się, że coś zobaczyłem – odpowiada szeryf, chwytając jej rękę. Wyłazi z rowu i zaczyna obtupywać buty na zwirowym poboczu. – Właśnie miałem do ciebie zadzwonić.

– Co jest?

Pociera podbródek.

– Jaką godzinę temu dostarczono nam do biura kopertę bąbelkową. Bez adresu zwrotnego. Nadaną wczoraj w Auguście.

Gwendy czuje, że krew napływa jej do policzków. Wie, co będzie dalej.

– W kopercie była pomarańczowa czapka narciarska, którą Deborah Parker nosiła tamtego popołudnia, kiedy poszła na łyżwy. A do czapki wetknięte... trzy zęby, prawdopodobnie jej.

Gwendy gapi się na niego, niezdolna znaleźć słów.

– Co gorsza, właśnie rozmawiałem przez telefon z tym reporterem z „Portland Herald”. Ktoś puścił farbę. Facet wie o zębach, które znaleźliśmy w bluzie, i o przesyłce.

– Ale mówiłeś, że przyszła dopiero przed godziną.

Szeryf kiwa głową.

– Zgadza się.

– Więc jak...?

Ridgewick wzrusza ramionami.

– Pewnie ktoś potrzebował pieniędzy. W każdym razie facet pracuje nad artykułem do jutrzejszego porannego wydania i nazwał już sprawcę Wróżką Zębuszką.

– Jezu.

– Właśnie – rzuca ponuro szeryf. – Gówno zaraz wpadnie w wentylator.

KRÓTKIE PRZEMÓWIENIE GWENDY na sylwestrowej imprezie komitetu rodzicielskiego poszło dobrze i zebrało gorące oklaski publiczności, a także, jak zwykle, trochę gwizdów. Castle Rock może i było dumne z kariery swojej obywatelki, jednak wciąż sporo miejscowych uważa, że kobieta nie powinna ich reprezentować w stolicy, tym bardziej zaledwie trzydziestosiedmioletnia kobieta, która w dodatku jest demokratką – na domiar złego, jak powtarzają stare zgredy pod sklepem na rogu.

Kiedy Brigitte na początku wyjaśniła, że według planu wszyscy w miejskim ośrodku mają wyjść na skwer o jedenastej wieczorem i rozpocząć wielkie odliczanie w centrum miasteczka, obok wieży zegarowej, Gwendy uznała, że to najgorszy możliwy pomysł. Będzie ciemno i przeraźliwie zimno. Ludzie będą zmęczeni i marudni. Przewidywała, że większość po prostu wsiądzie do samochodów i wróci do ciepłych domów, żeby świętować opuszczenie kuli na Times Square razem z Dickiem Clarkiem i innymi celebrytami zaproszonymi do telewizji.

Ale teraz musiała przyznać, że całkowicie się myliła.

Ochotnicy z komitetu rodzicielskiego stworzyli na skwerze gwiazdkową krainę czarów. Zawiesili sznury migotliwych białych lampek choinkowych na krzakach i gałęziach drzew, na dachu i balustradzie nad podium dla orkiestry, i na białym płocie, oddzielającym północny skraj skweru od lasu. Na latarniach i znakach drogowych powiewały czerwone i zielone serpentyny. Przy wejściu ustawiono stoiska z kawą i gorącą czekoladą, ktoś nawet udekorował pomnik bohaterów wojennych, owijając szyję żołnierza z pierwszej wojny światowej jaskrawoczerwoną wstążką i zeszkrobując ptasie odchody z jego hełmu jak miska.

Zwracał uwagę brak plakatów CZY WIDZIAŁEŚ TĘ DZIEWCZYNĘ?, które zniknęły z latarni, słupów telefonicznych i okien nielicznych budynków wokół skweru. Przez kilka godzin, tylko na tę jedną noc, sprawa zaginionych dziewczynek odeszła na dalszy plan i ludzie skupiali się na pozytywnych aspektach życia. Następnego ranka plakaty i rozmowy oczywiście powrócą.

Za kwadrans dwunasta, kiedy Gwendy stoi w kolejce po gorącą czekoladę, na całym skwerze dosłownie wrze. Podekscytowane dzieciaki przebiegają obok niej, śmieją się i pokrzykują, rzucają się śnieżkami i ślizgają na zabłakanych spłachetkach lodu, podczas gdy ich rodzice i sąsiedzi krążą od jednej skupionej grupki do drugiej, gawędzą i plotkują, ukradkiem pociągają whiskey ze schowanych butelek i robią szumne plany na rok 2000, który ma być najlepszy w historii. Gwendy dostrzega Grace Featherstone z księgarni, rozmawiającą z Nanette z jadłodajni obok podium dla orkiestry. Brigitte bryluje przy stołach piknikowych, otoczona świętą popleczników z komitetu rodzicielskiego, niewątpliwie pilnując, żeby wszystko było przygotowane do wielkiego odliczania przed północą. Wcześniej na sali Gwendy zauważyła Hoffmanów, ale zrobiła wszystko, żeby ich uniknąć – posunęła się nawet do tego, że spędziła w toalecie dużo więcej czasu, niż to było konieczne. Na razie jej się udało – od tamtego czasu ich nie widziała.

Kolejka powoli przesuwa się do przodu i Gwendy zwraca uwagę na wysokiego mężczyznę z sumiastym wąsem, w czapce Patriotów, opierającego się o słup latarni obok fontanny. Wygląda, jakby ją obserwował, ale Gwendy nie jest pewna, czy to nie złudzenie. Wydaje jej się, że widziała go wśród publiczności podczas swojego przemówienia.

– To pani, Gwendy Peterson?

Gwendy się odwraca. Przez chwilę nie rozpoznaje stojącego za nią starszego mężczyzny, ale potem pamięć wraca jej w przeblasku.

– O, witam ponownie, panie Charlie Browne.

– Tylko Charlie, proszę.

– Jak się podoba zabawa sylwestrowa?

– Dużo bardziej mi się podobało, kiedy byliśmy w środku i nie odmrażałem sobie podrobów.

Gwendy ze śmiechem odrzuca głowę do tyłu.

– Dobrze, że nie ma wiatru, bo zmienilibyśmy się w lodowe rzeźby.

Mężczyzna odchrząkuje i rozgląda się.

– Widziała pani gdzieś mojego syna? Jak zegar wybije północ, zmywam się stąd.

– Niestety, nie widziałam. – Gwendy kręci głową.

– Tu jesteś! – woła Brigitte, nadciągając w oparach perfum. – Szukałam cię. Co ty wyprawiasz, dlaczego stoisz w kolejce? – Wściekle macha na jedną z kobiet przy stoisku. – Czy mogę natychmiast dostać gorącą czekoladę dla kongresmenki?

– Brigitte, nie – protestuje przerażona Gwendy.

Ludzie gapią się na nie, niektórzy wytykają palcami.

– Proszę bardzo – mówi ciemnowłosa kobieta, podbiegając z parującym styropianowym kubkiem.

Gwendy nie chce go przyjąć, ale nie ma wyboru.

– Dziękuję. Naprawdę nie musiałaś tego robić.

– Nonsens! – Brigitte bierze ją za ramię i odprowadza dalej. – Chcę cię mieć przy sobie o północy.

– Szczęśliwego Nowego Roku, panie Browne – rzuca Gwendy przez ramię. – Miło było znowu pana spotkać.

– Szczęśliwego Nowego Roku, kongresmenko – odpowiada staruszek z krzywym uśmiechem i Gwendy nie wie, czy to tylko jej wyobraźnia, ale ma niemal pewność, że ton jego głosu już nie jest przyjazny.

– Jeszcze trzy minuty – mówi Brigitte, patrząc na zegarek. Dostrzega męża, stojącego na drugim końcu skweru i rozmawiającego z dwoma innymi mężczyznami. – Travis! Travis! – Pokazuje na wieżę zegarową. – Chodź!

Ten posłusznie kiwa głową i rusza w tamtą stronę.

Miniaturowa wieża zegarowa stoi w samym środku skweru miejskiego. Ma sześć i pół metra wysokości i tarczę zegarową o prawie metrowej średnicy. Wzniesiono ją w okresie odbudowy miasta po Wielkim Pożarze. Napis wygrawerowany na metalowej plakietce u kamiennej podstawy wieży głosi: *Ku chwale nieugiętego ducha obywateli Castle Rock – 1992.*

Krzepka kobieta, ubrana w coś, co wygląda jak kilka warstw flanelowych koszul, wita ich spojrzeniem pełnym ulgi.

– Dzięki Bogu, już zaczęłam się martwić.

Podaje Brigitte mikrofon, od którego odchodzi długi czarny kabel do dużego głośnika, stojącego na stole piknikowym za ich plecami.

Gwendy uśmiecha się do kobiety.

– Szczęśliwego Nowego Roku.

– Szczęśliwego Nowego Roku – odpowiada tamta nieśmiało i szybko odwraca wzrok.

Travis podchodzi do nich, uśmiechnięty, pachnący płynem po goleniu i whiskey.

– Wszystko gotowe, moje panie?

– Prawie – odpowiada Brigitte.

Włącza mikrofon i z głośnika wybucha przeraźliwy pisk sprzężenia zwrotnego. Ludzie jęczą i zakrywają uszy. Kobieta we flanelowych koszulach pośpiesznie przekręca kilka gałek na obudowie głośnika. Hałas się zmniejsza i wreszcie całkiem cichnie.

– Jedna minuta do północy! – ogłasza beztrząsko Brigitte. – Jedna minuta do północy!

U stóp wieży zegarowej gromadzi się tłum. Młodzi przepychają się do przodu, większość nosi świecące w ciemnościach naszyjniki i trzyma sylwestrowe trąbki i gwizdki. Wielu dorosłych założyło błyszczące kartonowe kapelusiki z napisami Y2K!, 2000! albo SZCZĘŚLIWEGO NOWEGO ROKU!, nadrukowanymi na rondach pod zawadiackim kątem.

– Trzydzieści sekund! – krzyczy Brigitte niemal histerycznym tonem i po raz pierwszy tego wieczoru Gwendy zastanawia się, ile wypila jej przyjaciółka.

Wpatrując się w tłum, Gwendy widzi Grace, Nanette i kościelną organistkę Milly Harris, stojące ciasno jedna przy drugiej. Wszystkie wpatrują się w zegar i odliczają. Charlie Browne stoi sam z tyłu, z nogą opartą na ławce. Nosi odrapane kowbojskie buty i zielony plastikowy melonik ze sztucznym żółtym kwiatem na czubku. Szczyrzy zęby i zamasyżycie macha do Gwendy. Ona odwzajemnia ten gest z wdzięcznością, myśląc, że chyba przedtem myliła się co do niego.

Jakieś dziesięć metrów za panem Browne'em stoi wąsaty nieznanomy w czapce Patriotów i rozgląda się po tłumie. Opuścił daszek czapki tak nisko, że prawie nie widać jego twarzy.

– DZIESIĘĆ, DZIEWIĘĆ, OSIEM, SIEDEM, SZEŚĆ... – Brigitte odsuwa mikrofon od ust.

Ryk tłumu zagłusza jej wzmocniony głos.

– PIĘĆ... CZTERY... TRZY... DWA... JEDEN...

Tłum eksploduje.

– SZCZĘŚLIWEGO NOWEGO ROOKU!

Wybucha kakofonia pijackich wrzasków i pohukiwań, zawodzących trąbek i świdrujących gwizdków. W powietrze wylatują garście confetti. Ktoś po drugiej stronie skweru odpala fajerwerki. Olsniewająca fontanna białych, czerwonych i niebieskich iskier rozświetla nocne niebo i opada na zaśnieżoną ziemię. Wszędzie wokół Gwendy ludzie obejmują się i całują. Ona myśli o Rynanie, wspomina, jak jego bokobrody łaskoczą ją w podbródek, kiedy się całują, i ból rozkwita głęboko w jej piersi.

Brigitte wyplątuje się z ramion męża i odwraca się do Gwendy.

– Szczęśliwego Nowego Roku! – przekrzykuje zgiełk i mocno ją ściska. – Tak się cieszę, że tu jesteś!

– Szczęśliwego Nowego Roku! – odpowiada Gwendy, a blask fajerwerków obmywa jej twarz.

– Teraz moja kolej. – Stojący za żoną Travis rozkłada szeroko ramiona, patrząc na Gwendy. – Szczęśliwego Nowego Roku!

Gwendy nachyla się, żeby go uściskać, bokiem twarzy ociera się o zimną skórę jego policzka.

– Szczęśliwego Nowego... – zaczyna, a potem coś się zmienia.

Wszystko się zmienia.

Nagle Travis wydaje jej się bardzo przejrzysty, bardzo *jasny* i skupiony, niemal jakby rozświetlony od środka, a wszystko inne wokół niego zanika. Gwendy zauważa maleńką bliznę na jego podbródku i natychmiast *rozumie*, że pies sąsiada, Barney, ugryzł Trávisa, który miał wtedy osiem lat, ponieważ

rzucił w psa kamieniami zza ogrodzenia z siatki. To było w Bostonie, gdzie dorastał. Gwendy patrzy na jego gęste, falujące włosy i nagle *rozumie*, że mężczyzna ma romans ze swoją fryzjerką, niezamężną kobietą o imieniu Katy, która mieszka w przyczepie na peryferiach miasteczka z trzyletnim synkiem. Brigitte, kochana dawna przyjaciółka, nic o tym nie wie...

...a potem wizja Gwendy się rozmywa i Travis nagle oddala się w zawrotnym tempie, jakby wysysała go paszcza jakiegoś czarnego wiru, i wszystko inne wokół niego znowu się materializuje.

– ...się czujesz? – pyta Travis. Stoi parę metrów dalej i patrzy na nią z troską.

Gwendy mruga i rozgląda się.

– Nic mi nie jest – odpowiada. – Na chwilę trochę zakręciło mi się w głowie.

– Chryste, myślałem, że masz jakiś atak czy co.

– Chodź. – Brigitte bierze ją za ramię. – Usiądziemy gdzieś.

– Naprawdę nic mi nie jest. – Gwendy chce się stąd wyrwać, i to jak najszybciej. – Chyba powinnam wrócić do domu. Miałam długi dzień.

– Na pewno możesz prowadzić? Travis cię odwiezie...

– Czuję się dobrze – zapewnia Gwendy z wymuszonym uśmiechem. – Przysięgam.

Brigitte mierzy ją przeciągłym spojrzeniem.

– Okay, ale proszę, uważaj.

– Robi się – mówi Gwendy, machając na pożegnanie. – Pogadamy jutro.

Co to było, do cholery? – myśli, idąc przez skwer do samochodu. Nawet nie wie, jak opisać to, co właśnie się stało, ale wie, że nigdy nie doświadczyła niczego choćby przybliżonego. Prawie jakby otworzyły się drzwi, a ona weszła do środka. Ale otworzyły się na co? Na duszę Tralisa? To wydaje się naciągane, jak z powieści science fiction, ale jednocześnie ma dla niej pewien sens, podobnie jak teraz pudełko z guzikami.

Czy to był jakiś dziwny efekt uboczny wywołany przez czekoladki, które dała mamie? I dlaczego akurat Travis? Ledwie go znała i z pewnością nie był jedyną osobą, której dotknęła tego wieczoru. Ścisłała ręce dziesiątkom ludzi.

Z mroku przed nią nagle wyłania się ciemna postać.

– Dobrze się pani czuje, pani Peterson?

Zaskoczona Gwendy zatrzymuje się gwałtownie. To ten nieznamy w czapce Patriotów, stoi tak blisko, że może wyciągnąć rękę i jej dotknąć. Została schwytana w pułapkę między budynkami, gdzie jest ciemniej z braku ulicznych latarni.

– Nic mi nie jest – odpowiada, próbując ukryć strach. – Naprawdę nie powinien pan tak wyskakiwać z zasadzki na ludzi. Zwłaszcza skoro dzieją się tutaj takie rzeczy.

– Przepraszam – mówi nieznamy miłym głosem. – Widziałem, co się stało, i martwiłem się.

– Widział pan, co się stało? – powtarza Gwendy ostrym tonem. – A w ogóle dlaczego pan mnie obserwował, panie...?

– Nolan – mówi mężczyzna i rozchyła kurtkę, żeby pokazać odznakę przypiętą do paska. – Detektyw Nolan.

Gwendy szeroko otwiera oczy i rumieniec zalewa jej policzki.

– Teraz strasznie mi głupio.

Detektyw podnosi ręce.

– Niepotrzebnie, proszę pani. Powinienem być od razu się przedstawić.

– Czy szeryf Ridgewick prosił, żeby pan mnie pilnował?

– Nie, proszę pani – zaprzecza Nolan. – Szeryf mówi o pani w taki sposób, że jego zdaniem na pewno potrafi pani sama o siebie zadbać.

Gwendy się śmieje. Wyobraża sobie, jak Norris mówi właśnie coś takiego.

– No cóż, dobrej nocy, detektywie. Dziękuję, że pan się o mnie zatroszczył.

Nolan w milczeniu kiwa głową i rusza z powrotem w stronę skweru.

Gwendy skręca na ulicę i kiedy rozpoznaje mężczyznę idącego z naprzeciwka, postanawia przeprowadzić eksperyment.

– Hej, witam, panie Gallagher – mówi. – Szczęśliwego Nowego Roku.

Ściąga rękawiczkę z prawej dłoni i podaje mu rękę.

– Nawzajem, szczęśliwego Nowego Roku, młoda damo. – Nauczyciel algebry z ósmej klasy Gwendy mocno ściska jej rękę. Gwendy wyczuwa szorstkie odciski we wnętrzu jego dłoni. – Powinnaś któregoś dnia wpaść do szkoły. Dzieciaki bardzo by się ucieszyły z twojej wizyty.

– Wpadnę – obiecuje Gwendy, czekając, żeby wydarzyło się coś niezwykłego, cokolwiek.

Ale nic się nie dzieje.

Gwendy rusza więc dalej, aż dociera na Main Street, gdzie zaparkowała samochód. Myśli o pudełku z guzikami rozdającym czekoladowe przysmaki i nie patrzy pod nogi, i nagle nogi spod niej uciekają. Jeszcze przed chwilą mijala spokojnie restaurację i widziała przelotnie swoje odbicie w zaciemnionej frontowej szybie, a teraz sunie po splachetku lodu na chodniku, wymachując ramionami nad głową.

Ktoś chwytą ją w talii.

– O mój Boże – mówi Gwendy, odzyskując równowagę.

– Mało brakowało, pani Peterson. – Lucas Browne puszcza ją i schyla się do chodnika. Prostuje się, trzymając jej rękawiczkę. – Upuściła to pani.

Z uśmiechem podaje jej przedmiot i ich gołe palce się stykają...

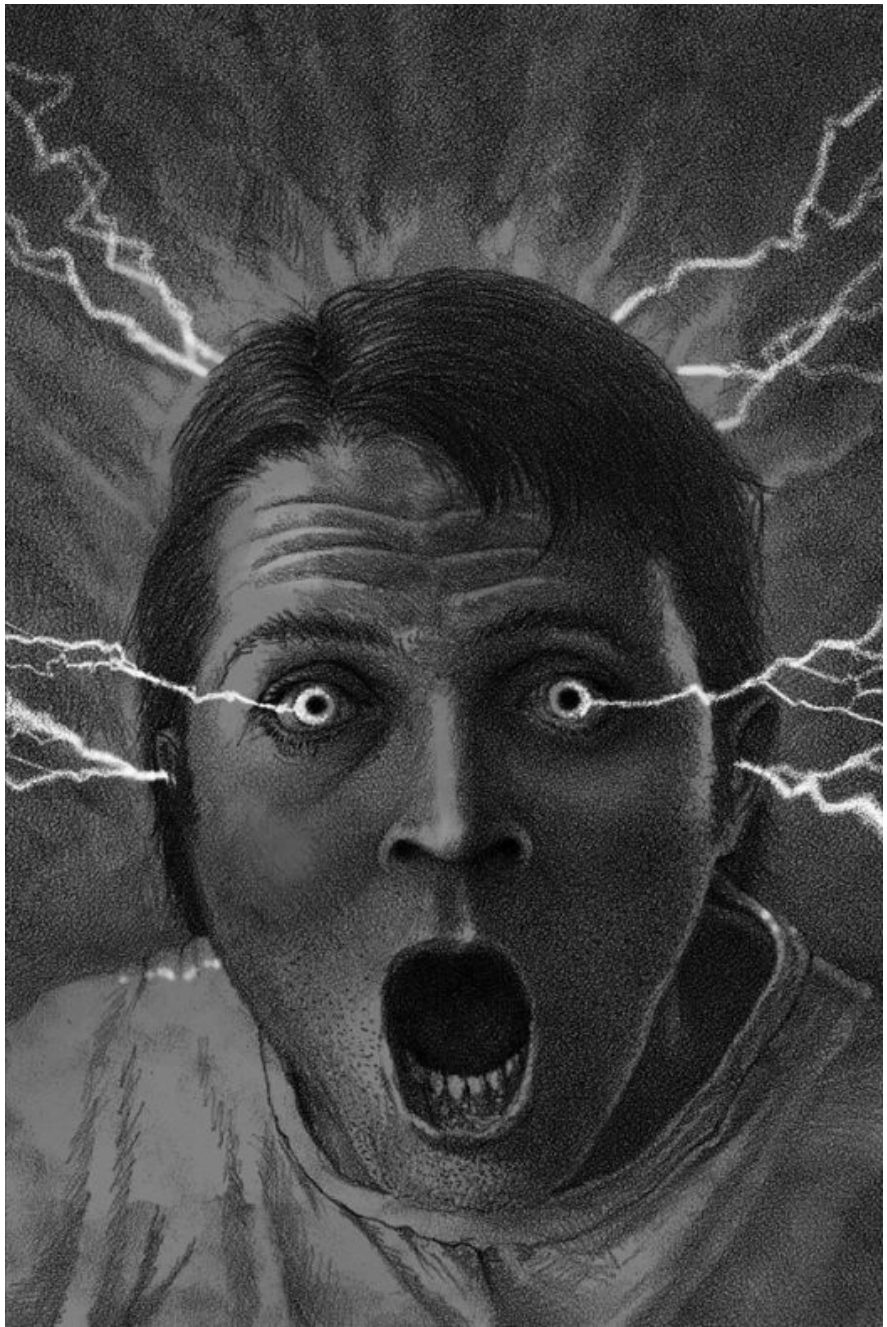
...i Main Street nagle odpływa, samochody, latarnie i witryny sklepowe znikają, i Gwendy widzi tylko *jego*, z olśniewającą, niemal oślepiającą jasnością. I po prostu *wie*. Lucas Browne to Wróżka Zębuzka. Patrzy na jego rękę i widzi, jak palce okryte rękawiczką obejmują instrument ze stali nierdzewnej, sięgają w głąb ust manekina, pełnych sztucznych zębów, manekina leżącego na jaskrawo oświetlonym stole, widzi napis wyszyty na piersi długiego białego kitla laboratoryjnego Lucasa, *Wydział Stomatologii Uniwersytetu Buffalo...* a potem te same palce, teraz brudne, ściskające zardzewiałe kombinerki, on stoi nad skuloną Deborah Parker, jej długie włosy zlepione potem, jej oczy rozszerzone strachem, czubki jego kowbojskich butów zachlapanne wielkimi kroplami krwi...

A potem pochłania go ciemność, uliczny pejzaż znowu się wyostrza i Lucas Browne stoi przed nią na chodniku.

– Co się stało? – pyta, mrużąc oczy. – Dobrze się pani czuje?

– Nie... tak, w porządku – odpowiada Gwendy. – Dziękuję. Uratowałeś mnie przed paskudnym upadkiem. – Jej głos brzmi słabo, jakby dochodził z oddali.





Mija ich młoda para, idąca pod rękę. Nastoletni chłopak, nieudany sobowtór Jamesa Deana w skórzanej kurtce i z papierosem dyndającym w kąciu ust, kiwa im głową.

– Jak leci, Lucas?

Lucas nie odpowiada, nawet nie patrzy na faceta – tylko z tym samym czujnym wyrazem twarzy odprowadza wzrokiem Gwendy przechodzącą przez ulicę.

Gwendy otwiera samochód, wsiada i pośpiesznie blokuje drzwi. Ręce jej się trzęsą, serce o mało nie wyskoczy z piersi. Uruchamia silnik i odjeżdża, nie czekając, aż silnik się rozgrzeje. Kiedy ogląda się na chodnik, Lucas Browne wciąż tam stoi i ją obserwuje.

SZERYF RIDGEWICK ODBIERA po pierwszym dzwonku.

– Halo?

– To Lucas Browne! – Gwendy prawie krzyczy. – Lucas Browne to Wróżka Zębuzska!

– Gwendy? Wiesz, która jest godzina?

– Posłuchaj mnie, Norris. Proszę. Myślę, że Deborah Parker jeszcze żyje, ale nie wiem, ile czasu jej zostało.

– Okay, zacznij od początku i powiedz mi, skąd to wiesz.

– Właśnie wpadłam na Lucasa Browne’a na Main Street i...

– Co ty tam robiłaś w środku nocy?

– Wracałam do samochodu po imprezie sylwestrowej – odpowiada Gwendy z narastającą frustracją. – Ale to nieważne. Lucas Browne studiował stomatologię w Buffalo.

– Skąd właściwie to wiesz? I w ogóle skąd znasz Lucasa Browne’a?

– Poznałam go i jego ojca tamtego dnia, kiedy przeszukiwaliśmy pole. Jego ojciec mi powiedział, że Lucas studiował w Buffalo, ale wrócił do domu wcześniej, bo wpadł w jakieś kłopoty.

– A Lucas ci powiedział, że to była stomatologia, kiedy go spotkałaś dziś wieczorem?

Gwendy nie odpowiada wprost.

– Coś w tym rodzaju. – Bierze głęboki oddech. – Norris, on nosi kowbojskie buty. Chyba widziałam na nich krew.

Teraz szelesty w tle.

– Gdzie jesteś?

– Właśnie skręciłam na stosiedemnastkę. Wracam do domu.

– Zawrót – mówi szeryf i Gwendy słyszy otwieranie i zamykanie drzwi. – Spotkajmy się w biurze szeryfa. Nie dzwoń do nikogo innego.

– Pospiesz się, Norris.

GWENDY PRZYSUWA SOBIE KRZESŁO, siada obok Sheili Brigham w boksie dyspozytorki i słucha nadchodzących wezwań. Od razu rozpoznaje szeryfa Ridgewicka, chociaż jego głos przez radio jest znacznie niższy, i funkcjonariusza policji stanowej Toma Noela, który chodził do liceum w Castle Rock o jedną klasę niżej niż ona i mieszkał dwie przecznice od Carbine Street. Inni są dla niej obcy, rzucają suche, urywane słowa, ale ona słyszy podniecenie buzujące w ich głosach.

Szeryf i zastępca Footman jadą w pierwszym samochodzie, prowadząc duży konwój pojazdów z biura szeryfa hrabstwa Castle, policji Castle Rock i policji stanu Maine. Właśnie przejechali przez stary most kolejowy na Jessup Road, zaraz się rozdzielił i w ciągu kilku minut otoczą gospodarstwo Browne'ów.

Pomimo licznych próśb i trochę niezdecydowanej próby przekupstwa (obejmującej jedną z cenionych wędek pana Petersona do łowienia na muchę) szeryf nie pozwolił Gwendy jechać z nim i jego ludźmi – prasa będzie miała używanie, argumentował, zwłaszcza gdyby coś poszło źle i kongresmenka została ranna – więc tutaj jest najbliższej akcji.

Wpatruje się w radio z nerwowym oczekiwaniem, stukając stopą w brzydki zielony dywan i obgryzając paznokcie. Nie może usiedzieć spokojnie i chociaż Sheila już dwukrotnie ją za to zbeształa, nie jest w stanie się opanować. Jedzie na oparach i kilku filiżankach kawy. Jest prawie dziesiąta rano, a ona nie zmrużyła oka. Nawet nie dotarła do domu zesłej nocy.

Wkrótce po pierwszej, zaraz po spotkaniu z Gwendy w biurze szeryfa, Ridgewick skontaktował się z detektywem Tiptonem z policji w Buffalo. Wyciągnięto akta. Wykonano telefony. Zapukano do drzwi. Przed szóstą rano wysoki urzędnik z administracji Uniwersytetu Buffalo potwierdził, że Lucas Tillman Browne z Castle Rock w stanie Maine został wydalony z wydziału stomatologii – tuż przed ukończeniem trzeciego semestru – ponieważ liczne studentki oskarżyły go o molestowanie seksualne i prześladowanie. Krótco po ósmej rano detektywi z policji stanowej dowiedzieli się od Tomlinsonów i Parkerów, że obie rodziny poprzedniej wiosny zatrudniały złotą rączkę Charlesa Browne'a do czyszczenia aluminiowego sidingu na ich domach. W obu przypadkach pomagał mu syn. To było tak dawno, że rodziny po prostu zapomniały. Cenna nowa informacja doprowadziła do wydania nakazu przeszukania domu oraz terenu posesji Browne'ów.

„Widzę jednego podejrzanego płci męskiej”, skrzeczy radio i Gwendy wyobraża sobie szeryfa Ridgewicka siedzącego za kierownicą radiowozu i wyteżającego wzrok przez brudną szybę. „Potwierdzam, dwaj mężczyźni w garażu. Drugi pracuje pod ciężarówką”.

„Przyjąłem. Jesteśmy na pozycji z tyłu”.

„Na linii ogrodzenia wszystko gra. Jeśli pójdzie w tę stronę, mamy go”.

„Podchodzę do podejrzanych. Detektyw Thome na mojej dwunastej blokuje podjazd. Bądźcie w gotowości”.

Trzy i pół minuty później: „Doręczono nakaz. Obaj podejrzani współpracują. Detektywi wchodzą do domu. Zachować gotowość”.

Potem radio prawie całkiem milknie. Ktoś żąda, żeby do domu przyniesiono nową parę rękawiczek. Inny funkcjonariusz pyta, czy on i jego ludzie nadal mają zawracać ruch na skrzyżowaniu. Zastępca Footman odpowiada, że tak.

Gwendy bierze głęboki oddech, wypuszcza powietrze. Sheila odgryza kęs pączka i wpatruje się w monitor radia z niewzruszoną twarzą.

– Jakim cudem jesteś taka spokojna? – pyta Gwendy, przerywając milczenie. – Ja tu umieram.

Sheila rzuca jej ironiczne spojrzenie, w kącikach ust ma smugi białego cukru pudru.

– Dwadzieścia pięć lat w tym fachu, skarbie. Widziałam i słyszałam już wszystko. Widziałam takie rzeczy, że byś nie uwierzyła! – Bierze następny kęs pączka i ciągnie z pełnymi ustami: – Ale powiem ci jedno... jeśli nie przestaniesz obgryzać tych paznokci, za pięć minut będziesz musiała pójść naprzeciwko do apteki i kupić sobie plaster z opatrunkiem.

Gwendy odsuwa od ust mały palec i krzyżuje ramiona jak nadąsana nastolatka.

„Sheila, zgłoś się”, skrzeczy radio.

Sheila wyciera o bluzkę upudrowane cukrem palce i włącza mikrofon.

– Jestem, szeryfie.

Rozlega się trzask zakłóceń, a potem:

„Mam wiadomość dla naszego gościa”.

– Przyjęłam. Siedzi obok mnie i obgryza paznokcie.

„Powiedz jej... że mamy naszego człowieka”.

– ZRÓB GŁOŚNIEJ, GWEN – prosi ojciec, przysiadając na poręczu fotela. Wpatruje się z fascynacją w ekran telewizora.

– Wygłoszę krótki komentarz – mówi Ridgewick do lasu mikrofonów przed posterunkiem policji – a potem oddam głos detektywowi z policji stanowej, Frankowi Thome’owi, który odpowie na pytania.

Otwiera notatnik i zaczyna czytać:

– Dzisiaj rano funkcjonariusze biura szeryfa hrabstwa Castle oraz policji stanu Maine dokonali przeszukania posesji pod numerem sto trzystaście przy Ford Road w północnej części Castle Rock. Pod obluzowaną deską podłogi w jednym z pokoi sypialnych odkryto kilka rzeczy osobistych należących do Rhondy Tomlinson. Po przesłuchaniu licznych mieszkańców domu aresztowano podejrzanego Lucasa Browne’a, wiek: dwadzieścia lat. Właściciel posesji, Charles Browne, wiek: pięćdziesiąt dziewięć lat, udzielił pozwolenia na przeszukanie należącej do rodziny chaty, położonej w pobliżu jeziora Dark Score, gdzie funkcjonariusze znaleźli czternastoletnią Deborah Parker, nieprzytomną i skrepowaną w piwnicy pod chatą. Powróciła do rodziny i obecnie przechodzi leczenie w miejscowym szpitalu.

Podnosi wzrok znad notesu, ciemne kręgi pod jego oczami dopowiadają resztę.

– Po dokładnym przeszukaniu działki wokół chaty funkcjonariusze odnaleźli zwłoki Rhondy Tomlinson i Carli Hoffman, zakopane w niewielkiej odległości. Obie rodziny zostały zawiadomione i we właściwym czasie szczątki ofiar zostaną przewiezione do kostnicy hrabstwa Castle na czas dalszego śledztwa. Lucas Browne został oskarżony o uprowadzenie i zamordowanie Rhondy Tomlinson i Carli Hoffman oraz uprowadzenie i torturowanie Deborah Parker. Zostaną mu postawione dodatkowe zarzuty. Obecnie przebywa w areszcie śledczym w biurze szeryfa hrabstwa Castle. Detektyw Thome odpowie teraz na państwa pytania.

Schodzi z zaimprovizowanego podium i wbija wzrok w ziemię.

– No cóż – wzdycha pan Peterson. – Zakończenie bynajmniej nie szczęśliwe, ale chyba najlepsze, na jakie mogliśmy liczyć.

– Te biedne rodziny – mówi jego żona, żegnając się znakiem krzyża. – Nawet sobie nie wyobrażam, przez co przechodzą.

Gwendy nie mówi nic. Ostatnie osiemnaście godzin rozmyślała się w jakimś szaleńczym wirze – a teraz jej ciało i umysł próbują odzyskać równowagę.

Parę godzin wcześniej szeryf wyjawiał jej w zaufaniu, jakie okropności znaleziono w domu i chacie Browne’ów: dwie strunowe torebki śniadaniowe pod drugą obluzowaną deską podłogi w pokoju Lucasa, jedną wypełnioną różnorodną biżuterią należącą do Bóg wie ilu kobiet, drugą zawierającą pięćdziesiąt siedem zębów różnych kształtów i wielkości. W piwnicy pod chatą odkryto makabryczny komplet narzędzi, w którego skład wchodziło kilka par zakrwawionych kombinerek, elektryczna wiertarka oraz różne piły mechaniczne. Gwendy zastanawiała się, jak szybko prasa dorwie się do tych informacji.

– Dobrze dla Norrisa Ridgewicka – mówi pan Peterson, wciąż wpatrzony w telewizor. – Najwyższy czas, żeby ludzie w tym miasteczku oddali mu sprawiedliwość.

Dzwoni komórka Gwendy.

– Lepiej odbiorę. – Wstaje z sofy i idzie do kuchni. – Halo?  
– Masz chwilę?  
– Uszy cię pieką, szeryfie?  
– Codziennie od dwóch tygodni – odpowiada Ridgewick ze znużeniem.  
– Właśnie oglądaliśmy powtórkę twojej konferencji prasowej. Dobrze sobie poradziłeś.  
– Dzięki. – Robi przerwę. – Wciąż mi głupio, że nie wspominałem o twoim udziale w śledztwie. To niesprawiedliwe przypisywać sobie całą zasługę.

– Uważam, że sporo tej zasługi dawno ci się należało.

– Ja bym tak nie powiedział.

– A ja tak.

– Ale mam do ciebie jedno pytanie.

Zaczyna się, myśli Gwendy.

– O co chodzi? – pyta.

– Wiem, że cała ta historia ze studiowaniem stomatologii nasunęła ci podejrzenia. I kowbojskie buty. Ale skąd naprawdę wiedziałas?

Gwendy nie odpowiada od razu. Kiedy wreszcie zaczyna mówić, ostrożnie dobiera słowa i stara się jak najmniej kłamać.

– To było tylko silne... przeczucie. On wytwarzał jakieś naprawdę okropne wibracje, jakby *głód*, to z niego promieniowało.

– Więc mówisz, że to była... intuicja?

Wyobraża sobie, jak szeryf przewraca oczami.

– Coś w tym stylu.

– No, cokolwiek to było, jestem wdzięczny. Uratowałaś życie tej dziewczynie.

– My uratowaliśmy jej życie, Norris.

– Jesteś teraz w domu? Chcę ci podrzucić raport, który właśnie skończyłem pisać. Upewnić się, że nie ma rozbieżności.

– Jestem u rodziców, ale po kolacji mogę wpaść do biura.

– To będzie za późno. Pozwolisz, że go przywiozę?



– Proszę bardzo. Będę czekać – odpowiada Gwendy i myśli: Jeśli spróbuje podać mi rękę, powiem, że złapałam wirusa i lepiej mnie nie dotykać. Tak jak powiedziałam wcześniej rodzicom.



– Świetnie, daj mi piętnaście minut.

Ale mija tylko dziesięć.

Gwendy pochyla się nad stołem w jadalni, szukając narożnego kawałka najnowszych puzzli – nocnej panoramy Nowego Jorku – kiedy rozlega się dzwonek do drzwi.

– To Norris – mówi, wstając od stołu.

– Koniecznie zaprosz go do środka – odzywa się pani Peterson.

Gwendy wychodzi do przedpokoju.

– Chyba przekroczyłeś szybkość... – zaczyna, szeroko otwierając drzwi. Słowa więzną jej w gardle. – Ryan?

Jej mąż stoi na ganku z bukietem kwiatów w jednej ręce i torbą na aparat fotograficzny w drugiej. Jest opalony i świeżo ogolony, oczy błyszczą mu nerwowym oczekiwaniem. Wygląda jak mały chłopiec, który podskakuje na piętach i szczerzy się w szerokim uśmiechu.

– Wiem, że lubisz niespodzianki – mówi.

Gwendy piszczy z radości i rzuca mu się w ramiona. Ryan upuszcza torbę, obejmuje żonę wolną ręką i okręca dookoła. Jej usta odnajdują jego usta i kiedy oboje obracają się na ganku domu, w którym dorastała, Gwendy myśli: W tym człowieku nie ma nic złego, tylko ciepło.

PO RAZ PIERWSZY W ŻYCIU Gwendy chce komuś powiedzieć o pudełku z guzikami.

Szgląda na Ryana za kierownicą. Nie znosi czegoś przed nim ukrywać – zwłaszcza czegoś tak ważnego – ale obawia się, że wiedza o pudełku może okazać się dla niego niebezpieczna. Nie podoba jej się również, że nie będzie miał wyboru. Jeśli postanowi mu powiedzieć, zostanie skazany na tę wiedzę – i odpowiedzialność – czy tego chce, czy nie. Czy to lepsze od tego, co jej zrobił Richard Farris? Już dwukrotnie!

– Grosik za twoje myśli – mówi Ryan, zerkając w lusterko wsteczne i sygnalizując zmianę pasa. – Jesteś strasznie milcząca. Martwisz się o sesję nadzwyczajną?

Gwendy kiwa głową.

– Tak. – I to prawda.

– Świetnie sobie poradzisz, kochanie.

– Szczerze mówiąc, nawet nie wiem, co mam robić, jaka będzie moja rola w tym wszystkim.

– Będziesz słuchać i się uczyć, a potem wystąpisz i obejmiesz dowodzenie. Zawsze tak robisz.

Gwendy wzdycha i wygląda przez okno. Zamarznięte stawy i budynki gospodarskie przesuwały się na odległych polach jak szare duchy w wirującym śniegu.

– Miejmy nadzieję, że przemówimy facetowi do rozsądku. Ale nie liczę na to za bardzo.

– Jak cię znam, nie spocznesz, dopóki nie postawisz na swoim.

Odebrała telefon poprzedniego wieczoru. Na drugim końcu linii był sam przewodniczący Kongresu, Dennis Hastert. Przekazał krótką, rzeczową informację: zarówno Izba Reprezentantów, jak i Senat zbiorą się ponownie w poniedziałek, trzeciego stycznia, pięć dni przed terminem. Gwendy podziękowała mu za wiadomość, rozłączyła się, a potem powiedziała Ryanowi. Zaledwie parę godzin wcześniej wyszli z domu jej rodziców i nawet nie zdążył się rozpakować.

Bała się zostawić pudełko z guzikami w sejfie w mieszkaniu – a jeśli Ryan w którymś momencie postanowi wrócić do domu bez niej i go otworzy? – a Bank Oszczędnościowo-Pożyczkowy w Castle Rock był w niedzielę zamknięty, więc musiała zabrać pudełko ze sobą.

Jak tylko rozwiązała ten problem, pojawiła się następna komplikacja: ponieważ zawiadomiono ją w ostatniej chwili, nie mogła zamówić prywatnego samolotu z lotniska hrabstwa Castle i musiała polecieć z większego, tuż na południe od Portlandu. Ale warto było znieść dodatkowy dojazd i dające się przewidzieć pytania Ryana („Od kiedy latamy prywatnymi samolotami?”), byle tylko uniknąć prześwietlenia na lotnisku.

– Może wysadzę cię przed wejściem z bagażem? – pyta Ryan, skręcając z rampy zjazdowej na drogę dojazdową do Portland South Airpark. – Zostawię samochód na parkingu i spotkamy się w środku.

– Dobra myśl. Powinniśmy mieć sporo czasu.

Ryan zatrzymuje się przy krawężniku w części oznaczonej STREFA WYŁADUNKU przed głównym budynkiem – w przeciwieństwie do lotniska hrabstwa Castle, tutaj naprawdę stoi więcej niż jeden budynek, nie wspominając o kilku pasach startowych i trzypoziomowym garażu – i wyciąga bagaże z samochodu, włącznie z podręczną walizką Gwendy zawierającą pudełko z guzikami. Zostawia żonę przy krawężniku i odjeżdża na parking po drugiej stronie ulicy.

Gwendy rozgląda się i widzi dwie duże rodziny czekające w kolejce do odprawy bagażu (prowizorycznej budki z włókna szklanego, przy której stoi para ogromnych wózków bagażowych). Kilkoro dzieci robi wszystko, żeby wyrwać się rodzicom, a jedna mała dziewczynka, z twarzą czerwoną jak burak i zalaną łzami, wyraźnie jest na granicy hysterii. Samotny, udręczony pracownik lotniska oznakowuje górę kosztownych bagaży powoli i niezdarnie niczym trójpalczasty leniwiec. Jeśli drugiego stycznia ktokolwiek mu pomaga, chwilowo jest nieobecny.

Gwendy wzdycha, współczując facetowi, i siada na pobliskiej ławce. Ustawia przed sobą na chodniku trzy duże walizki, a podręczną stawia obok i dla bezpieczeństwa opiera na niej rękę.

– Przepraszam panią, czy to miejsce jest zajęte?

– Nie, wolne – odpowiada Gwendy, podnosząc wzrok. – Proszę bardzo...

Przed nią stoi Richard Farris i wygląda niemal jak lustrzane odbicie mężczyzny, którego po raz pierwszy zobaczyła dwadzieścia pięć lat temu na ławce w punkcie widokowym Castle View. Nie postarzał się nawet o jeden dzień. Nosi ciemne dżinsy, koszulę z kołnierzykiem (tym razem jasnoszarą zamiast białej), ciemną marynarkę od garnituru i oczywiście ten mały, schludny, czarny kapelusz na czubku głowy.

– Jak... skąd pan się wziął? – pyta Gwendy zniżonym, załknionym głosem.

On siada na drugim końcu ławki i uśmiecha się ciepło. Podręczna walizka stoi między nimi.

Gwendy chce się uszczyplnąć w ramię, żeby się upewnić, że nie śni, ale nagle boi się poruszyć.

– Czy to pan był w galerii handlowej z moją mamą? Czy pan... Dlaczego pan znowu zostawił mi pudełko? – Teraz mówi szybko, tygodnie frustracji i strachu wylewają się z niej potokiem słów. – Przecież pan powiedział, że...

Farris podnosi rękę, uciszając ją.

– Rozumiem, że masz pytania, ale mój czas tutaj jest ograniczony, więc pogadajmy chwilę, zanim nam przerwą. – Przynurza się odrobinę bliżej do środka ławki. – Co do powrotu naszego starego przyjaciela, pudełka z guzikami... powiedzmy, że znalazłem się w tarapatkach i musiałem przechować je na krótko gdzieś w bezpiecznym miejscu. – Patrzy na nią z wyraźną sympatią w jasnoniebieskich oczach. – Ty, Gwendy Peterson, jesteś najbezpieczniejszym miejscem, jakie przyszło mi do głowy.

– Chyba powinnam to potraktować jako komplement.

– Zamierzony, droga dziewczyno. Już dawno ci powiedziałem, że jako posiadaczka pudełka z guzikami byłaś wyjątkowa, kiedy po raz pierwszy ci je zostawiłem. I ufałem w pełni, że znowu będziesz.

– Nie jestem taka pewna – wyznaje Gwendy. – Przez cały czas miałam zamęt w głowie. Nie wiedziałam, co robić. Nacisnąć guzik, nie naciskać guzika. – Wypuszcza powietrze w długim wydechu. – W końcu postąpiłam najlepiej, jak umiałam.

– I niczego więcej nie można wymagać w takich okolicznościach. Znając cię, wierzę, że tym razem również dobrze się spisałaś. – Farris opiera rękę na podręcznej walizce, bębni długimi, smukłymi palcami po zamku błyskawicznym. – Przewyciężenie pokusy guzików to trudne zadanie nawet w najlepszych chwilach. Niewielu jest w stanie się oprzeć. Ale jak teraz dobrze wiesz, pozostawione w spokoju pudełko może uczynić wiele dobrego.

– Ale ja go nie zostawiłam w spokoju – mówi Gwendy jęklwym głosem, który dobrze pamięta z okresu dojrzewania. – Nie całkiem. Pociągnęłam za dzwigenkę... wiele razy.

Farris nieznacznie kiwa głową.

– Czy moja matka będzie zdrowa? Czekoladki ją wyleczyły, prawda? – dopytuje Gwendy, a potem niemal się usprawiedliwia: – Musiałam spróbować.

– Wiadomo, że szpitale popełniają błędy, zwłaszcza jeśli chodzi o te nieznosne badania krwi. Próbki są zanieczyszczone, próbówki błędnie oznakowane. To się często zdarza. Ufam, że zostawiłaś jej wystarczający zapas?

– Tak – przyznaje Gwendy z miną winowajczyni.

Do krawężnika przed nimi podjeżdża minivan. Boczne drzwi się rozsuwają, wysiadają kobieta z małą dziewczynką, dźwigające walizki. Obie żegnają się wesoło z kierowcą, drzwi się zamykają i samochód odjeżdża. Pasażerki idą na koniec kolejki do odprawy bagażu, nawet nie spoglądając w stronę ławki.

– To, co się stało z Lucasem Browne’em i mężem mojej przyjaciółki... te okropne rzeczy, które zobaczyłam w głowie... pudełko to zrobiło, prawda? Czy to z powodu czekoladek? Czy to się powtórzy?

– To nie zależy ode mnie. Jeśli chodzi o pudełko z guzikami, pewne rzeczy... wiele rzeczy... pozostają poza moim zasięgiem.

Gwendy wytrzeszcza na niego oczy.

– Ale jeśli pan nie zna odpowiedzi, to kto zna?

Farris nie odpowiada, tylko przygląda jej się zmrużonymi oczami, które teraz wydają się niemal szare. Kapelusz rysuje mu na czole wąską linię cienia.

– Mam jednak dla ciebie pewną odpowiedź – odzywa się wreszcie Farris – której z pewnością usilnie poszukiwałaś od dłuższego czasu.

– Jaką? – pyta Gwendy, znów jęśliwym tonem. Myśl, że Richard Farris nie jest wszechpotężną siłą stojącą za pudełkiem z guzikami, ale raczej jakimś prominentnym kurierem, nie tylko ją wkurza, ale również przeraża.

On nachyla się bliżej i przez jedną pełną napięcia chwilę Gwendy obawia się, że weźmie ją za rękę.

– Twoje życie naprawdę należy do ciebie. Historie, które postanowiłaś opowiedzieć, ludzie, o których postanowiłaś walczyć, życia, na które wpłynęłaś... – Zakreśla ręką łuk w powietrzu. – Ty dokonałaś tego wszystkiego. Nie pudełko z guzikami. Zawsze byłaś wyjątkowa, Gwendy Peterson, od urodzenia.

Gwendy na chwilę zapomina o oddychaniu. Czuje, jak ogromny ciężar zwała jej się z ramion, jak żelazna obręcz kruszy się i pęka wokół serca.

– Dziękuję – udaje jej się wymówić drżącym głosem.

Farris przechyla głowę, jakby nasłuchiwał odległego dźwięku.

– Niestety, mój czas się skończył. Idzie twój mąż. Uroczy człowiek... on też opowiada historie, na swój sposób.

– Co z pudełkiem? – wyrzuca z siebie Gwendy.

– Już się nim zajęto.

Patrzy na niego, przez chwilę zbита z tropu, a potem podnosi podręczną walizkę i potrząsa nią.

Walizka wydaje się pusta. Jest pusta.

– Jak pan...

Farris się śmieje.

– Powinnaś już wiedzieć, że lepiej nie zadawać takich niemądrych pytań, młoda damo.

Trochę to dziwne, że mężczyzna z grubsza w jej wieku zwraca się do niej takimi słowami. Ale każda minuta tego spotkania wydaje się dziwna, niemal jak sen.

– Muszę iść – mówi Farris, wstając. Gwendy jest pewna, że mężczyzna wyjmie z wewnętrznej kieszonki marynarki staroświecki zegarek i sprawdzi godzinę... ale tego nie robi. – Chociaż znacznie spowolniłem twój męża, jest człowiekiem czynu i zaraz się tu zjawi. – Spogląda z góry na Gwendy z tym samym błyskiem sympatii w oczach. – A potem oboje nadacie bagaże i odleciecie daleko, w długie, udane i szczęśliwe wspólne życie.

– Jeśli w ogóle przepchniemy się przez tę kolejkę – żartuje Gwendy.

– Jaką kolejkę?

Gwendy podnosi wzrok i pokazuje.

– Tamtą.

Tylko że teraz nikt nie czeka przed budką odprawy bagażu. Ani jedna osoba.

– Co jest...?

Gwendy odwraca się na ławce – Richarda Farrisa nie ma.

Wstaje i rozgląda się, ale nigdzie go nie widzi. Chodnik i jezdnie są puste. Richard Farris rozpląnął się w powietrzu. Ale przedtem zostawił dla niej pożegnalny prezent.

Na pod ręcznej walizce leży bardzo znajome małe, białe piórko.

– WSZYSTKO ZAŁATWIONE – mówi Ryan, przebiegając przez ulicę.

Biorą walizki i idą chodnikiem do odprawy bagażu.

– Co tak długo? – pyta Gwendy.

– Winda się zepsuła. Musiałem schodzić trzy piętra. Potem sobie przypomniałem, że nie zamknąłem cholernego samochodu, więc musiałem znowu włączyć na górę.

Gwendy się śmieje.

– Zawsze martwisz się na zapas.

– Nauczyłem się od ciebie – odpowiada Ryan i pokazuje jej język.

Ona kładzie mu rękę na ramieniu i zatrzymuje go, nagle poważna.

– Myślałam o tym, co powiedziałaś. W samochodzie.

Ryan rzuca jej pytające spojrzenie.

– Miałaś rację. Kiedy jutro tam pójde, będę słuchać i się uczyć, a potem zrobię, co do mnie należy. Nieważne, ile mi to zajmie. Nieważne, ile to mnie będzie kosztować.

Ryan nachyla się do niej tak blisko, że stykają się czołami.

– No, teraz mówisz jak ta Gwendy Peterson, którą znam.

– W czym mogę wam pomóc? – pyta uśmiechnięty mężczyzna w budce.

– Lot numer sto siedemnaście – odpowiada Ryan, sprawdzając w papierach. – Odlot według rozkładu o piętnastej dziesięć. Chcielibyśmy nadać trzy walizki.

Mężczyzna bierze podkładkę i bazgrze coś na kartce.

– Czy mogę zobaczyć państwa dokumenty?

Ryan wyciąga portfel i pokazuje mężczyźnie prawo jazdy. Gwendy wygrzebuje swoje z bocznej kieszeni torebki i przesuwają po kontuarze. Mężczyzna bierze je, starannie sprawdza nazwisko, a potem oddaje dokument.

– To wystarczy.

Wychodzi z budki tylnymi drzwiami i kładzie ich bagaże na jeden z ogromnych wózków. Odczepia od pasa walkie-talkie, naciska guzik i mówi:

– Odbiór bagażu na lot sto siedemnaście. Chodź i zabierz je, Johnny.

Słumiony głos odpowiada:

– Przyjąłem, szefie, zaraz będę.

Gwendy i Ryan ruszają chodnikiem w stronę głównego terminalu, ale po kilku krokach Gwendy zawraca i podchodzi do wózka bagażowego. Dorzuca pustą walizkę podręczną do pozostałych, a potem sięga do kieszeni kurtki.

– Proszę, to dla pana. Szczęśliwego Nowego Roku.

Rzuca coś mężczyźnie w budce.

On sięga i łapie przedmiot w powietrzu. Patrzy na awers błyszczącej srebrnej monety leżącej na jego dłoni i twarz mu się rozjaśnia.

– Hej, bardzo uprzejmie dziękuję, proszę pani.

Gwendy się śmieje. Odwraca się, bierze Ryana za rękę i razem wchodzą do terminalu.



## PODZIĘKOWANIA

Bev Vincent przeczytała najwcześniejszą wersję tej krótkiej powieści i pomimo napiętego rozkładu zajęć dostarczyła bezcennych wskazówek w rekordowym czasie. Dochowała również sekretu i niemal codziennie koła moje nerwy. Billy Chizmar przeczytał ten sam wczesny szkic i ze swojego akademika w Maine wysłał mi e-mailem parę prostych rad, które znacznie wygładziły przedakcję. Robert Mingee jak zwykle wyłapał w ostatniej chwili moje błędy i wyczyścił wszystko przed upublicznieniem tekstu. Brian Freeman i dobrzy ludzie z CD zrobili to, co robią zawsze, kiedy znikam w mojej pisarskiej jaskini, czasami na całe tygodnie: pilnowali interesu i pozwolili mi skupić się na słowach. Ed Schlesinger z wydawnictwa Simon & Schuster wszedł na pokład za pięć dwunasta, a jego wnikliwe uwagi sprawiły, że *Magiczne piórko Gwendy* niewątpliwie stało się lepszą książką.

Jestem dłużnikiem tych wszystkich wspaniałych ludzi dzięki ich mądrości i wsparciu. Pamiętajcie tylko, że jestem stary i uparty, więc wszelkie niedociągnięcia, na które natraficie, są moją i tylko moją winą.

Chcę również podziękować wyjątkowym ilustratorom: Benowi Baldwinowi i Keithowi Minnionowi, za to, że wrócili na drugą rundę i tak pięknie ożywili historię Gwendy. Wycisnąłem przy tym projekcie siódme poty z Gail Cross z Desert Isle Design i rezultat jak zwykle jest fenomenalny.

Wyrazy wdzięczności dla mojej agentki Kristin Nelson za jej ciężką pracę i za to, że zawsze pyta: „Co następane?”.

Na koniec: jestem niezmiernie wdzięczny mojemu przyjacielowi, Steve’owi Kingowi, nie tylko za pomocną dłoń i staranną redakcję *Magicznego piórka Gwendy*, ale także ponieważ mi zaufała, że powrócę do Castle Rock i życia Gwendy Peterson.





#### O AUTORZE

**Richard Chizmar** jest współautorem (ze Stephenem Kingiem) bestsellerowej krótkiej powieści *Pudełko z guzikami Gwendy*. Jego ostatnie książki to *The Long Way Home*, czwarty zbiór opowiadań, i *Widow's Point*, napisana wspólnie z synem, Billym Chizmarem, mrożąca krew w żyłach opowieść o nawiedzanej latarni morskiej, niedawno sfilmowana. Jego krótkie utwory pojawiały się w licznych publikacjach, między innymi na łamach „Ellery Queen's Mystery Magazine” i w zbiorze *The Year's 25 Finest Crime and Mystery Stories*. Otrzymał dwie nagrody World Fantasy, cztery nagrody od International Horror Guild i jedną od Horror Writers Association Board of Trustees.

Utwory Chizmara przetłumaczono na ponad piętnaście języków, a on sam występował na licznych konferencjach jako instruktor pisania, gościnny prelegent, dyskutant i gość honorowy.

Znajdźcie go na Twitterze @RichardChizmar albo odwiedźcie jego stronę internetową: Richardchizmar.com.

#### ILUSTRATORZY

**Ben Baldwin** jest artystą i ilustratorem, który posługuje się różnymi środkami wyrazu, od fotografii i komputerowych programów plastycznych do bardziej tradycyjnych technik malarskich i rysunkowych. Tworzył projekty okładek do książek i ilustracje do magazynów dla licznych klientów na całym świecie, a także unikatowe rysunki i obrazy na prywatne zamówienia.

**Keith Minnion** sprzedał swoje pierwsze opowiadanie do „Asimov's SF Adventure Magazine” w 1979 roku. Od tamtego czasu opublikował ponad dwadzieścia opowiadań, dwie nowele, album swoich najlepszych ilustracji, dwa zbiory opowiadań i jedną powieść. Od wczesnych lat dziewięćdziesiątych przez ponad dwie dekady był redaktorem i ilustratorem książek, a także wykonywał obszerne projekty graficzne dla Departamentu Obrony. Jest byłym nauczycielem, zarządzającym projektami w Departamencie Obrony oraz oficerem marynarki wojennej USA. Obecnie mieszka w dolinie Shenandoah w Wirginii, maluje akwarelami i olejami, a niekiedy nawet pisze fikcję.